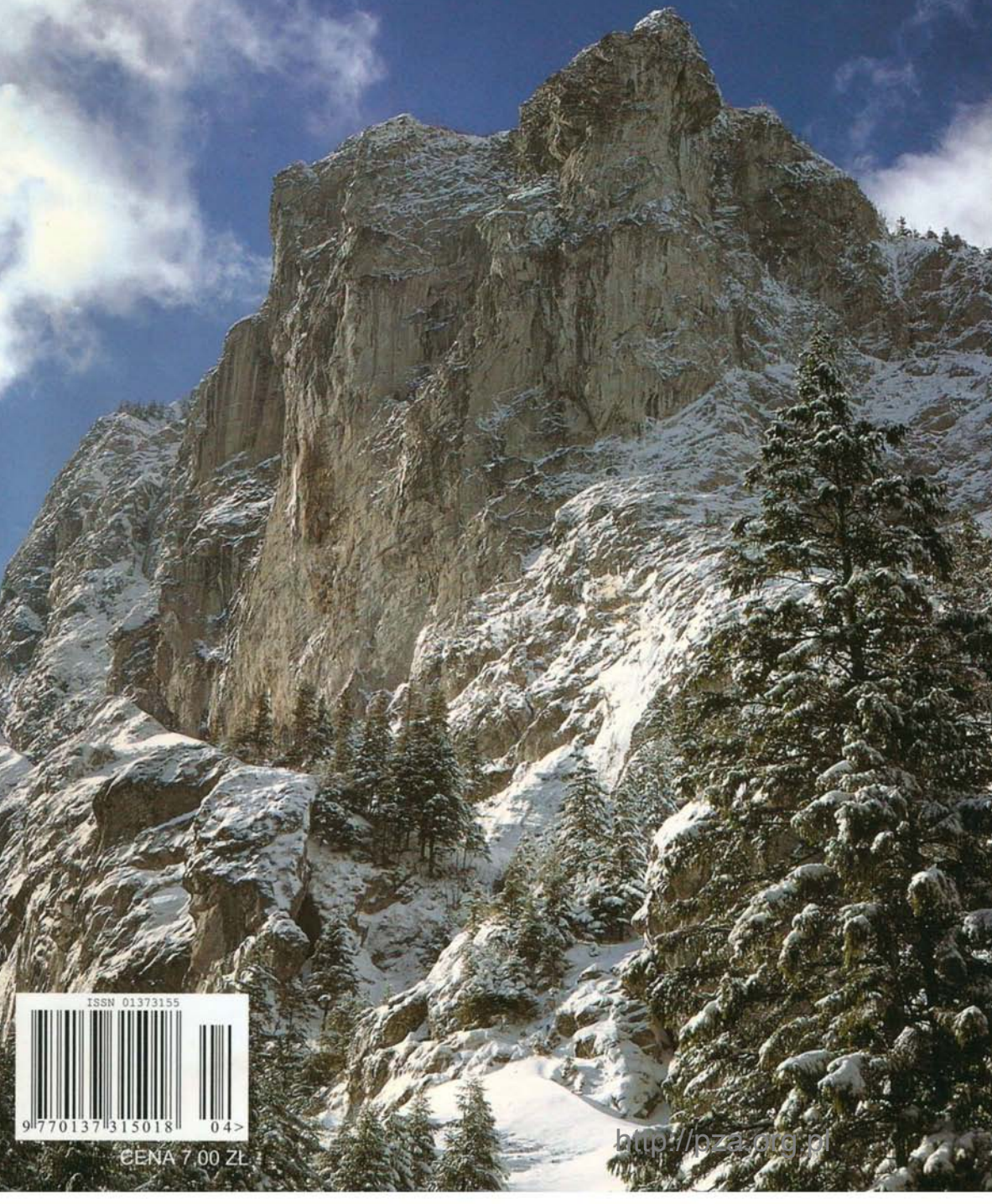


TATERNIK

NR 1/2001 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU



ISSN 01373155



CENA 7,00 ZŁ

<http://cena.cca.pl>



rys. Witold Sas Nowosielski



Drodzy Czytelnicy

Otrzymaliście nowego „Taternika”. Zmienił się zespół redakcyjny, zawartość pisma, szata graficzna i nakład. Ten zabieg był konieczny. Czas był najwyższy, aby stworzyć pismo, które mogłoby sprostać rosnącym wymaganiom. Z drugiej strony, „Taternik” dla wielu pokoleń pozostaje ciągle częścią ich górskiego życiorysu i w tym sensie jest wspólnym dobrem. To jedyny w swoim rodzaju kapitał, którego nam zaprzepaścić nie wolno. Zależy nam bardzo, aby dokonując zmian nie popsuć tego, co dotychczas w „Taterniku” było dobre.

Wprowadzamy kilka nowych działów, powiększamy objętość, poprawiamy stronę edytorską, ale też wracamy do niektórych pomysłów sprzed lat kilkunastu i kilkudziesięciu. Zamierzamy nie tylko informować, ale też dokumentować. Zapewniamy, że – mimo konieczności zmierzenia się z konkurencją – nie przekształcimy pisma w katalog reklamowy. Zdecydowanie pozostaniemy przy dotychczasowym formacie. Uznaliśmy, że skoro przez ostatnie 94 lata zmienił się cały świat, a format „Taternika” pozostał bez zmian, to nie mamy prawa takiej zmiany dokonywać.

„Taternik” jest magazynem Polskiego Związku Alpinizmu. Oznacza to, że będziemy zabiegali o przedstawianie oficjalnego stanowiska Związku w sprawach ważkich dla całego środowiska ludzi gór; będziemy zamieszczać związkowe komunikaty, ogłoszenia i materiały szkoleniowe. W żadnym jednak wypadku nie zamierzamy być pismem dworskim. Uważamy, że lamy „Taternika” powinny być dostępne dla wszystkich, również dla tych, którzy mają inne zdanie niż Zarząd PZA. Tylko wówczas możemy stworzyć pismo ciekawe, rzetelne, prowadzące prawdziwy dialog z czytelnikami. Prosimy jednak nie mieć do nas pretensji, jeśli nie opublikujemy materiałów napastliwych, złośliwych czy tendencyjnych.

Nowy wizerunek „Taternika” to efekt gorących, wielogodzinnych dyskusji. Z licznych rozmów i konsultacji wynikało, że oczekiwania są często krańcowo różne i wzajemnie wykluczające się. Proponujemy wersję, która wydaje się nam najlepsza, ale wcale nie musi być ostateczna. Jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje dotyczące oczekiwań wobec pisma i pożądaných zmian. Dziękujemy za sugestie i rady, jakimi wsparli nas bardziej doświadczeni koledzy, dziękujemy też za liczne deklaracje pomocy w redagowaniu pisma.

Zapraszamy do współpracy. Poszukujemy niepublikowanych tekstów, zdjęć, informacji, archiwaliów, klubowych wiadomości – również tych, które wydają się Wam mało ważne, ale są odbiciem środowiskowej działalności. Wszystkie informacje postaramy się zweryfikować, teksty będą autoryzowane, wszystkie materiały – również te niezamówione – odeślemy korespondentom, pod warunkiem dołączenia zaadresowanej i ofrankowanej koperty. Bardzo chcemy stworzyć pismo dobre i jesteśmy przekonani, że jest to możliwe. Od niemal stu lat każde pokolenie zostawiało w „Taterniku” swój wyraźny ślad, swój autoportret wpisany w relacje z wypraw i sezonowych sprawozdań. Zadbajmy o to, aby naszym następcom pozostawić po sobie interesującą wizytówkę.

W imieniu zespołu redakcyjnego

Zbigniew Piotrowicz



3



10



14



20

1

Od redakcji

3

Witolda H. Paryskiego

wspominają:

Wiesław A. Wójcik,
Władysław Cywiński
Ryszard W. Schramm

10

Zima pod Makalu

13

Marc Batard

wywiad dla „Taternika”

14

Afryka mniej dzika

Piotr Xięski

19

Rozmowa

z Adamem Bieleckim

20

Tatry Wysokie

Lato 2000, Marcin Michałek

23

Listy do redakcji

25

Historia mroząca
krew w żyłach

Wojciech Święcicki

29

Wypadek

opowiadanie
Pawła Puszczyńskiego

34

Galeria Gankowa

36

Z tatrzańskich szlaków

37

Archiwalia 1937

Tres Cruces, Witold H. Paryski

45

Jaskinie

53

Serwis prawie światowy

55

Rozmowa
o rozporządzeniu
w sprawie uprawiania
alpinizmu

58

Hard Rock

61

Apel Alpine Club

62

Ucho skalne

66

Uwagi
o ruchu lewostronnym

Wojciech Święcicki

73

Listy do redakcji

74

Wypadki taternicze
w 2000

76

Pożegnania

79

Recenzja

O Witoldzie H. Paryskim – redaktorze „Taternika”

Wiesław A. Wójcik

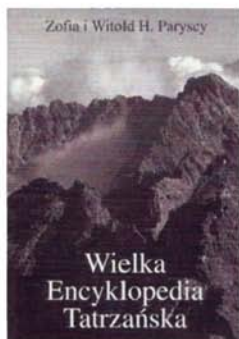


Ostatni rok kończącego się XX wieku okazał się wyjątkowo feralny dla polskiej kultury i nauki. „Minęli się” ks. Józef Tischner, Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Giedroyc. Gdy zaś od końca roku i wieku dzieliły nas już tylko dni, i gdy zdawało się, że śmierć straciła już swój impet, nadeszło jej kolejne uderzenie, tym razem w ostoję polskiego góroznawstwa. W dniu 16 grudnia 2000 r. niespodziewanie zmarł w Zakopanem Witold Henryk Paryski, encyklopedysta tatrzański, językoznawca-onomasta i dialektolog, historyk i przewodnikopisarz, edytor i redaktor, bibliograf regionu podtatrzańskiego, ale także najwybitniejszy polski znawca dziejów andynizmu, oraz działacz towarzystw alpinistycznych, turystycznych i ochrony przyrody, wreszcie ratownik i przewodnik górski („przewodnik przewodników tatrzańskich”).

Wprawdzie wszystkie te określenia składają się na obraz Jego bogatej osobowości, to przecież nie wyczerpują całego jej iście renesansowego bogactwa, był Paryski bowiem typem prawdziwego polihistora. W dobie, w której żyjemy, charakteryzującej się daleko posuniętą specjalizacją w każdej dziedzinie wiedzy, słowo to bodaj prawie zupełnie wyszło z użycia, bo po prostu nie ma już racji bytu, ale w odniesieniu do osoby Paryskiego odpowiada jak żadne inne, gdyż nie tylko poruszał się swobodnie w wielu dziedzinach wiedzy, ale – co ważniejsze – czynił to w pełni kompetentnie.

Paryski urodził się 10 września 1909 r. w Pittsburghu (USA) jako jedno z czworga dzieci Michała i Marty z Dejewskich. Zamiłowanie do książek i znajomość pracy edytorskiej zapewne odziedziczył po swoim ojcu, który był księgarzem i wydawcą. Górami zainteresował się już w latach dziecięcych. Gdy jako 13-letni chłopak przybywał ze Stanów Zjednoczonych do Polski, do Zakopanego, jak sam wspominał, już wiedział coś o Tatrach z lektury. Na miejscu zaczął poznawać góry początkowo na turystycznych wycieczkach, także narciańskich, później wciągnęło Go taternictwo. Wspinał się z najwybitniejszymi taternikami epoki międzywojnia: Stanisławem Motyką,

Żadne
z górskich
pasm świata
nie doczekało się
tak wspaniałego
opisania,
jakim za sprawą
W. H. Paryskiego
obdarzone zostały
Tatry.



Janem Sawickim, Wincentym Birkenmajerem, Wiesławem Stanisławskim, Stanisławem Krystynem Zarembą, Tadeuszem Orłowskim, ze swą przyszłą żoną Zofią Radwańską-Kuleszyną, oraz z innymi. Jest współautorem szeregu nowych wejść w Tatrach. Uczestniczył w drugiej polskiej wyprawie w Andy (w latach 1936-1937), podczas której, wchodząc na jeden z wierzchołków Nevado Tres Cruces (6630m), uzyskał ówczesny polski rekord wysokości w samotnym wejściu. Przywiózł z tej wyprawy zbiory zoologiczne, opracowane później przez prof. Jana Stacha z Krakowa, pośród których były też gatunki nowe dla nauki, m.in. bezskrzydły owad ochrzczony przez prof. Stacha nazwą *Andiella paryskii*. Pokłosiem tej wyprawy jest też m.in. napisana przez Paryskiego książka „W górach Atakamy” (1957). W latach 1938-1939 przebywał w Ameryce Środkowej, w Nikaragui, skąd przywiózł bogaty zbiór motyli dla Muzeum Przyrodniczego PAU w Krakowie. Przebywał wówczas także w USA, gdzie prowadził studia w bibliotekach Waszyngtonu i Nowego Jorku, które zaowocowały zebraniem nader bogatej bibliografii andyjskiej.

Od 1928 r. był członkiem TOPR-u, brał udział w wyprawach ratunkowych, działał też w TOPR na niwie organizacyjnej i szkoleniowej, a po wojnie, w latach 1945-1946 był jego kierownikiem.

Zajmował się też przewodnictwem tatrzańskim. Od 1937 do 1973 r. był członkiem wszystkich komisji szkoleniowych i egzaminacyjnych dla przewodników tatrzańskich.

Był człowiekiem prawdziwie renesansowym. Obejmował swoimi zainteresowaniami szereg – nieraz odległych – dziedzin, zawsze jednak w powiązaniu z obszarami gór. Poza taternictwem, alpinizmem i andynizmem, zajmował się problematyką ochrony przyrody, etnografii, historii, językoznawstwa, bibliografii, kartografii, muzealnictwa i in.

W Jego ogromnym dorobku pisarskim i naukowym dominują dwa dokonania: 25-tomowy, monograficzny przewodnik taternicki „Tatry Wysokie” (1951-1988) oraz tatrzańska encyklopedia (1973, 1995), opracowana wspólnie z żoną. Zarówno jedno, jak i drugie dzieło nie mają sobie równych w literaturze światowej. „Żadne z górskich pasm świata nie doczekało się tak wspaniałego opisania, jakim za sprawą W. H. Paryskiego obdarzone zostały Tatry” – oceniał przed laty Jacek Kolbuszewski. Za swą działalność pisarską i naukową uhonorowany został nagrodą „Wierchów” (1985) i nagrodą literacką Zakopanego (1987). Angażował się w działalność organizacyjną i społeczną na wielu polach. Było to dostrzegane i doceniane, czego wyrazem są członkostwa honorowe nadane Mu przez szereg organizacji i stowarzyszeń, czy obywatelstwo honorowe Gminy Tatrzańskiej (1993). Szczególnie cennym wyróżnieniem Paryskiego jest medal „Kalos Kagathos”, korzeniami związany z ideą platońską, symbolizujący pełną harmonię pomiędzy sprawnością fizyczną oraz zaletami umysłu i charakteru, przyznany Mu w 1987 roku.



Od lewej:
Peter Hargaš – red. „Jamešaka”,
W. H. Paryski i Adams Carter –
red. American Alpine Journal

Ogromne zasługi Witolda H. Paryskiego dla piśmiennictwa górskiego, to nie tylko Jego różnorakie opracowania autorskie, ale także wiele prac redakcyjnych, o czym wypada wspomnieć zwłaszcza na łamach „Taternika”, przez osiem lat bowiem Paryski był jego redaktorem. Jego związki z „Taternikiem” datują się od 1929 r., ale początkowo były to wyłącznie kontakty autorskie. Korzenie Jego działalności redaktorskiej sięgają czasu redagowania „Krzesanicy”, organu Sekcji Taternickiej Klubu Sportowego „Tatry” w Zakopanem, w 1933 r. Aczkolwiek był to drobny epizod, bo ukazały się raptem tylko dwa zeszyty owego pisma, Paryski zachował w pamięci rozmaite szczegóły z tamtych czasów. Pamiętam, jak przed laty, wspominając to swoje pierwsze redaktorowanie, opowiadał mi, że kiedy zaniósł wszystkie materiały drugiego zeszytu do jednej z krakowskich drukarni, drukarz polecił mu zgłosić się po gotowy nakład za... tydzień. Dziś, kiedy do dyspozycji wydawców stoją ekstrakomputery oraz nowoczesne, superwydajne maszyny drukarskie i introligatorskie, taki termin nikogo już nie dziwi, ale wtedy, kiedy słuchałem tej Jego opowieści, cykl wydawniczy jednego zeszytu „Taternika” trwał bez mała pół roku, a nieraz i więcej, „Wierchów” zaś około dwa lata, przeto słuchałem tej opowieści dosłownie niczym bajki.

Doświadczenia wyniesione z wydawania „Krzesanicy” oraz ogromne czytanie przedyła Paryskiemu się, kiedy powierzono Mu redakcję „Taternika”. Redagował go trzykrotnie, zawsze w okresach dla wydawania tego pisma trudnych i przełomowych: w latach 1947-1949, w 1956 r. i w latach 1960-1963. Podjęcie trudu wydawania „Taternika” po okresie wojny i okupacji nie było łatwe. „Wznawiając „Taternika” po tak długiej przerwie i w tak trudnych warunkach finansowych – pisał Paryski w posłowie do pierwszego numeru – redakcja stanęła wobec ciężkiego zadania zarówno zdobywania na nowo grona współpracowników, jak i utrwalenia bytu pisma. Rozwiązywanie tego zadania jest dopiero zapoczątkowane.” Jak trudne to było, świadczą Jego dalsze, pełne goryczy słowa: „W ogóle okazuje się, że po zwycięskiej wojnie łatwiej wydawać pisma turystyczne i alpinistyczne w krajach pokonanych, niż w Polsce... To też nie możemy powiedzieć, czy projektowany na lipiec następny numer „Taternika” rzeczywiście ukaże się w tym terminie.” Objąwszy redakcję „Taternika”, Paryski nie silił się na jakieś nowinki, ale kontynuował przedwojenną, sprawdzoną formułę pisma, wzbogacając ją wszelako o nowe działy oraz w streszczenia obcojęzyczne, co było próbą wyjścia naprzeciw potrzebom czytelników z zagranicy.

Z powodu trudności finansowych kolejne numery pisma ukazywały się stale z opóźnieniem. Dezorganizowało to pracę redaktora. W podwójnym (i jedynym) zeszycie „Taternika” z roku 1949, który faktycznie ukazał się dopiero w 1950 r., pisał Paryski:

Wspomnienie

„W związku z długą przerwą w ukazywaniu się „Taternika” i wielkiego nagromadzenia się materiału, możemy dać tylko fragmentaryczny obraz tego, co może zainteresować polski świat taternicki i alpinistyczny. Widoki na regularniejsze i częstsze w przyszłości wydawanie „Taternika” są – jak nas zapewniają – raczej dobre. Prosimy więc wszystkich współpracowników o nadsyłanie dalszych materiałów, chociaż dotychczasowe nie zostały jeszcze całkowicie wykorzystane”.

Owe ostrożnie wyrażone nadzieje na lepsze perspektywy pisma okazały się jednak złudne. Stalinowsko-komunistyczna „władza ludowa” w swym baranym pędzie do totalnego egalitaryzmu nie tolerowała żadnej formy elitaryzmu, nawet w takim – z natury rzeczy elitarnym – sporcie jak taternictwo. Zarzucano polskiemu taternictwu błędy wynikające „z zawężonych perspektyw, z niepełnego rozumienia wielkości zmian, które przeobrażały życie każdej bez wyjątku komórki społecznej w Polsce.” Destrukcyjna organizacyjna polskiego ruchu wspinaczkowego, która była skutkiem takiej polityki, spowodowała następną przerwę w ukazywaniu się „Taternika”. Na kolejne jego zeszyty trzeba było czekać aż do roku 1956. Redakcję odrodzonego pisma powierzono ponownie Paryskiemu. W pierwszym numerze usprawiedliwiał się On czytelnikom, pisząc: Wznawiany obecnie po kilkuletniej przerwie „Taternik” nie może od razu w swym pierwszym zeszycie ukazać się w postaci, w jakiej chciałaby go widzieć Redakcja i – niewątpliwie – czytelnicy. Dotyczy to zarówno formy zewnętrznej, graficznej, jak i zawartości treściowej. Przyczyny tego są różnorakie, ale przejściowe – związane w znacznej mierze z przerwą w ukazywaniu się czasopisma. W obecnym zeszycie niektóre stałe działy naszego pisma są więc skąpo reprezentowane lub nawet w ogóle nieuwzględnione, a niektóre ciekawe materiały z powodu trudności technicznych w wykonaniu doń części ilustracyjnej odłożyliśmy do następnego numeru – uważaliśmy jednak, że lepiej wypuścić pierwszy zeszyt w takiej postaci, niż odwlekać termin jego druku.” Obruszał się też na opieszałość taternickiego środowiska, stwierdzając: „Nie ma co ukrywać, że w pierwszym okresie swych prac nad wznowieniem pisma starania Redakcji nie były należycie poparte przez wielu taterników, którzy nie dali się zachęcić do aktywnej współpracy.”

Dorobkiem Paryskiego po wznowieniu pisma były dwa podwójne zeszyty „Taternika” za rok 1956. Nie zadowalały one jednak nowego pokolenia wspinaczy, które pojawiło się w Tatrach już po wojnie, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, skutkiem czego od roku 1957 redakcję pisma objął zespół młodych z Antonim Wałą na czele. Wprowadzone jednak przez nich przemiany „w szacie i treści pisma miały – jak oceniał Józef Nyka – tyłuż samo entuzjastów, co przeciwników, przyzwyczajonych do wyczerpującej informacji i dawnego wyglądu pisma w lekko staroświeckiej formie szczęśliwie nawiązującego do półwiekowej tradycji.” Efektem tego było objęcie „Taternika” przez

„Wedle obliczeń Nyki Paryski przygotował do druku łącznie 1174 kolumny druku „Taternika”.

Paryskiego w roku 1960 po raz kolejny. Ostatni, podwójny numer z tego roku ukazał się już pod Jego redakcją. W tradycyjnym słowie Od Redakcji pisał Paryski: „Obejmując ponownie (po raz trzeci) Redakcję „Taternika” nie widzę potrzeby pisania szeroko i szczegółowo o programie pisma, który zresztą – w swych ogólnych zarysach – nie ulega w tej chwili żadnym zasadniczym zmianom. Projektowane obecnie zmiany dotyczą raczej realizacji programu i pewnych spraw technicznych. I dalej: „Z radością mogę stwierdzić, że – chociaż dotychczas bynajmniej nie dostateczna – współpraca redakcji z taternikami wszystkich pokoleń (od najstarszych do najmłodszych) zaczyna się rozwijać pomyślnie.”

Pismo
zawdzięcza Mu
utrzymanie
wysokiego
poziomu
oraz zachowanie
ciągłości
wydawania
w
najtrudniejszych
czasach.

Nie miejsce tu na szerszą charakterystykę „Taternika” w okresie redagowania go przez Paryskiego, wypada wszakże podkreślić, iż jako redaktor realizował bardzo szeroką i wielostronną formułę pisma. Starał się trzymać rękę na pulsie bieżących wydarzeń w kraju i za granicą, ale także dbał o ukazywanie historii taternickiej i alpinistycznej eksploracji gór. Nie była to jednak tylko sucha historia. Paryski nadawał jej życie poprzez ukazywanie sylwetek najwybitniejszych taterników, ratowników, przewodników – żyjących i nieżyjących. Pięknym przykładem takiego głęboko humanistycznego podejścia do historii taternictwa są choćby materiały poświęcone Antoniemu Kenarowi, czy Gyuli Komarnickiemu, ten ostatni opublikowany również w języku węgierskim. Wzorem przedwojennym Paryski konstruował też numery monograficzne poświęcone określonym wyprawom czy grupom górskim. W Jego „Taterniku” znajdowało się również miejsce na poezję i prozę górską. W ostatnim okresie swego redagowania odświeżył nieco szatę graficzną pisma, czerpiąc wzory z „La Montagne”. Wedle obliczeń Nyki Paryski przygotował do druku łącznie 1174 kolumny druku „Taternika”.



Jego redakcyjną robotę cechowała akrybia i rzetelność. „Bogactwu informacji towarzyszyła precyzja opracowania i pedantyczna ścisłość informacji, nadająca materiałom w wielu kwestiach wartość „ostatniego słowa” – tak oceniał ją po latach Józef Nyka, redagujący „Taternika” najdłużej ze wszystkich jego redaktorów. Zasługi Witolda Henryka Paryskiego dla „Taternika” są prawdziwie wielkie, pismo zawdzięcza Mu utrzymanie wysokiego poziomu oraz zachowanie ciągłości wydawania w najtrudniejszych czasach. Jako jego redaktor pozostanie we wdzięcznej pamięci wszystkich, którzy sięgają i będą sięgać w przyszłości po dawne, przez Niego robione roczniki pisma.



Na zdjęciu obok: W. H. Paryski
podczas alpinistyki, rok 1954
fot. z archiwum J. Nyki

Autor artykułu Wiesław A. Wójcik
jest dziennikarzem
redaktorem naczelnym „Wierchów”

Mistrz odszedł

Władysław Cywiński

Gdy wybrałem się do Betlejemki na kurs dla nowiczków (r.1959), znalazłem na pamięć pierwsze dwa tomy WHP. Pamiętam utęsknienie, z jakim czekałem na każdy kolejny tom w moich wczesno-taternickich latach. Wreszcie jest! Przez następne tygodnie była to jedyna (oprócz politechnicznego przymusu) moja lektura. Leżąc w łóżku w gdańskim akademiku głęboko przeżywałem wszystkie ścieżki, drogi i groźnie brzmiące warianty. Zmieniały się łóżka i fotele, a nawyk pozostał aż do 24 Tomu. W 1967 r. zamieszkałem w Zakopanem i natychmiast zapisałem się na kurs przewodnicki. Poznałem samego MISTRZA. Uczucie złapania Boga za nogi. Niezależnie od różnicy wieku i wiedzy, dwie bratnie dusze rozpoznały się w tłumie. Mania poznawania Tatr, brnięcia w szczegóły tak głębokiego, że przez wielu uważanego za zbędną sztukę dla sztuki. Pamiętam kpinki niektórych „znawców”: „Po co tyle nazw?”, „Aż 16 turni w Grani Hrubego?”, „Kto słyszał o Ponad Próbę Turniach?”, „Kto to zapamięta?” A przecież Mistrz miał rację. Już kilka lat po kolejnym tomiku okazywało się, że nazw jest za mało, że opis był nie ZBYT, lecz ZA MAŁO precyzyjny.

Ważną pochodną nazewniczej inicjatywy Mistrza było pozorne (niestety) powiększanie Tatr. Przybywało turni, szczyrbinek i kopiniaków. Przybywało dróg. Tatry teoretycznie cały czas takie same. Lecz praktycznie, dzięki Mistrzowi właśnie – większe. „Rozwijały” się więc Tatry i rozwijał Mistrz. Każdy tom był lepszy niż poprzedni. Szczególny jakościowy skok, to – według mnie – tomik XIII. Skomplikowany masyw Granatów Wielickich opisany niezwykle jasno i precyzyjnie. Można działać w nocy

i we mgle. Potem było jeszcze lepiej. Dzięki Mistrzowi rozwijało się taternictwo. Dzięki taternictwu rozwijał się Mistrz. Wprowadzając dziesiątki, czy setki nowych nazw, Mistrz trzymał się zalecanej od stu lat zasady „ludowości brzmienia”. Nie zawsze konsekwentnie. Pojawił się Niespodziany Ogródek, Zatracony Stawek i Zakwefiona Siklawa. To były jednak wyjątki. Konsekwentnie, wręcz alergicznie, Mistrz unikał nazw nowych dróg. W efekcie dziś trzeba tłumacza do identyfikacji dróg na Jastrzębiej Turni czy Małym Kieźmarskim...

Mistrz był największym kolekcjonerem wszystkiego „co o Tatrach i Podtatrzu”. Tatrzańska Biblioteka Narodowa! Było wielkim zaszczytem być dopuszczonym do jej czytelnicy – ale nigdy do wypożyczalni. Osobiście miałem największą frajdę współpracując z Mistrzem w rozszyfrowywaniu stosów starych fotografii.

Mistrz znał Tatry niezwykle wszechstronnie: nie tylko topografia, nie tylko taternictwo; także pasterstwo, górnictwo, „who is who”... Trudno jest tak znać, nie kochając. Trudno jest kochając, nie chronić przed wszelkimi zagrożeniami. Był więc Mistrz od lat zdecydowanym ochroniarzem. Dawał temu wyraz przy każdej okazji: w publicznych wystąpieniach, przewodnikach, encyklopediach i rozmowach prywatnych. Myślę, że przedstawiciele kierunku „wandalizm” odetchnęli 16 grudnia 2000 z ledwo skrywaną ulgą. Natomiast taternicy, ochroniarze, turyści powinni postawić Mistrzowi pomnik. Choć nawet pomnik ze złota nie będzie trwalszy niż 24 tomy przewodnika i dwie encyklopedie tatrzańskie.

Władysław Cywiński – ratownik TOPR, znawca Tatr



W.H.P

Ryszard Wiktor Schramm

Latem 1937 r. (a może to było w 38?), na piętrze schroniska w Roztoce spałem na pryczy obok Witolda Paryskiego. Dosyć był wtedy opieki, nie taka chudzina jak w ostatnich dziesięcioleciach. Dla jednych tatarników zwał się wtedy „Wipar”, dla innych „Wupa”. „Wuhapem” stał się dopiero po wojnie.

Osobiście poznałem Paryskiego dopiero pod koniec 1945 w „Dworcu Tatrzańskim”, skąd de facto sterował Klubem Wysokogórskim. W 1947 r. Paryski zaczął wydawać „Taternika”. W tymże roczniku w nrze 6 ukazał się mój pierwszy artykuł „Granaty” i to był początek mojej stałej współpracy z „Taternikiem” i Paryskim. Moje kontakty z nim układały się różnie. Przez pierwszych dziesięć lat były bardzo dobre. W czasie każdego pobytu w Zakopanem, a bywałem w tych latach często, co kilka dni odwiedzałem państwa Paryskich, najpierw w „Skierce”, potem w „Śmigle”, i przez wiele godzin rozmawiałem z panem Witoldem. („Panem Witoldem” pozostał zresztą dla mnie do końca życia, chociaż z wielu jego rówieśnikami byłem po imieniu). Pytał o moje zdanie nie tylko w sprawach górskich i wydawniczych – dostarczałem mu wielu materiałów do przygotowywanego przewodnika i do „Taternika” – ale także radził się mnie w swoich całkiem osobistych sprawach. Nieraz bawiliśmy się, pokazując sobie zdjęcia – jakieś mało charakterystyczne fragmenty Tatr – czy rozpoznają? Czasami – rzadko! – musiałem mu się poddać: nie mogłem odgadnąć. A bardzo dobrze znałem wtedy Tatry! Ale i mnie – trochę rzadziej – zdarzało się go zagać. W roku 1956 Paryski wciągnął mnie do komitetu redakcyjnego „Taternika”. Byłem

w nim – nie tylko za jego redakcji – 19 lat.

Po lecie 1957 roku i śmierci Wawy Żulawskiego, pani Zofia zaczęła głośno obwiniać mnie za tę tragedię: nie pozwoliłem „kopać Wawutka”. Przestałem odwiedzać „Śmigło”. Skończyły się moje dobre stosunki z panią Zofią, ale nie z Witoldem. Tyle, że przeszły na etap korespondencji i rzadkich spotkań na innym terenie. Zaczęłem go odwiedzać znowu, o ileż rzadziej, dopiero wtedy gdy przeprowadził się na Koziniec. Nie redagował już wtedy „Taternika”, rozmawialiśmy na dole, ona była na piętrze. W czasie moich dwóch ostatnich pobytów w Zakopanem – drugi tylko dwa dni – już na Koziniec się nie wybrałem. Teraz żal...

Uważałem go za dobrego, może nawet bardzo dobrego redaktora. Odbudowywał „Taternika”, wyciągał go z zapaści. Miał ogromną wiedzę górską. Był człowiekiem pedantycznie skrupulatnym, a równocześnie wiedział, że „bardzo dobre jest wrogiem dobrego” i że do doskonałości można dążyć bez końca. A on chciał kończyć to co zaczynał i do czego gromadził te tysiące teczek materiałów – i kończył. Chciał mieć jeszcze do tego kilkanaście lat. Nie zostały mu dane. Może ktoś, kiedyś, dokończy to, czego on nie zdążył. Może...

Był człowiekiem bardzo złożonym, bogatym, ale trudnym, upartym, nieraz kontrowersyjnym. Nie wiem ilu miał prawdziwych przyjaciół, ale jeśli miał, to już dawno poumierali. Pod koniec życia zostali w swoim gnieździe we dwójkę, jak dwa stare, samotne ptaki. Zostawił ogromną spuściznę o nieprzemijającej wartości – i materiały na drugie tyle.

Wieczne odpoczywanie...

R. W. Schramm – profesor biologii, członek honorowy PZA





Zima pod MAKALU

Skład wyprawy: Krzysztof Wielicki (leader),
 Krzysztof Liszewski, Roman Mazik (lekarz),
 Jerzy Natkański, Maciej Pawlikowski,
 Monika Rogozińska (korespondent), Andrzej Samolewicz,
 Piotr Snopczyński, Dariusz Załuski, Jarosław Żurawski,
 Gja Tortladze (Gruzja).

*Sukcesne przekroczenie od
 uczestników wyprawy,
 Percusie, subiej pryncypdy*

Z. K. M.

Postanowiliśmy odejść od tradycyjnego sprawozdania z wyprawy. Prezentujemy czytelnikom zestaw niezbędnych informacji, które dokumentują przebieg zimowych zmagañ pod piątą górą świata. Jako ciekawostkę przytaczamy krótki wywiad z M. Batardem, który reprezentuje popularny na Zachodzie styl uprawiania himalaizmu oraz typowe podejście do himalaizmu zimowego. (Red.)

Przebieg zimowej wyprawy na Makalu przedstawiamy w wypowiedziach uczestników: Krzysztofa Liszewskiego, Macieja Pawlikowskiego, Krzysztofa Wielickiego. W przypadku dwóch ostatnich osób wykorzystaliśmy fragmenty wywiadów udzielonych A. Rajwie („Tygodnik Podhalański” 6/2001) i M. Rogozińskiej („Rzeczpospolita” 18/2001).

Pawlikowski: Założyliśmy bazę wysuniętą tam, gdzie zwykle letnie wyprawy ustawiają bazę główną. (...) Podejście do niej było długie i uciążliwe, po lodowcu i usypiskach kamiennych. (...) Po rozpoznaniu warunków i trudności na filarze, a także uwzględniając długie podejście do bazy wysuniętej, [Krzysztof] postanowił zmienić plan działania.

Liszewski: Właściwie to szczęśliwie się stało, że się wycofaliśmy, bo później mieliśmy okazję zobaczyć wręcz lawiny kamienne schodzące zlebem, w którym założyliśmy poręczówki. Tam trzeba było pokonać ok. 50 m. przewężenia, gdzie można było przyjąć wszystko „na siebie”. Zaczęliśmy chyba nienajlepszym wariantem. Być może trzeba było wybrać wariant bliżej spiętrzenia filara. Gdybyśmy kontynuowali drogę, to prawdopodobnie w końcu zabrakło by nam jakieś 1500 m poręczówek. Mieliśmy za mało sprzętu skalnego.

Zima pod Makalu

Pawlikowski: Tej pierwszej drogi można nie liczyć. Tam jeszcze nie było specjalnej straty.

Wielicki: Przyszło mi się, że przeliczyłem się z siłami i zbyt ambitnie wybrałem cel. Wydawało mi się, że taką górę, jak Makalu w zimie trzeba zdobyć trudną, piękną drogą, jaką jest *Zachodni Filar*.

Pawlikowski: Po odpoczynku w bazie nastąpiła mobilizacja sił i ruszyliśmy w zespołach w kierunku Przełęczy Południowej. (...) Poręczając drogę dotarłem do wysokości 6700 m. (...) Uważałem, że skoro dotarliśmy już do grani południowo-wschodniej, to powinniśmy atakować dalej w kierunku południowego wierzchołka. Wiatr zniszczył nam tam obóz II i być może wspinaczka na grani w silnym wietrze byłaby trudna i niebezpieczna.

Liszewski: Zespół, który został na *Drodze Japońskiej* miał taką koncepcję, żeby kontynuować ją dalej, ale oni zakładali, że droga w pewnym momencie się ułatwi. Z opisów wynikało, że po chińskiej stronie, przy dobrych warunkach śnieżnych można dojść do kotła śnieżnego i nim wyjść na wierzchołek pd-wsch, a stamtąd już droga jest dosyć prosta. Nie było jednak żadnej gwarancji, ponieważ myśmy nie widzieli tej drogi. Droga granią wcale nie była taka łatwa, a przy silnym wietrze była raczej niemożliwa. Szansą było przejście na stronę chińską, ale wszystko zależało od warunków śnieżnych. Z tego co widziałem, to nie było tam śniegu, wszystko było wywiane. Wierzchołek Makalu też był zupełnie czarny. Nie wróżyło to powodzenia.

Pawlikowski:...Krzysiek podjął decyzję o kolejnej zmianie drogi. Uważał, że *Droga Japońska* jest bardzo długa, trudna, a uczestnicy wyprawy są mocno wyczerpani, niektórzy wyłączeni z działalności górskiej przez choroby, dlatego próbował możliwości łatwego, szybkiego wejścia na szczyt na *Drodze Klasycznej*. (...) Dostosowałem się do decyzji kierownika i w Boże Narodzenie wyruszyliśmy na drogę pierwszych zdobywców.

Wielicki: ...kiedy zdecydowaliśmy się na łatwiejszą drogę, to w ciągu dwóch dni powstały dwa obozy. Osiągnęliśmy natychmiast taką samą wysokość.

Pawlikowski: Sylwestra spędziliśmy w bazie. W tym dniu z Jarkiem Żurawskim wracaliśmy do „jedynki” błędząc w zawieie śnieżnej na lodowcu i, mimo zmęczenia, dotarliśmy późnym wieczorem do bazy. (...) W pierwszych dniach stycznia ruszyliśmy ponownie w górę. (...) Po kolejnym zejściu do bazy i odpoczynku miał nastąpić ostateczny atak w dniach 9-10 stycznia. Pierwszy wyruszył Krzysztof Liszewski i Gia Torladze. Na drugi dzień podażyłem za nimi razem z Jurkiem Natkańskim. Podjęliśmy tę ostatnią próbę, licząc na to, że ryk wiatru na grani ustanie i może uda się wejść wyżej. Kondycyjnie byliśmy już jednak słabsi, mieliśmy za sobą 40 dni działalności górskiej. Po naszym dotarciu do „jedynki” okazało się, że obóz został częściowo zniszczony, a wyżej Krzysztof i Gia zobaczyli, że obóz II został zmieciony przez wiatr, a sprzęt rozrzucony.

Liszewski: Myśmy [z Gią Torladze] byli bardzo zdeterminowani żeby atakować z takim przygotowaniem, jakie było, tzn. z obozem II na 6900 m i poręczkami na 7100 m. Chcieliśmy wyjść na przełęcz Makalu La i spróbować zaatakować. Warunki były jednak takie, że mieliśmy zniszczone obozy i byliśmy bez żadnego zaplecza i możliwości wycofania się przy niepowodzeniu. Po zniszczeniu ostatniego namiotu, po prostu mogliśmy nie wrócić do bazy.

Wielicki: Powinniśmy wcześniej wyjechać, co więcej kosztuje. Należy się zaaklimatyzować jesienią, aby skrócić czas zimowej działalności. Więcej niż czterdzieści dni odbiera szansę: ludzi nękają choroby, nie wytrzymują psychicznie.

Pawlikowski: Organizacja każdego ataku była bardzo sprawna, tylko że wy-

Przyszło mi się, że przeliczyłem się z siłami i zbyt ambitnie wybrałem cel. Wydawało mi się, że taką górę, jak Makalu w zimie trzeba zdobyć trudną, piękną drogą, jaką jest Zachodni Filar.



Zima pod Makalu

Są po prostu
dwie filozofie
wspinania
w Himalajach.
Nie mam
nic przeciwko tej
łatwiejszej,
tylko czy
ona coś wnosi do
himalaizmu?

cerpywały się siły. Założenia były takie, że wejście musi się odbyć w zimie kalendarzowej. Działalność rozpoczęliśmy przed zimą kalendarzową, ale w zimie „nepalskiej”.

Wielicki: O innych wejściach zimowych z Jurkiem Kukuczka, z Leszkiem Cichym, kiedy sam wchodziłem – decydował łut szczęścia, chwila ciszy. Na Makalu takiej możliwości nie mieliśmy.

Liszewski: Było to bardzo korzystne doświadczenie jeśli chodzi o wyznaczanie kolejnych celów.

Wielicki: Uważam, że stawianie sobie trudno osiągalnych celów jest dobrą ideą i wielką szansą dla polskiego himalaizmu.(...) ...kierunek zapoczątkowany przez Andrzeja Zawadę jest słuszny, niezależnie od tego, jak bardzo krytykowany. W wielkiej eksploracji Himalajów niewiele już zostało do zrobienia. Oczywiście przeciwnicy alpinizmu zimowego będą mówić: po co się tak męczyć, skoro można pojechać kiedy jest ciepło, z upału podwija się rękawy koszul i ma się dziewięćdziesiąt procent szans na wejście na szczyt. Są po prostu dwie filozofie wspinania w Himalajach. Nie mam nic przeciwko tej łatwiejszej, tylko czy ona coś wnosi do himalaizmu?

zebrał Z.P.

Kalendarium wyprawy zimowej na Makalu

- 23.11. Pierwsza grupa wylatuje z Polski o dociera do Kathmandu.
- 25.11. Wylot z kraju drugiej grupy.
- 29.11. Przelot z Kathmandu do Lukli.
- 30.11. – 1.12. loty helikopterowe do Tashigaon (2070 m).
Natkański i Załuski przelatują bezpośrednio do bazy (4800 m).
6. 12. Złożenie bazy wysuniętej na lodowcu Barun (5300 m).
9. 12. Powstaje I obóz na *Filarze Francuskim* (5800 m).
- 10.12. Decyzja o wycofaniu się z dalszej działalności na *Filarze Francuskim*.
- 13.12. Założenie obozu I (5400 m) na ścianie południowej, pod *Czeskim filarem*, w drodze do pd-wsch. grani japońskiej, (Załuski, Żurawski, Pawlikowski)
- 15.12. Powstaje obóz II (6400 m) na *Drodze Japońskiej*, tuż pod Przełęczą Południową (Wielicki, Natkański).
- 19.12. Pawlikowski i Żurawski poręczując ok. 500 m osiągają na *Drodze Japońskiej* wysokość 6800 m.
- 20.12. Huraganowy wiatr niszczy obóz II
- 21.12 – 22. 12. Likwidacja obu obozów na ścianie południowej.
- 22.12. Początek działalności na drodze pierwszych zdobywców (przez zach. ścianę i przeł. Makalu La). Zał. bazy wysuniętej (5350 m) na lod. Chago.
- 26.12. Powstaje pierwszy obóz (6200 m) na *Drodze Klasycznej*.
- 28.12. Torladze, Liszewski i Snopeczyński zakładają obóz II (6600 m).
- 30.12. Wielicki i Załuski docierają do wys. 6900 m, pod kuluar wyprowadzający na Makalu La (7410 m).
6. 01.Obóz II zostaje przeniesiony o 200 m wyżej (6800 m).
7. 01.Pawlikowski i Liszewski zakładają ok.150 m poręczówek w dolnej części kuluaru i przekraczają wys. 7000 m.
9. 01.Wielicki, Załuski i Żurawski schodzą do bazy wysuniętej po dwóch dobach oczekiwania w obozie II na poprawę pogody.
- 12.01. Torladze i Liszewski znajdują kilkaset metrów niżej resztki obozu II.
Wiatr niszczy także obóz I.
- 13.01. Wielicki podejmuje decyzję o zakończeniu wyprawy.
- 15.01. Ewakuacja helikopterem do Kathmandu.
- 20.01. Powrót do kraju.



Specjalnie dla „Taternika”

Marc Batard o Filarze Zachodnim i himalajskiej zimie

O Makalu mówi specjalnie dla „Taternika” Marc Batard – jeden z czołowych alpinistów francuskich, znany ze swoich bardzo szybkich wejść w Himalajach i Alpach. W 1988 r. wszedł na Makalu *Filarą Zachodnią*. Po zaporęczowaniu *Filara* wraz z dwoma Szerpami do wys. 7750 m, zszedł do bazy (4950 m). 26 kwietnia o godz. 14 wyruszył na wspinaczkę. Na wys. 7300 m przespał się 2 godziny w jamie śnieżnej i o 2.30 w nocy wyruszył na wierzchołek, który osiągnął o godz. 9.45.

„T”: Jak traktujesz swoje sprinterskie wyczyny?

M.B.: Moje wejście wprost z bazy na wierzchołek Makalu w ciągu 18 godz, to tylko faza przygotowań do szybkiego wejścia na Everest, ale ani pokonanie Everestu w 24 godziny, ani wejście na Makalu nigdy nie traktowałem w kategoriach bicia rekordu. Chciałem się sprawdzić, był to test mego organizmu.

„T”: Dlaczego wybrałeś *Filarę* uważany za drogę znacznie trudniejszą niż normalna?

M.B.: Droga na *Filarze* jest krótka i logiczna, ma tylko jedno naprawdę trudne miejsce: tzw.uskok. Jest tam jednak dużo sprzętu i lin, z których można korzystać. Poza tym nie ma nikogo, żadnej przepychanki na poręczówkach. Miałem natomiast to czego szukam w górach: odizolowanie od świata.

„T”: Schodziłeś drogą normalną...

M.B.: Tak, i to był koszmar, potworna, długa droga. Dojście do przełęczy na 7400 m jest takie, że można łatwo się zgubić w tej bieli. Działy tam dwie wyprawy, które nie mogły się dogadać. W rezultacie założono podwójne poręczówki z przełęczy. Tak wygląda wspinanie na drodze normalnej; to

nie jest alpinizm.

„T”: Dlatego rzuciłeś góry?

M.B.: Po ostaniej wyprawie na Shishapangmę, klientka wytoczyła mi proces. Byłem kierownikiem i przewodnikiem. Podczas naszego zejścia mieliśmy przygodę z lawiną. Oskarżono mnie o to, że poprowadziłem w niebezpiecznym terenie. Proces trwa. Ta sprawa i to, co aktualnie dzieje się w górach, to wszystko mnie zniechęciło. Góry stały się narzędziem do robienia pieniędzy.

„T”: Wracając do Makalu, czy wiesz że Krzysztof Wielicki atakował tej zimy bez powodzenia *Filarę Zachodnią*?

M.B.: Nie, nie wiedziałem ale szkoda, że zrezygnował z *Filara*. Może strasznie wiało? Nie znam osobiście Wielickiego ale słyszałem o nim. To jeden z Wielkich.

„T”: Wielicki był kierownikiem dużej, tradycyjnej wyprawy.

M.B.: To w Polsce można zdobyć pieniądze na organizowanie takich wypraw? Pod Makalu byłem sam, z dwoma Szerpami, którzy mi pomagali do śnieżnej jamy na 7350 m poręczując i wnosząc sprzęt. Kosztowało mnie to tylko 60 000 franków (ok.10 tys. USD), bo byłem sam i działałem szybko.

„T”: Czy przyszłość w Himalajach to małe lub indywidualne wyprawy?

M.B.: Na pewno, ale jest też wielu alpinistów, chcących pokonać drogi pierwszych zdobywców z wyprawami tradycyjnymi lub komercyjnymi. Góry są dla wszystkich.

„T”: A himalaizm zimowy?

M.B.: Byłem na Dhaulagiri zimą, aklimatyzowałem się w listopadzie i 1 grudnia wyruszyłem z bazy, a 2 grudnia byłem na szczycie. Himalajska zima wymaga łutu szczęścia. A w ogóle jest to strata czasu i pieniędzy. Zostawiam to wam, Polakom!

zdjęcie i rozmowa: Małgorzata Fromenty-Bilczewska

Afryka mniej dzika

Maroko, Wąwóz Todra

Piotr Xięski



to praktyczny przewodnik po skalnym wąwozie Todra w Maroku. Wąwóz ten jest aktualnie jednym z popularniejszych skalnych rejonów, odwiedzanych w okresie zimowym przez wspinaczy z całej praktycznie Europy. Nasi rodacy również pojawiali się tu parokrotnie w ostatnim dziesięcioleciu, co odnotowano w książkach wyjść prowadzonych przez każdy z hoteli znajdujących się w dolinie.

Wspinanie

Wąwóz Todra należy geograficznie do Atlasu Wysockiego. Góry te, ze względu na swoją bardzo długą geologiczną przeszłość, wyglądają jak wielka kupa kamieni. Taki charakter ma również górna część wąwozu. Brak roślinności i niewielka liczba przedstawicieli fauny nadają krajobrazowi iście księżycowy wygląd. Pod względem wspinaczkowym Todra jest bardzo podobna do Pahlenicy w Chorwacji. Złotawy wapień z wręcz niesamowitym tarcieciem sprawia że jeszcze długo po opuszczeniu doliny, opuszki naszych palców będą „liniały”. Po powrocie

Piotr Xięski – instruktor PZA,
przez KW Katowice

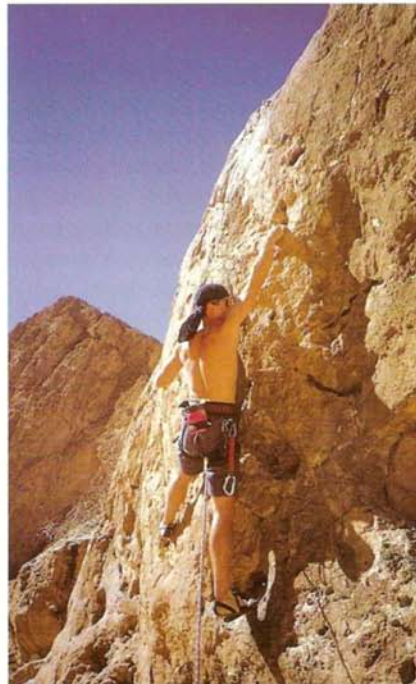
<http://pza.org.pl>

przyczynimy się zapewne do zmniejszenia recesji na rynku sprzętu outdoorowego. Buty wspinaczkowe po tym wyjeździe też nie wyglądają najlepiej.

Todra jest doskonałym miejscem dla wspinaczy na średnim poziomie, zwłaszcza zainteresowanych drogami wielowyciągowymi. Większość dróg wyceniana jest tutaj na 6a/6b w skali francuskiej; najdłuższe mają ok. 10 wyciągów. Stosunkowo niewiele jest tu dróg o typowo sportowym charakterze, zwłaszcza trudniejszych niż 7b. Jedynie w sektorze Can Gulich amatorzy większych trudności w przewieszeniu znajdują coś interesującego. W całej dolinie jest natomiast mnóstwo miejsca na nowe drogi. Po prostu hektary dziewiczej skały. Asekuracja, podobnie jak w większości tego typu miejsc w Europie, ze stałych punktów. Odległości pomiędzy przelotami są czasami nieco „moralne”, co tylko dodaje wspinacze smaku. Niestety, dłuższe loty w tym rejonie nie należą do przyjemności. Duża szorstkość skały może spowodować głębokie, bolesne otarcia.

Noclegi

W dolinie jest obecnie pięć hoteli, oferujących nam swoje usługi. Hotel Les Roches, w którym nocowała większość z polskich wspinaczy bywających tu w przeszłości, stał się dosyć drogim miejscem. Jedyną rozsądną opcją, jaką można wynegocjować przy dłuższym pobycie, to nocleg z 2 posiłkami dziennie – 90 DH. Sam nocleg w karcie hotelowej kosztuje około 140 DH za pokój dwuosobowy. Z opisów naszych poprzedników wynika, że jedzenie śmierdzi kożą. Hotel Jasmina, znajdujący się nieopodal Les Roches jest jeszcze droższy. Tańszą ofertę posiadają trzy „hotele” znajdujące się tuż przy wlocie do wąwozu. Ceny są bardzo podobne (20-25 DH za osobę), ale najlepszy, jeśli można użyć tego określenia, standard ma Hotel La Valee. Wszystkie te miejsca liczą na zyski pochodzące z prowadzenia „restauracji” hotelowej. Właściciele nie byli zbyt zachwyceni gotowaniem przez nas własnych posiłków na tarasie. Nie należy jednak ulegać presji. Żarcie we wszystkich „pensjonatach” jest drogie i nie najlepszej jakości. W razie narastających problemów, choćby z ciepłą wodą lub zapchanymi toaletami, zawsze można się przenieść do konkurencji. Zakupy najlepiej jest robić w Tinerhir, jednak można również odwiedzić mały sklepik w najbliższej wiosce, oddalonej o 5 minut od wąwozu. Produkty w kioskach na początku doliny są dwukrotnie droższe niż wynosi ich realna wartość.



fot. Adam Potoczek

Sektory

Położenie sektorów pozwala na prowadzenie działalności sportowej praktycznie przez okrągły rok. Wysokość ścian dochodząca do 300 m połączona z niewielką szerokością wąwozu zapewnia cię na sporej części sektorów. Latem miejsca te są zapewne jedynymi odwiedzanymi przez wspinaczy. W okresie zimowym należy wiązać plany wspinaczkowe ze ścianami nasłonecznionymi. Temperatura w słońcu wynosi średnio 25°C. Po znalezieniu się w strefie cienia spada do kilku stopni powyżej zera.

Na początku pobytu w dolinie warto wspiąć się w sektorze La Plaja, znajdującym się tuż w okolicy hotelu La Valee. Po południu swoje położone płyty oferuje nam sektor Les Jardines w głębi doliny. Najładniejsze, moim zdaniem, drogi znajdują się w sektorze Traine Blanche. Słońce ogrzewa nas tam praktycznie przez cały dzień. Drogi o trudnościach 6c do 7b i wręcz niesamowitym uroku, występują tam w dużym nagromadzeniu. Bardzo piękne i długie drogi czekają nas na ścianie Couchant, która w pierwszej chwili kojarzy się z Petit Dru. Dziewięć wyciągów solidnego wspinania oraz godzinny powrót w doliny dają przedsmak górskiej przygody.

Sprzęt

Najlepiej wziąć ze sobą linę podwójną. Odległości pomiędzy stanowiskami na drogach wielowyciągowych wynoszą prawie zawsze 30 m i więcej. 50-metrowa lina pojedyncza z pewnością sprawi nam sporo kłopotów. Oprócz kompletu ekspresów, warto zabrać kilka kostek. Kask jest również pożytecznym sprzętem, zwłaszcza dla asekurującego. Kruszyzna nie jest tu zbyt duża, ale zdarzają się magazyny rumoszu na tarasach i większych półkach.

Przewodniki

Nie należy się do tego kraju wybierać bez dobrego przewodnika turystycznego. Pole-

cenia godny jest jak zwykle przewodnik z serii Lonely Planet dostępny w języku polskim w wydaniu Pascala. Przewodniki wspinaczkowe, tak samo jak jakiegokolwiek sprzęt wspinaczkowy, są w okolicach doliny nie do kupienia. Istnieje przewodnik po Todrze, wydany w j. francuskim przez Guy Aberta. Można go nabyć za pokaźną kwotę 180 fr. przez Internet www.alpinisme.com, ale raczej nie warto. We wszystkich hotelach w dolinie można wypożyczyć powielaczowe wersje schematów z różnych źródeł. Jakość tych materiałów jest kiepska, ale po kilku dniach nasza orientacja w terenie z pewnością się poprawi. Niestety, na wejściach w drogi nie ma żadnych opisów ani wycen.

Transport

Jedynym godnym polecenia sposobem na znalezienie się w Królestwie Maroka jest samolot. Najtańszą ofertą są loty czarterowe, organizowane przez niemieckie biura zajmujące się „turystyką plażową”. Nasz wyjazd skorzystał z oferty firmy TUI – 1250 zł za przelot z Lipska do Agadiru, ale nie jest to jedyne rozwiązanie. Polecam odwiedzenie strony www.specialflights.com. Można tam znaleźć oferty przelotu z dwutygodniowym pobytom w Maroku, nawet za 330 marek. Bilet zakupiony w niemieckiej firmie przeważnie gwarantuje nam dodatkowo gratisowy transport kolejowy od granicy do miejsca wylotu.

W samym Maroku, na dłuższych trasach najtaniej jest poruszać się autobusami. Przeważnie zapewniają one przyzwoity standard, zwłaszcza, jeśli są to autobusy CTM – taki nasz Polski Express. W przypadku firm prywatnych należy spodziewać się trochę gorszych warunków podróży, za to większej egzotyki.

Taxi

W tej materii można naprawdę poszaleć. Pomimo delikatnie wyższej niż w Polsce

ceny paliwa, koszt wynajęcia taksówki stanowi tutaj 30% polskiej ceny. Obowiązuje podział na Petit Taxi, jeżdżące tylko wewnątrz miasta oraz Grand Taxi, kursujące na stałych trasach. W roli Grand Taxi występują praktycznie zawsze Mercedesy 220 mające 25-30 lat! Do takiej taksówki wsiada 6 pasażerów plus kierowca. Na przednim siedzeniu pasażera podróżuje 2 klientów...

Agadir

Większość lotów czarterowych tutaj się właśnie kończy. Po wylądowaniu należy w miarę szybko udać się do odprawy paszportowej. Zostaniemy tam zapytani o miejsce zakwaterowania w Maroku (żaden z odprawiających nas oficerów nie wiedział, co to jest wąż Todra – być może nie mieli szkolnych wycieczek do marokańskiego „Morskiego Oka”). Aby ułatwić im pracę, a sobie oszczędzić kłopotów, należy powołać się na któryś z hoteli wymienionych w tekście, np. El Hoda w Tinerhir. Jeżeli uda nam się odprawić w miarę szybko, będziemy mieli okazję dostać się do któregoś z autobusów wiozących klientów firm turystycznych do hoteli w Agadirze. Jeśli nam się to nie uda, koniecznym jest wzięcie taksówki. Koszt taryfowy 150 DH. Odległość do miasta ok. 30 km. Tanie hotele znajdują się w okolicach dworca CTM. Polecam Hotel Canaria, nocleg circa 40 DH na osobę. Przylatując do Agadiru, który jest popularnym kurortem turystycznym, musimy koniecznie... wykapać się w Atlantyku. Następnym etapem podróży jest Tinerhir, miasteczko u wylotu wąwozu Todra. Aby się tam dostać musimy pokonać 550 km autobusem! Możliwe jest odbycie tej podróży w jednym 10-cio godzinnym kawałku, można również zwiedzić po drodze słynny Marakesh lub Warzazat. Bezpośrednio do Tinerhir kursują jedynie autobusy prywatne, ale całkiem przyzwoitej klasy.

Tinerhir

Małe, sympatyczne miasteczko u podnóża Atlasu. Tutaj można zrobić większe zakupy żywnościowe, zjeżdżając co kilka dni z doliny Grand Taxi za 6 DH na osobę. W przypadku konieczności zanocowania w Tinerhir polecam Hotel El Hoda 20-30 DH na osobę.

Wiza

Dla obywateli RP konieczna jest do Maroka wiza wjazdowa. Warunkiem jej otrzymania jest zaproszenie, względnie wykupiona impreza w biurze podróży. Pismo z naszego Klubu, skierowane do Ambasady Królestwa Maroka pomogło nam uczynić wyłom w tej regule. Dla zainteresowanych adres: Ambasada Królestwa Maroka, 02-516 Warszawa ul. Starościeńska 1 m.11/12, tel.(22)8496341

Waluta

Obowiązującą walutą jest dirham. W przybliżeniu, 1 DEM możemy wymienić na ok. 5 DH. Dla lepszej orientacji w cenach, należy mnożyć cenę marokańską przez 0,4. Otrzymamy wtedy równowartość kwoty w złotych. Z wymianą walut nie ma żadnego problemu. W większych miastach jest sporo bankomatów, akceptujących większość kart kredytowych. Niestety, w Tinerhir, czyli w miasteczku u wylotu wąwozu Todra, istniejące bankomaty w dwóch bankach nie zaakceptowały naszych kart.

Bezpieczeństwo

Kraj ten w zupełności można uznać za przyjazny i bezpieczny. Podczas czterotygodniowego pobytu nie zanotowaliśmy żadnej próby kradzieży posiadanych przez nas rzeczy, jak również jakichkolwiek objawów agresji. Uciążliwe po pewnym czasie bywa nagabywanie ze strony tubylców, niekoniecznie związane z ich działalnością handlową. Wygląda na to, że miejscowi po prostu lubią pogadać. Islam ma tutaj również bardziej ludzką twarz, niż obiegowe opinie i nasze oczekiwania. Na plaży

w Agadirze widzieliśmy nawet kilka „topleśw”, co prawda europejskich, ale dobre i to.

Zdrowie

Z wyjazdem do Maroka nie wiąże się obowiązek żadnych szczepień. Po powrocie warto przebadać się na obecność ameby, lub innych pasożytów naszego układu pokarmowego.

Jedzenie

W zasadzie ceny produktów żywnościowych są identyczne jak w Polsce. „Chińskie zupki” oraz „gorące kubki” są nie do kupienia. Smakoszy wędlin również spotka rozczarowanie – tego typu produkty są tam niespotykane. Poza tym wszelkie znane nam produkty żywnościowe są dostępne. Należy zabrać ze sobą palnik benzynowy. Kartusze EPI-Gas, bądź Coleman są nie do nabycia. Można w większych miastach kupić kartusze i palniki Camping Gas oraz Bluet. Przewożenie pojemników z gazem w samolocie jest zabronione przepisami bezpieczeństwa IATA. Własny palnik przyda się również osobom, które zamierzają korzystać z restauracji. Kuchnia marokańska jest bardzo prosta. Właściwie występują trzy dania główne. Na śniadanie można zjeść omlet oraz pieczywo z dżemem. Gotowanie we własnym zakresie staje się więc koniecznością już po kilku dniach pobytu.

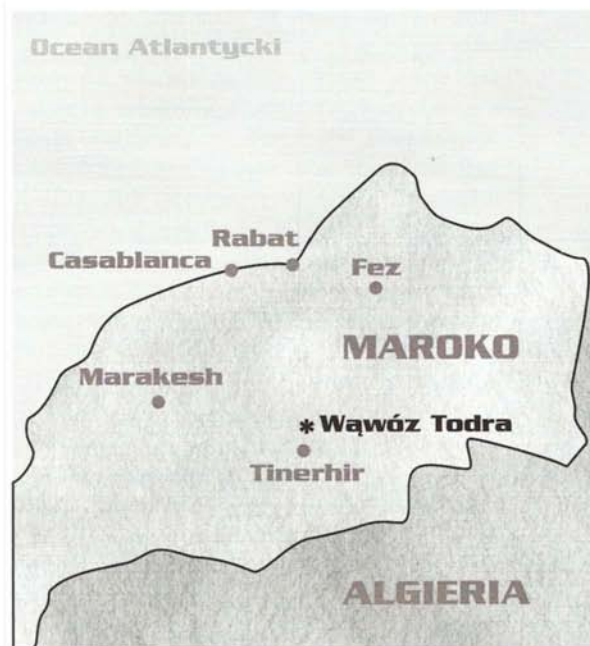
Inne atrakcje

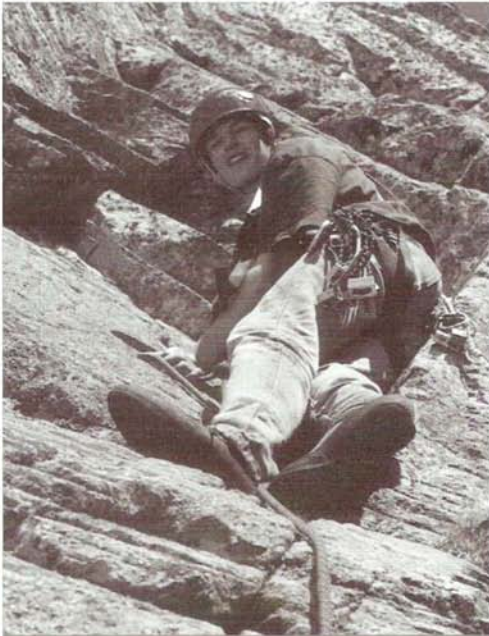
Maroko to bardzo interesujący, egzotyczny, a jednocześnie przyjazny kraj. Trudno więc sobie wyobrazić wyjazd do tego państwa bez poświęcenia części pobytu na poznanie turystycznych jego atutów. Bardzo interesującym miejscem jest Marakesh, z klimatem wiecznego odpustu na placu Jamma El Fna. Zaklinacze węzów, szamani i akrobaci wypełniają cały plac każdego wieczora. Wszystko bardzo ciekawe, chociaż w „cepliowskim” stylu. Ciekawą wycieczką, zwłaszcza dla osób nie mających wcześniejszych

doświadczeń w tej materii, jest wizyta na pustyni. W miejscowości Merzouga, 50 km od Erfoud, znajduje się jedyny w Maroku piaszczysty erg. Polecenia godne jest odbycie podróży do Merzougi na dachu tzw. Berber Taxi – wrażenia niezapomniane...

Największą jednak atrakcją w całym Maroku jest Fez. Starożytne miasto z istniejącą średniowieczną zabudową po prostu zapiera dech w piersiach. Instalacje elektryczne, telefony, widokówki, kilka banków – to nieliczne produkty naszej cywilizacji, zaprzeczające wrażeniu, że po wejściu do medyny Fezu czas cofnął się o jakieś 500 lat. Zwiedzanie Fezu powinno być ostatnim punktem turystycznej części naszego programu. Po wizycie w tym miejscu inne atrakcje tracą bardzo dużo ze swego blasku.

Więcej informacji : www.kw.katowice.pl





Nowy talent?

Adam Bielecki to młody człowiek mieszkający w Tychach. Minionego lata atakował Szczyt Lenina (7134 m) oraz wszedł na Chan Tengri (7010 m). Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie wiek Adama...

„T”: Ile masz lat?

Adam: Siedemnaście.

„T”: Kiedy zacząłeś się wspinać?

Adam: Pierwszy raz w Tatrach wspinałem się w 1999 r. Miałem wtedy 15 lat. Wszystko jednak zaczęło się rok wcześniej w skałkach, w okolicach Rzędkowic i Podlesic.

„T”: Co zaliczyłbyś do swoich dotychczasowych osiągnięć?

Adam: Przede wszystkim wejście na Chana. W Tatrach lubię długie klasyki. Przeszedłem latem *Filar Mieguszowieckiego Szczytu, Łapińskiego-Paszuchy* na Kazalnicy, drogę *Starka-Uchmańskiego* na Czolówce a zimą m.in. *Depresję Niżnych Rysów* i *Szare Zacięcie*. W kwietniu ubiegłego ro-

ku, w letnich warunkach, poprowadziłem nową drogę na Żabim Mnichu. Wchodziłem też normalnymi drogami na Materhorn, Monte Rosa i Mont Blanc. Miałem wtedy 16 lat.

„T”: Nie wspomniałeś o ubiegłorocznej próbie wejścia na Szczyt Lenina w Pamirze.

Adam: Lenin to była katastrofa. Podczas całego pobytu zdarzyły się tylko 3 dni względnej pogody. Planowałem wejście non-stop przez północną ścianę. Warunki śnieżne były jednak takie, że musiałem zmienić plany i próbować wejścia drogą normalną. Doszedłem do ok. 7000 m. Wiatromierz moich hiszpańskich przyjaciół przy wskazaniu 130 km/godz. po prostu się rozleciał, mieliśmy zupełny brak widoczności, podczas ostatniej próby spadłem kilkadziesiąt metrów z lawiną. Nie było szans.

„T”: A jak wyglądało wejście na Chana?

Adam: Z bazy na lodowcu Inylczek Północny wyruszyłem sam. Spakowałem plecak, tak aby być samowystarczalny i z pełnym obciążeniem posuwałem się w górę nocując w kolejnych obozach. Na przełęczu nocowałem w śnieżnej jamie. Pogoda była zmienna więc musiałem przeczekiwać gorsze okresy. Po ośmiu dniach działalności górskiej i wejściu na szczyt w nienajlepszych warunkach (fatalna widoczność) wróciłem do bazy.

„T”: Co na to rodzice?

Adam: Mama przed każdym wyjazdem jest pełna obaw. Mam starszą siostrę, która również dużo podróżuje. Kibicuje nam tata.

„T”: Jakie są Twoje najbliższe plany?

Adam: Bardzo podoba mi się Galeria Gankowa. Wybieram się tam na drogę *Łapińskiego-Paszuchy*. Na wakacje planuję wyjazd na Pik Pobiedy (7439 m) a w 2002 roku chciałbym wejść na Cho Oyu. Przygotowuję ten wyjazd wraz ze swoimi przyjaciółmi i Damianem Benegasem z USA.

„T”: Czy możemy liczyć na relacje z tych wypraw?

Adam: Z przyjemnością o nich opowiem.

Rozmawiał Zbigniew Piotrowicz



Krzysztof Starek na drodze *Preludium VIII*, fot. Michał Skiba

Tatry Wysokie Lato 2000

Marcin Michałek

Ubiegłoroczny tatrzański sezon letni minął bez specjalnych wydarzeń i przełomów wspinaczkowych.

Wspinano się dużo i ładnie, ale... głównie w Morskim Oku. Niechęć współczesnego pokolenia „łojarzy” do eskapad w mniej znane ogłowi rejony Tatr Słowackich zaczyna być paranoidalna. Tabor wielokrotnie pękał w szwach, nie mogąc pomieścić wspinaczy, którzy musieli spać w „Relaksie” czy „komórcie na śmieci”, a mimo to nikomu (no, prawie nikomu) nie przyszło do głowy, że można by się wybrać na drugą stronę Tatr, gdzie z reguły panuje cisza niezmaczona przez harmider ceprów wrzeszczących nad stawem, a ściany wręcz zapraszają do wspinania (i to ostrego). Być może wiąże się to z lenistwem, a być może z brakiem możliwości zdobycia szybkiej „sławy”. Od lat wiadomo, że wyceny TAM solidne, a i z asekuracją poważniej.

Pogoda dopisała (jak na Tatrach) i po dość mokrym i nieciekawym wspinaczkowo lipcu zapanował długi okres dobrej i słonecznej aury.

Jeśli chodzi o tendencje wspinaczkowe, to od kilku lat na nie ulegają zmianie: krótkie i dobrze obite drogi są najczęściej oblegane. Nasza najpoważniejsza ściana – Kazalnica Mieguszowiecka – otrzymała ok. 20 przejść (co jest normą w ostatnich latach) i – także jak zwykle – wybrały się zaledwie dwa, trzy zespoły! Podobnie sprawa dotyczy wschodniej ściany Mnicha – ok. 10 przejść klasycznych powyżej stopnia „skrajnie trudno” nie stanowi powodu do zadowolenia.

Postęp w taternictwie (przynajmniej do-

tyczącym klasyki) został zdecydowanie przyhamowany; tak naprawdę od prawie 10 lat trwa ono na jednym poziomie. Charakterystyczne jest to, że większość ciekawych przejść dokonują zespoły wspinające się od (właśnie!) dziesięciu i więcej lat! Co prawda, co roku pojawiają „młodzi gniewni”, ale po jednym czy dwóch sezonach znikają z Tatr (mowa, rzecz jasna, o trudnych drogach). A przecież wiadomo, że góry wymagają przede wszystkim doświadczenia i obycia z terenem górskim, których nabywa się przez długie tam przebywanie. Być może dlatego poziom klasycznego wspinania nie rośnie ani ilościowo, ani jakościowo. Miejmy jednak nadzieję, że sytuacja ta zmieni się w następnych sezonach. Jednocześnie wyraźnie daje się odczuć wzrost zainteresowania „hakową”. Każdego roku coraz więcej zespołów zjawia się na taborze z ławeczkami w plecakach, a także drogi jak np. *Polski*



Michał Skiba w trudnościach *Preludium*,
 fot. Krzysztof Starek

Muppet Show na Ministrancie do niedawna ekstremalne, przechodzą do klasy dróg często powtarzanych. W kategorii „nowe drogi” nic szczególnego się nie działo – nikt nie zrobił nic „straszego”. Z najtrudniejszych klasycznych dróg Morskiego Oka w tym sezonie tylko Wariant R (Mnich, IX-) doczekał się kolejnego, ósmego już przejścia, za sprawą krakowskiego zespołu: Monika Niedbalska i Paweł Kopta. Drugiego przejścia klasycznego doczekał się Kant Filara (Kazalnica) pokonywany oryginalnie. Zespół: Krzysztof Krawczyk, Jan Ap-

pelt po drugim przejściu obniżył trudności tego wariantu z VIII/ VIII+ na VII+/VIII-, co powoduje prawie wyrównanie się trudności obu wariantów (oryg. i Kurtyki). Wobec takiej sytuacji, przestaje (chyba) mieć znaczenie którądy dany zespół przeszedł (oba warianty to zaledwie kilka metrów). Z dróg dla „majsterkowiczów”, aż trzech przejść jednego lata doczekał się słynny okap na Ministrancie – *Polskie Muppet Show* (V+ A2+) – w tym jedno w 9 godzin (zespół: Ryszard Hyrny – Bogusław Kowalski) Droga przestała być „straszna”, a ze względu na sporą ilość stałych haków zaproponowana została wycena A2+. W tym sezonie najwięcej „zamieształ” Łukasz Muller, który w pięknym stylu (OS), jako pierwszy samotnie pokonał drogę Daga VII+ na Kotle Kazalnicy (4p. klasyczne w ogóle; ostatnie powtórzenie tej drogi było 11 lat temu!). Mimo relatywnie niskich technicznie trudności *Dag*

jest drogą bardzo poważną (mała ilość haków, pionowe trawy, nie całkiem lita skała) i przejście to zasługuje na miano PRZEJŚCIA SEZONU. Efektowną łańcuchówką popisał się Arek Gąsienica-Józkowy, który za cel postawił sobie pokonanie solo wszystkich dróg *Świerza* (7 dróg) znajdujących się w basenie Morskiego Oka! Ostatecznie, z powodu pogarszających się warunków pogodowych, skończyło się na 5 drogach, które pokonał w 14 godzin (w planie były jeszcze Mięgoszowiecki Szczyt Wielki i Pośredni). Z nowych twarzy warto wyróżnić

Tatry 2000

Remigiusza Kałużę (KW Gliwice) za sporą ilość bardzo ładnych przejść dróg tzw. niestandardowych, m.in.: *Miękkie Ruchy* (Czołówka MSW, VII, 3p. klasyczne) i *Ładne Kwiatki* (Czołówka MSW, VII-).

Tradycyjnie, omówienie sezonu jest nie-

pełne. Ponawiam prośbę o przesyłanie informacji na adres redakcji (zarówno listownie jak i elektronicznie) o swoich przejściach, szczególnie dotyczących Tatr Słowackich i Zachodnich (pamiętajmy, że co nie napisane, to nie istnieje!).

Wykaz przejść

Nowe drogi:

Mnich – ściana zachodnia:

- *Zezwolenie na Wiercenie VI+*: Artur Paszczak, Michał Ziółkowski; 2.08.00. Droga liczy trzy wyciągi: 1.VI+, 2. VI – na górne półki i 3. VI + na szczyt (prawdopodobnie była już przechodzona)

Nizne Rysy:

- *Ch... z Szatanem II-III*: Joanna Nowak, Łukasz Duleba, Marek Dziezok i Andrzej Machnik; 3.08.00
- *Ch... z Iglami IV*: Monika Szewczyk, Łukasz Duleba, Marek Dziezok i Andrzej Machnik; 11.08.00

Kopa Spadowa:

- *Okop Romb A?*: R. Hyrny i Oskar Niesiołowski; 30 i 31.08.00

Kościelec:

- *Wiszący Filar VIA2*: Jan Muskat, Jacek Jania; 16 i 17.08.00 (w poręcz. brał udział Grzegorz Bittmar)

Nowe warianty:

Galeria Żabiego:

- *Lato Muminków V/V+*: Alicja i Artur Paszczak; 1.08.00, (1,5 godz.). Dwa wyciągi: 1.V/V+ (45m) 2.V- (35m)

Przejścia samotne:

Czołówka MSW:

- *Greystone VII*: Piotr Michalski; 16.05.00 (OS)
- *Starek-Uchmański VI*: Adam Pieprzycki; 19.08.00 (OS)

Wołowa Turnia:

- *Parjaki VIII A0 (3x)*: Czesław Szura; 12.08.00

Kazalnica:

- *Filar VII+ A1*: Czesław Szura; 14.08.00, Marcin Tomaszewski; 22.08.00; 4,5g.

Kocioł Kazalnicy:

- *Dag VII+*: Łukasz Muller; 21.08.00 (OS) – 1p. samotne klas. (4p. klasyczne) PRZEJŚCIE SEZONU

Mniszek:

- *Śmigło VII-*: Łukasz Muller; 19.08.00 (2 x A0)

Łańcuchówki:

- *5 x Świerz* (Żabi Szczyt Niżni, Żabi Mnich, Żabi Szczyt Wyżni, ŻTM, Wołowa Turnia płd. ściana): Arek Gąsienica-Józkowy; 16.10.00 (14 godz.)

Ciekawsze powtórzenia:

Mnich:

- *Wariant R IX*: Paweł Kopta, Monika Niedbalska, 4.06.00(RP) – 8p. klasyczne

Kazalnica:

- *Kant Filara VII+*: Dawid Cieszyński, Jacek Skrzypczyński; 21.06.00 (styl?)
- *Kant Filara* oryg.VII+/VIII: Jan Appelt, Krzysztof Krawiec; 22.08.00 (RP)–2p.klas.
- *Epitafium VII+*: Grzegorz Skorek, Janusz Gołąb; 19.08.00 (OS)
- *Kurtyka-Czyżewski VI+ A3*: Marcin Michałek, Adam Pieprzycki, 20.08.00
- *Kiełkowski VII-*, (z obejściem okapu Y): Michał Skiba, Krzysztof Starek; 23.08.00 (OS)

Czołówka MSW:

- *Miękkie Ruchy VII*: Remigiusz Kałuża, Damian Zięba; 3.08.00 – 3p. klasyczne (5p. w ogóle)
- *Parfawora VIII*: Janusz Gołąb, Michał Szymański i Wojciech Kurz; 20.08.00 (OS)
- *Ładne Kwiatki VII-*: Remigiusz Kałuża, Damian Zięba; 20.08.00 (OS)

Ministrant:

- *Polski Muppet Show V+ A2+*: Ryszard Hyrny, Bogusław Kowalski, 9h, 27.08.00 (9 godz.) – 7p Marcin Michałek, Adam Pieprzycki; 30.08.00 (dwa pierwsze klasyczne wyciągi)
- A. Pieprzycki samotnie 29.08.00) – 8p, Jarek Caban, Michał Kubara; 4.10.00 – 9p.

Listy do redakcji

W Tatarniku 4/2000 ukazała się informacja o zawieszeniu uprawnień instruktorskich kol. Marciniowi Kacperkowi. Publikujemy list zainteresowanego i odpowiedź Komisji Szkolenia PZA. (Red.)

✉ Jestem zaskoczony decyzją zarządu PZA o zawieszeniu moich uprawnień instruktorskich. Zdarzenia, które miały miejsce 14.08 ubiegłego roku na Załupie H zostały w piśmie Zarządu przedstawione z użyciem bardzo dramatycznej retoryki, ale nieobiektywnie i stronniczo. Zarząd nie uznał nawet za stosowne, aby skontaktować się ze mną i wysłuchać mojego opisu wydarzeń.

Tzw. „reguły bezpieczeństwa dla drogi WHP 94”, to nic innego, jak umowa wiążąca instruktorów pracujących dla COS „Betlejemka” i w porozumieniu z tym ośrodkiem. Nikt inny nie ma obowiązku jej znać, a tym bardziej stosować się do niej. Regulowanie ruchu osób w rejonie Hali Gąsienicowej jest dalece poza czymkolwiek uprawnieniami. Opuściłem drogę bez narażania nikogo na spadające kamienie – jest to możliwe i większość znanych mi instruktorów PZA korzysta z wariantu opuszczającego załupę grzędą ograniczającą ją z prawej strony. Jeżeli nie jest to wiadome członkom Zarządu (lub Komisji Szkolenia), z przyjemnością wezmę udział w wizji lokalnej na miejscu i zademonstruję możliwość bezpiecznego wyjścia z drogi WHP 94. Gdyby takowa nie istniała, zaczekałbym na zespół B. Stamy na ostatnim stanowisku, tak jak mu to powiedziałem wymijając jego zespół.

Pomawianie mnie o niekompetentne prowadzenie liny dowodzi tylko braku wiedzy oskarżającego. Nie wnikając w szczegóły wyjaśnię, że układ w którym przewodnik wspina się nie asekurowany i zakłada tylko stanowiska dla zabezpieczenia klienta jest ZALECANĄ NORMĄ nawet dla dróg znacznie trudniejszych niż Załupa H. Moja współpraca z wymijanym zespołem była na tyle zaawansowana, że aby nie zaburzać cyklu przemieszczania się sporego zespołu Bogumila Stamy zakładałem stanowiska w miejscach innych niż standardowe, robiąc więcej niż musiałem dla ułatwienia mu pracy.

Z upoważnienia Międzynarodowej Federacji Związków Przewodnickich jestem instruktorem technicznego przewodnictwa i będę brał udział w szkoleniu polskich kandydatów na przewodników o międzynarodowych uprawnieniach. Dyscyplinarne karanie mnie przez PZA za fachowe

wykonywanie zawodu przewodnika wydaje mi się nieporozumieniem. Moja obecność i działanie w Tatrach nigdy nie było związane z moimi uprawnieniami instruktora PZA. W strukturach Związku szkolić mogą tylko w rejonach skałkowych. Myślę, że Zarząd nie ma podstaw, aby uznać moje kompetencje i poziom wykształcenia za niewystarczające dla prowadzenia kursów wspinaczki skalnej pierwszego stopnia. Proszę o uchylenie zawieszenia moich uprawnień.

Marcin Kacperk

Listy o podobnej treści nadesłały KW Zakopane i PSPW.

✉ Komisja Szkolenia PZA nie podważa kompetencji przewodnickich kolegi Marcina Kacperka. Nie kwestionujemy prawidłowości sposobu asekuracji w układzie przewodnik-klient, zwracamy jednak uwagę, że w specyficznym przypadku mijania w ścianie nie zostało uwzględnione bezpieczeństwo innego zespołu. Trzeba zauważyć, iż pomiędzy idącym praktycznie bez asekuracji przewodnikiem, a jego klientem znalazły się 4 osoby zagrożone nie tylko kamieniami, ale i konsekwencjami ewentualnego odpadnięcia przewodnika (bepośrednio lub pośrednio poprzez zgarńnięcie liny). W tej sytuacji należało uwzględnić interesy innych użytkowników drogi i przeprowadzić swoją linę przez występujące na tej drodze stałe haki lub własne punkty asekuracyjne. Fachowe wykonywanie obowiązków przewodnika nie szło w parze z fachowym wykonaniem operacji wyprzedzania zespołu B. Stamy. Ta właśnie kwestia – zlekceważenie bezpieczeństwa innego zespołu – była przyczyną podjęcia kroków dyscyplinarnych.

Przykra decyzja, jaką podjął zarząd PZA (w skład którego wchodzi 10 instruktorów), wyraża także dezaprobatę dla lekceważenia protestów instruktora alpinizmu B. Stamy, który jest oficjalnym obserwatorem PZA ds. spraw bezpieczeństwa. Bezpośrednie zalecenie kompetentnego przedstawiciela Związku powinno być wiążące dla członka klubu zrzeszonego w PZA, a tym bardziej dla osoby posiadającej stopień instruktorski.

Komisja Szkolenia PZA nie twierdzi, że zespoły kursowe nie mogą być wyprzedzane przez inne, sprawniejsze zespoły. Jednak przepuszczanie szybszych zespołów jest kwestią wspinaczkowej grzeczności, a nie bezwzględnym nakazem. Przejście „po głowach” zespołu, który sobie wyraźnie tego nie życzy nie jest naszym zdaniem rozwiązaniem właściwym.

Komisja Szkolenia PZA



www.szkoła.wspinania.prv.pl

Szkoła Wspinania Piotra Drobota

Najwyższej jakości usługi szkoleniowe. Program dostosowany do indywidualnych potrzeb i możliwości osób biorących udział w szkoleniu. Dogodne terminy, możliwość ustalenia własnych terminów, kompleksowe szkolenie: od kursu wspinaczki skalnej do uzyskania Karty Taternika.

Profesjonalna opieka szkoleniowa licencjonowanych instruktorów Polskiego Związku Alpinizmu, programy kursów opracowane przez Komisję Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu, każdy uczestnik szkolenia ma zapewniony nocleg oraz komplet sprzętu niezbędnego do uprawiania wspinaczki. Posiadającego atest Międzynarodowej Organizacji Alpinistycznej UIAA i certyfikat Europejski CE.

tel.: 012 411 98 05, kom.: 601 45 35 28
office@szkoła.wspinania.prv.pl

ADUR SZKOŁA WSPINANIA MONIKI NIEDBALSKIEJ

Kursy wspinaczki skalnej

Wspinaczka rekreacyjna

Szkolenie do prac
wysokościowych

Monika Niedbalska
al. Słowackiego 11b/49, 31-159 Kraków
tel. (12) 632 05 38, 0-605 94 97 72



KLUB WYSOKOGÓRSKI - KRAKÓW

CLUB DE HAUTE MONTAGNE - CRACOVIE

31-156 Kraków, ul. Zacisze 14/11
tel./fax (+48 12) 429 13 85

Kursy wspinaczkowe

Robimy to od
60 lat

Szczegółowe informacje
wtorek, czwartek
18.00-20.00

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI

Instruktorzy PZA:

Wojciech T. Wajda
(71) 328 22 42, 0-601 313 716
wtwdoz@poczta.onet.pl

Tomasz Kliś
(71) 328 46 22, 0-601 892 922
igel@wroclaw.home.pl

Piotr Jaśkiewicz
(75) 782 41 62, 0-601 532 223
artroc@alpha.pl

7-dniowy kurs przygotowawczy
do szkolenia tatrzańskiego
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe
Wspinaczki rekreacyjne
w skałkach i górach

Historia mrożąca krew w żyłach

„Po moim powrocie z Jannu, kiedy z jednym z moich klientów trawersowałem lodowiec Fréney, zvaliła się na nasz zespół lawina seraków. Partner zginął, a ja zostałem pogrzebany pod pięciometrową warstwą lodu. W tym momencie uwierzyłem, że zaczyna mnie opuszczać to bezcenne szczęście, które towarzyszyło mi aż do tej chwili. (–) Zaklinowany na dnie szczeliny pod blokiem lodu, siłą skrętów ciała zdołałem wydobyć nóż z kieszeni, gdzie zostawiłem go przez przypadek i dzięki niemu udało mi się dotrzeć go jamy, która na szczęście uformowała się koło mnie, a potem przy pomocy młotka i haka wydrążyłem tunel ku światłu. Wreszcie po pięciu godzinach wysiłku mogłem na nowo odetchnąć świeżym powietrzem.”

Lionel Terray „Niepotrzebne zwycięstwa”

Nic nie zapowiadało dramatu

To miał być wyjazd treningowy przed wyprawą na Kangczendzongę. Może nawet bardziej rekreacyjno-towarzyski niż treningowy. Przyjaźnili się od dawna, wspinali się od dawna, doświadczenia mieli aż nadto. Byli razem na wielu wyprawach, jeden zdobył 4 ośmiotysięczniki, drugi 10. Teraz mieli tydzień czasu. Wybór padł na Monte Rosa, szczyt nietrudny, a wysoki. W sam raz, żeby przewentylować płuca i zmęczyć nogi. Słowem, zapowiadał się przyjemny spacer. Wyjechali z kraju bez pośpiechu, zajechali bez pośpiechu. Pogoda była alpejska. Mogła być lepsza, ale mogła być też gorsza. Fakt, trochę wiało, ale kto powiedział, że zimą w Alpach ma nie wiać. A może nawet lepiej, że wiało. W końcu planowali wyjazd w Himalaje... Wstali, zjedli, pogadali. Do plecaków powędrowało to, co trzeba: zapasowe ubranie, trochę jedzenia, lina, trochę rur, parę haków, karabinki i pętelki. Do tego, ma się rozumieć, aparat do pstrykania zdjęć, czołówka i telefon, jak to teraz w modzie. Uprząże założyli na siebie. Warunki były takie sobie, więc do nóg przypięli rakiety śnieżne, a w ręce ujęli składane kije narciarskie. W tej sytuacji raki oraz dziabki też wylądowały w plecakach. Maszerowali po lodowcu. W jednym miejscu było lawiniasto, w drugim stromo, czyli normalnie. Szczeliny omijali z daleka. Zdobywali wysokość. Przekroczyli 4000 m. Krótkie spiętrzenie lodowca sprawiło, że jeden wysforował się do przodu, a drugi został trochę z tyłu. Dzieliło ich jakieś 10 minut marszu. Stracili kontakt wzrokowy. Wypłaszczenie lodowca przecinała wielka szczelina. Przeskoczenie wydawało się problematyczne. Pierwszy przystąpił do badania brzegów szczeliny. Tak jak trzeba, z respektem. Ostrożnie i powoli sondował kijkiem śnieg przed sobą. Nic nie zapowiadało dramatu. Nagle otworzyły się pod nim wrota Hadesu. Spadał, spadał i spadał bez końca... Drugi dotarł wreszcie za przełamanie lodowca. Był ciekaw czy partner czeka na niego, czy też pognął szybko do przodu. Co jest, do cholery – pomyślał. Jak okiem sięgnąć, widział tylko lodowe pustkowia. Przecierał oczy ze zdumienia. Dosłownie nikogo, ani żywej duszy. Partner po prostu przepadł jak kamień rzucony w wodę. Drugi nie

mógł uwierzyć w oczywistą wymowę faktów. Zaczął systematycznie przepatrywać lodowiec. Niestety śnieg i wiatr zatarty wszelkie ślady. Nie miał innego wyjścia. Zaczął krążyć po lodowcu. Długo to nie trwało. Wpadł do szczeliny po ramiona i ledwo się wygrzebał. To może się źle skończyć – pomyślał. Przysiadł na przymie kamieni. Na lodowcu szalał wiatr i zamiętał śniegiem. Mijały godziny. Drugi czekał zdesperowany. Czuł, że się odmraża. Do głowy przychodziły mu najczarniejsze myśli. Był doświadczonym alpinistą. Wiedział, ile ma czasu i ile czasu ma jego partner. Zaczął wyznaczać sobie godzinę odwrotu. Jeszcze pół godziny i wracam – myślał. Zaczęło się ściemniać. Jeszcze 15 minut....



rys. Jakub Wiejacki

Reportaż z wnętrza lodowca

Spadał zupełnie bez kontroli. Rakiety śnieżne zaczęły o ściany szczeliny. Obróciło go głową w dół. Ciągłe spadał! Zarywał kolejne wątle mosty śnieżne i dalej spadał. Czuł, że szczelina jest bardzo wąska. Nagle wałnął o coś plecami. Znieruchomiał, zaklinowany w nienaturalnej pozycji. Z góry sypały się okruchy lodu oraz mnóstwo sypkiego śniegu. Śnieg zasypywał mu głowę, wdzierał się do ust, nosa i uszu. Dusił się. Przez mózg przemknęła paskudna myśl. **TO JUŻ KONIEC!**

Usiłował łapać oddech. Bezskutecznie. Nigdzie nie było powietrza, tylko śnieg, śnieg i śnieg. Wił się i skręcał. Wreszcie uwolnił z oków jedną rękę. Zaczął odgarniać śnieg z twarzy. Raz, drugi, trzeci. Usiłował wypluć śnieg z ust. Nagle chwycił oddech. Najpierw płytki, potem głębszy. Wreszcie pełną piersią. **ŻYŁ!** Z góry nic się już nie sypało Zerwał z twarzy okulary lodowcowe. Otworzył oczy. Wokół panował półmrok. Tkwił w szczelinie przedziwnie zaklinowany. Ciało miał skręcone, nogi nad głową. Było tak ciasno, że ciał-

niej już być nie mogło. Pragnął zmiany pozycji, ale paraliżowała go myśl, że może leży na cienkim moście śnieżnym. Obawiał się, że lada ruch może sprawić, że runie po raz drugi. Tkwił w potrzasku... Był na siebie wściekły. Mamrotał przekleństwa. Napięcie powoli opadało. Wracała zdolność logicznego myślenia. Najpierw trzeba stanąć na nogach. Jak to zrobić? Oczywiście trzeba zdjąć plecak. Ale jak, skoro nie można się ruszyć. Zaraz, zaraz – przecież można poluzować klamry i wysunąć się z szelek. Uff, udało się. Teraz trzeba sięgnąć nad głowę i odpiąć rakiety. Z tym też jakoś poszło. Ale co dalej? Potrzebny jest chociaż jeden chwyt! Zaczął obmacywać ściany szczeliny. Niewiarygodne, wśród lodowej gładzi istniał tylko jeden jedyny chwyt i do tego w dobrym miejscu. Chwila szamotaniny i wreszcie stanął na nogach. Dokładnie rozejrzał się wokół. Pojął grozę sytuacji. Tkwił na dnie piekielnie ciasnej, co najmniej 30-to metrowej szczeliny. Nie była całkiem pionowa. Ocenił, że szczelina tworzyła sztolnię o nastromieniu około 75 stopni. Zaczął wrzeszczeć! Wzywał partnera, kłął jak szewc, lżył sam siebie – by wreszcie zdać sobie sprawę z tego, że nikt go nie usłyszy. Stracił całkowicie poczucie czasu. Wiedział jednak, że nie ma go zbyt wiele. Przystąpił do działania. Z mozołem obrócił się w stronę plecaka. Wyciągnął raki. Zakładanie trwało w nieskończoność. Działał po omacku. Raki spadały. Szukał ich w śniegu. Znajdował, zakładał od nowa. Musiał zdjąć rękawiczki. Wreszcie udało się. Miał raki na nogach. Dopiero teraz poczuł przejmujące zimno. Nic dziwnego. Tkwił w szczelinie przynajmniej od godziny. Miał na sobie, oprócz bielizny, tylko spodnie goretexowe i kurtkę z windstopera. W plecaku miał wprawdzie ubranie puchowe, ale z powodu ciasnoty założenie czegokolwiek nie wchodziło w ogóle w rachubę. Opracował technikę wyjścia ze szczeliny. Na szczęście, to on miał w plecaku rosyjskie rury tytanowe. Wymyślił też, jak wytaszczyć ze szczeliny plecak. Rozplół posiadane pętle i przypiął do uprząży. Plecak póki co leżał na dnie szczeliny. Wreszcie przystąpił do dzieła. Zaczął wkręcać rury w ścianę szczeliny. Podciągał się, a potem na nich stawał. Do najwyższej wpinał się uprzężą aby trochę odpocząć. Podciągał wtedy plecak i wieszał na rurze obok. Wtedy robił sobie prowizoryczną autoasekurację i schodził w dół aby powykęcać rury spod siebie. Robota była monotonna. Ręce mdlały z wysiłku. Rury zapchane lodem wchodziły opornie. Lód odpryskiwał płatami. Nie był w stanie wkręcać rur głębiej. Musiało wystarczyć kilka skoków gwintu! Ciągłe było potwornie ciasno. Nie mógł ani razu kopnąć nogą aby mocniej wbić zęby raków. Nie mógł uderzyć czekanem. Dziubał ćwierć uderzeniami. Trwało to całą wieczność. Zrobiło się odrobinę widniej. Ocenił, że wyczołgał się jakieś 10 metrów. Znów zaczął krzyżeć i znów nie było żadnego odzewu. Nagle jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Nie mógł powstrzymać dygotu. Nie wie, jak długo to trwało. Nie wykluczone, że parędziesiąt minut. Ruszył dalej. Ciągłe wkręcał i wykrcęcał rury. Metr po metrze przybliżał się do powierzchni lodowca. Twarz pokrywała się lodową skorupą, która nie chciała topnieć. Powieki sklejały lodowe igielki. Ledwo co widział. Wreszcie nad głową zamajaczył otwór. To dodało mu sił. Jeszcze 5–10 metrów i wyjdę z pułapki – myślał. Ale znów dopadły go potworne dreszcze. Ciałem wstrząsały konwulsje. Cierpiał katusze. Wiedział już, że jest bardzo wychłodzony. Czuł, że może nie dać rady. Miał już pewność, że jak nie spotka na lodowcu swojego partnera, to jego walka na nic się nie zda. Mijały długie mi-

nuty. Wreszcie drgawki ustąpiły. Znow z mozołem zaczął wkręcać rury. Jeszcze dwa metry, jeszcze jeden. Nie miał już siły podciągać plecaka. Przytroczył go do najwyższej rury, zebrał resztki sił i wygramolił się na powierzchnię lodowca. Uderzyły w niego porywisty wiatr wiatru. To jeszcze nie koniec mojej przygody – pomyślał zdesperowany....

Temperatura krzepnięcia

Mijała piąta godzina oczekiwana na lodowcu. Było bardzo zimno. Wiatr hulał w najlepsze. Zaczynało śniegiem. Drugi powoli oswajał się z myślą, że do schroniska będzie wracał sam. Czuł, że ogarnia go rozpacz. Tyle wspólnych przeżyć. Wyprawy, zdobyte szczyty, codzienna przyjaźń. Wszystko to tracił w koszmarny i bezsensowny sposób... Nagle, rzecz niewiarygodna! W odległości zaledwie 50-ciu metrów zobaczył partnera. Szedł, padał, podnosił się. ŻYŁ! W ruch idzie telefon komórkowy. Drugi wzywa śmigłowiec. Prosi o pośpiech. Zaczynają schodzić, ale partner słabnie. Po godzinie słyszą charakterystyczny warkot. Obok przysiadła nieoceniona Aloueta. Partner traci przytomność. Śmigłowiec zabiera ich na raty. Najpierw do szpitala w Zermatt. Tam okazuje się, że stan partnera jest krytyczny. Termometr pokazuje 29 stopni Celsjusza. Z tego można nie wyjść!!! Lekarze decydują się na transport chorego do lepiej wyposażonego szpitala w Visp. Przylatuje helikopter sanitarny. Szwajcarscy lekarze dokonują cudu. Historia się kończy. Pozostaje jeszcze zapłacić parę franków za opiekę szpitalną. Mniej więcej po sto za każdą godzinę pobytu.

Tekst autoryzowany przez Piotr Pustelnika.
Autorem reportażu jest Wojciech Świącicki.

REGIONALSPITAL STA MARIA



VISP, WESTLICH-RARON, LEUK

Diagnose: Hypothermie

Therapie: Aufwärmen

Anamnese: Patient ist auf einer Skitour im Monte Rosa Gebiet, in eine Gletscherspalte gefallen. Er wurde von Schnee bedeckt, so dass er keine Luft mehr bekommen hat, hat etwas Schnee geschluckt, konnte dann wieder besser Atmen. Der Patient hat sich selbst aus der Gletscherspalte mit Eispickel und Eisschrauben herausarbeiten können, oben war er stark erschöpft und kalt. Sein Kollege organisiert Hilfe, mit der Air Zermatt erreicht er das Spital Visp am Abend des 13.02.2001

Verlauf: Eine erste Temperaturmessung ergab 29°C, durch Aufwärmen verbessert sich der Zustand des Patienten schnell.

Die Fingerkuppen zeigen eine leicht bläuliche Verfärbung, Gefühl ist aber vorhanden. Beide Ohrfläppchen und die Wangen rechts sind leicht angeschwollen. An den Füßen finden sich keine Zeichen von Erfrierungen. Am Mittag des 14.02.2001 fühlt sich der Patient wieder sehr gut und hat eine Körpertemperatur von 36,5°C, so dass wir ihn entlassen können.



Schronisko literackie

Wypadek

Paweł Puszczynski

Wysoki dźwięk świdruje powietrze w takt uderzeń młotka. Najpiękniejszy z możliwych, odgłos zagłębiającej się w szczelinę grubej rynny haka i piejąca chrypa prowadzącego: „Jeest staan”, obwieszają koniec wyciągu. Jeszcze chwila i obłe cielska worów ze sprzętem ruszają do góry, wciągane z chrobotem na dodatkowej linii. Rozcieram zziębnięte palce likwidując moje stanowisko i na potrójne szarpnięcie zaczynam wklejać się w pionową rysę nade mną. Skala już zdążyła oddać całe ciepło popołudniowego słońca i klinowanie dłoni w wąskim pęknięciu jest jak nurzanie ich w lodowatej wodzie jeziora, przy którym biwakowaliśmy cztery dni temu. Pozostawione przez Młodego nieliczne przeloty usuwam wisząc na zablokowanej linii – na lepszy styl już mnie dzisiaj nie stać. Wyjście z rysy poprzez mały okap, gdzie tamten utknął na dobre pół godziny, pokonuję paroma nerwowymi ruchami. Jedną nogą wywijając w powietrzu, błogosławię komfort psychiczny górnej asekuracji i wczotguję się na półkę. Jeżeli wielkie kichy worów z jedzeniem i żelastwem nie utknęły na ostrej krawędzi, to ja też chyba nie powinienem. Mina Młodego zdążyła zgęstnieć przez czas, kiedy do niego dochodziłem, tylko ilość skłębionych taśm łączących haki na stanowisku, świadczy o stanie, w jakim wyszedł na półkę. Powoli wszystko wokół staje się szare i płaskie, brak wiatru rekompensuje spadająca raptownie temperatura.

– Chyba najładniejszy wyciąg, jak do tej pory, co? – błyska klawiaturą zębów Młody. – Pierwsza noc na czymś płaskim – odpowiadam. Dwa metry kwadratowe, na których stoimy, gwarantują nocleg bez półgodzinnego szamotania się ze stelażem wiszącej platformy biwakowej i ciągłej szarpaniny w takt sennych koszmarów Młodego. Połykam makaron błyskawiczny z kawałkiem tuszonki, obserwując spod klejących się powiek, jak Młody ssie pół tabliczki czekolady naraz. Ostatni papieros z przedostatniej paczki i spać.

Kawał łuszczącego się tynku spogląda na mnie z sufitu żółtym okiem. Mgiełka pary unosi się z ust przy każdym oddechu – w nocy odpuścili sobie ogrzewanie. Za chwilę śmieszna biała czapeczka i druciane oprawki pochyla się nade mną. Do tego kwaśne wspomnienie wczorajszego bimbru w oddechu, i mamy lekarza dyżurnego. Zawsze wydawało mi się, że za takim podąża w skupieniu stadko przejętych i bladych stażystów w wykrochmalonych far-

tuchach, ale to nie tutaj. Błyska szkiełkami, bruzdy tnące jego policzki przy samych ustach wydłużają się. Szeleszczą odwijane bandaże, domyślam się miękkiego dotyku pulchnych paluszków siostrzyczki, a potem twardych, kościstych dłoni doktora. Czucie zaczyna się gdzieś za nadgarstkami, poniżej jest pustka. Stuk, stuk w brudny gips na nodze i do widzenia. Za chwilę pojawi się karykatura umalowanej kobiety i wbije mi w przedramię końską igłę.

– No, co? Dzisiaj też nic nie powiesz? – zapytuje po swojemu. Żeby tradycji stało się zadość, nie odpowiadam, chociaż jakieś tam łamańce słowne z jej języka, zapamiętane w dzieciństwie, przelatują mi przez głowę.

Potrafię tylko zacisnąć zęby i zamiast wycia z bólu, wydaję z siebie syk. Lina przepaliła mi rękawiczkę i poparzyła całą wewnętrzną część dłoni. Kilkanaście metrów podwójnego węża prześlizgnęło się przez moją rękę, jednocześnie podrywając mnie w górę ze stanowiska i waląc o ścianę powyżej.

– Rekord klubu! – drze się pode mną Młody. Trudno uwierzyć, że po takim locie jest w jednym kawałku i nie chce, żebym go zmienił na prowadzeniu. Nie palę się zresztą do tego. Kiedy dotarłszy na stanowisko opatruje mi dłoń, spoglądam po raz tysięczny na biało-szare jezory lodowca liżącego podstawę ściany. Jeszcze przedwczoraj widziałem rozszarpane przez wiatr szczątki naszego namiotu, a może tylko domyślałem się tam kamienia, obok którego założyliśmy bazę. Młody szczerzy się, pociesza, że do szczytu wszystko się zagoi i rusza do góry. Obija mu się o tyłek parę kilogramów sprzętu – haki pobrzękują o karabinki i kostki.

Grzechot jakiegoś metalowego narzędzia rzuconego na miskę – zęby aż same zaciskają się do zgrzytania. Coś mi tam nacinają, nakłuwają, odsączają. Ręce, jak dwa balony napełnione powietrzem – nie istnieją dla mnie. Zaciek na suficie zostaje przesłonięty przez księżycową twarz o lekko skośnych oczach. Groźnie zmarszczone brwi i wytarty kołnierzyk od munduru. Łamaną angielszczyzną powtarza pytania, które zadawał tydzień temu. A jak, a z kim, a gdzie, a po co. Sam chciałbym wiedzieć, po co to wszystko. Tysiące ludzi idących w góry nie zna tak naprawdę przyczyny, a ten chciałby sobie raport z ludzkiego wnętrza napisać. Konsekwentnie strugam idiotę i milczę. W nocy przyśniły mi się dzieciaki w wiosce, dwa tygodnie drogi stąd. Młody wytrzasnął skądś pistolet („Chłopie, przecież tu naokoło niekończąca się wojna”). Wprawka do sztuki strzelania odbyła się na podwórku za spalonym domem. Puszki po mielonce ustawione na murku nie chciały spadać, a stada śniadych gówniarzy bez przednich zębów biegały dookoła, zanosząc się śmiechem.

– Daj temu usmarkanemu szczerbaciuchowi – powiedziałem do Młodego, z pasją opróżniającego kolejny magazynek – on będzie wiedział, co się z tym robi. Koniec końców, z niejasnych powodów następny kawał żelaza wylądował w plecaku – taka „polisa ubezpieczeniowa”. Dla mnie – tylko dodatkowy ciężar do holowania w górę. Wariat, uparł się dźwigać, to niech dźwiga. Zejście przewidywaliśmy na drugą stronę granicy, tam, gdzie powietrze huczy od wystrzałów armatnich.

Nie odzywamy się ani słowem, kiedy oszczędzając baterie latarek, gotujemy w zupełnej ciemności herbatę na przyklejonym do ściany skrawku śniegu. Grymasny jak dziecko Młody zamilkł wczoraj po jakimś ostrym rzucaniu

mięchem, kiedy na trudnym pasażu w litej skale, zamiast podać luz, ściągnął mnie w dół. Najlepsza rzecz z możliwych, ale ja też zamknęłam dziób na kłódkę. Zobaczymy, kto kogo. Konwersacja ogranicza się do „idę – możesz iść – mam auto – chodź – idę”.

Wymyśliliśmy sobie to wszystko przy trzeciej flaszce na jego imieninach. Ktoś pokazywał slajdy, ktoś opowiadał o nowej wojnie i najgorszym miejscu na świecie. Ani ja, ani Młody, nie uwierzyliśmy. Wielkie plany snute miesiącami, przeplatane godzinami spędzonymi w biurach potencjalnych sponsorów („Oczywiście, logo pańskiej firmy będziemy nosili przyklejone na czole”), do tego telewizyjna makabra snych i spuchniętych ofiar działań wojennych, serwowana w wieczornych wiadomościach. I oto stoimy jak wrośnięci na wielkim, płaskim jak stół kamieniu, wbitym w szary żużel szczątkowego lodowca. Kilkaset metrów przed nami piętrzą się stożki usypujących się ze ściany piargów, a za nimi wyrasta gigantyczny monolit. Czarny pionowy kolos rzuca cień na całą dolinę. Tu i ówdzie przecinają go białe nitki śniegu, zalegającego na półkach i w kominach. Młody przeklina późną porę i brak światła, ale migawka aparatu strzela raz za razem. Wierchołek zniknął nam z widoku już po południu, podczas podejścia. Zresztą odkąd tragarze odmówili współpracy i niemal wyszarpując nam pieniądze, nerwowo zbiegli w dół, nie mieliśmy zbyt wiele czasu na podziwianie widoków. Trzeba było trzysta kilogramów żarcia i sprzętu wtargać na własnych plecach do zawieszanej bocznej doliny, gdzie planowaliśmy założyć bazę. Zamiast rozbić namiot, zagospodarować trochę przestrzeń czy coś ugotować, zaraz po zwaleniu na ziemię ostatniej plastikowej beczki z ładunkiem rzuciliśmy się, prawie biegiem, pod górę. Teraz podziwialiśmy naszą nagrodę i przeznaczenie na najbliższe dwa tygodnie. Dziewicza ściana nigdy nie zdobytej góry – po prostu, marzenie.

Stojąc na wąskiej, pochylej półce, staramy się ustawić plecami do zacinającego deszczu ze śniegiem. Stopy w strzemionach z taśm, obydwaj wpięci do błogosławionego „pancernego” haka – oto nagroda za dwa dni przedzierania się przez strefę przewieszonych i kruchych skał. Młody drzemie opierając głowę o śliski materiał worka transportowego, mamrocze coś o Pierdolonej Krainie Deszczowców. Spoglądam w mleko kłębiące się pod stopami. Monstrualne korytarze i tunele otwierają się regularnie czarnymi gardzielami, widać przewalające się w nich strugi zamarzającej wody. Jakby to białe bydlę mgły oddychało całą swoją powierzchnią, odslaniając jednocześnie fragmenty swoich wnętrzości. Połknie żywe ciało, a za parę dni wypluje siny sople uczepony skały.

– Nie połkniesz, to będą musieli dalej dźgać cię igłami – wielka aluminiowa łyżka szturmuje moje spieczone i zaciśnięte wargi. W sumie sympatyczna staruszka; z wdzięczności za te parę słów, które zapamiętała z dzieciństwa, pozwalam ciepłej brei wpłynąć do ust. Połowa ścieka po brodzie, krztuszę się i już za chwilę reszta gwałci skurczony żołądek. Śmieją się do mnie wyblakłe, załzawione oczy w pooranej siecią zmarszczek twarzy. Zdaje się, że babcia ma tu jakieś układy, nawet lekarz dyżurny błysnął czymś w rodzaju sympatii zza swoich szkielek, a pielęgniarki jakieś żarty sobie stroją.

– Syn z żoną, będzie ze dwa lata jak wyjechali do kraju – mamrocze – Ja

już za stara na takie... Jak się wyliżesz, to też do domu wrócisz...

– Zaraz wracam, daj jeszcze ze dwa metry luzu! – łapczywie drapię sinymi palcami gładką płytę, najmniejszej ryski nie ma, a tu przełamanie płyt tuż, tuż. Całe ciało wyciągnięte jak struna, rwie się do krawędzi, marzy o solidnym chwycie, o wczolgnięciu się na kawałek czegoś płaskiego. Gdzieś pod kaszkiem kołaczy świadomość, że ostatni kiepski hak wbitem w połowie długości liny, totalny brak najmniejszego punktu zaczepienia, stoję na niczym i trzymam się niczego. Zdaje się, że nie mogę zrobić nic innego. Jeszcze rzut oka do góry, w kierunku urojonej półki, spojrzenie w dół, i już lecę z hałasem na spotkanie Młodego. Coraz wyraźniej widzę jego skrzywioną twarz z papierosem przyklejonym do dolnej wargi. Kilka szarpnięć wrywanych po drodze przelotów i już prawie możemy sobie podać rękę.

Koniec rekonesansu. Gorączkowo porównujemy nienależnie szybko w szarówce systemy rys i półek z dwudziestoletnimi zdjęciami, którymi dotąd dysponowaliśmy. Wszystkie plany, projekty możliwej do pokonania drogi, czynione na podstawie kilku fotek przypadkowo zrobionych przez zbłąkanych geologów, zaczynają układać się w logiczną całość. Hektary nie tkniętej ludzką ręką skały czekają na nas dosłownie na wyciągnięcie ręki. Jeszcze kilka razy zadzieramy głowy, porównując rysowane wśród gorących dyskusji schematy z tym, co czeka nas pojutrze (lub, znając niecierpliwość Młodego, nawet już jutro). Schodzimy, potykając się i ślizgając na przezierającym tu i ówdzie spod kamieni lodzie, przeklinając idiotyczny pomysł spaceru bez światła czołówek. Jeszcze jeden załom utworzony z bloków wielkości kamienicy i będziemy w osłoniętej od wiatru bazie. Słyszając jakieś głosy, Młody rzuca się do przodu. Pieprzeni tragarze, najpierw nie chcieli nosić, a teraz nas obrabiają... Biegnę za nim na tyle, na ile pozwala na to skalne rumowisko pod stopami. Już mającą przed nami ciemne postacie pochylone nad rozgrzebanymi plecakami. Jeszcze chwila i Młody wielkimi jak szuffe łapami chwytającego pierwszego skurwiela za wszarz. I wtedy pojedynczy huk, potykam się, łapię go za kurtkę i ciągnę w dół. Klękam na czworakach i widzę, jak plama czerni rośnie na jego jasnych włosach, spływa po policzku i szybko pochłania szarozółtą chustkę zawiązaną na szyi. Chcę go zawołać, ale usta eksplodują bólem, kiedy tamci z rozmachem wbijają mi kolbę w zęby.

Znowu księżycowa twarz pochyla się nade mną i skośne oczy świdrują mnie badawczo. Tym razem na mundur narzucono biały szpitalny fartuch. Już o nic nie pyta, tylko się przygląda. Z drugiej strony siada chudy rudzielec, wyciąga kartkę papieru i bez śladu akcentu zaczyna czytać: „wkroczenie do strefy zamkniętej bez zezwolenia... napad bandy terrorystów... Tylko błyskawiczna akcja oddziału ścigającego bandytów... nielegalnie posiadana broń... nie roszczę żadnych pretensji do władz państwowych i wojskowych ... serdecznie dziękuję komendanturze za ocalenie... zgoda na pochówek towarzysza na miejscu...”

Spuchnięte, powykęcane dłonie Młodego spoczywają na szaroburych kamieniach lodowca, a zamiast kasku głowę pokrywa mu skorupa zakrzepłej krwi. Chcę coś powiedzieć, ale spomiędzy strzępów ust i resztek zębów wydobywam tylko jakiś świst. Ktoś chwytam mnie za włosy i szarpie głowę do tyłu, chrupnęło i boli w karku. Brudne palce podtykają mi pod nos jakiś czarny

przedmiot. Nie rozumiem, co do mnie mówi, ale usiłuję zaprzeczyć, wyprzeć się, usprawiedliwić w każdym znanym języku świata. Jakieś wyuczone słowa kołaczą się we łbie, ale wszystko na co mnie stać, to kolejny jęk. Czuję jak ciężkie buciory depczą mi po rękach, a ciemne oczy w wychudłej, zarosniętej twarzy przyglądają mi się spokojnie. Dotyk zimnego metalu na czole. Już wiem. Zaraz wszystko wytłumaczę... Ten idiotyczny pomysł Młodego. Nikomu niepotrzebny kawałek żelaza. Nasza „polis ubezpieczeniowa”. Szczeniacki wyglup. Ale nikt mnie nie słucha; buty, które przed chwilą masakrowały moje dłonie, tupią dookoła rozpaczliwie. Huk wystrzału. Dlaczego tak głupio, tu, na dole, w błocie? Hałas, trzask, wszystko na około się trzęsie. Lawina? Kto strzela i do kogo? Przecież wojna daleko stąd... Dotykając bandaża, ciasno obejmującego moją szczękę, rudzielec kiwa głową.

– Ja wiem, że panu trudno mówić, ale mam nadzieję, że to minie. Pozwoliłem sobie odcisnąć pański palec pod protokołem. Pan rozumie, musimy dbać o wizerunek naszego kraju w świecie. Proszę nie mieć do nas żalu, nie możemy postawić żołnierza obok każdego turysty. Zapraszamy wkrótce, kiedy granice będą spokojniejsze. Myślę, że uda się panu jeszcze kiedyś zdobyć tę piękną górę. Przykro mi, że tym razem nie udało się nawet spróbować...

Na wierzchołku wieje przeraźliwie zimny, silny wiatr. Zdmuchnął już mgłę, za chwilę zdmuchnie i nas. Chmury przelewają się przez granie na południowej stronie masywu niczym kaskady spienionej wody, nie widać nizin ani pogórza. Wszędzie z białego morza wystają postrzępione czarne zęby szczytów, niektóre przykryte skrzącymi się czapami śniegu, odbijającymi pomarańczowy kolor zachodzącego słońca. Młody kuca, odwrócony do mnie plecami, spoglądając w czarną czeluść, na której dnie, gdzieś tam, zaczęliśmy dwanaście dni temu. Najwyraźniej zmęczenie czy zachwyt odebrały mu głos. Wyciągam kolorowe chorągiewki i transparenty, przygotowując się do zrobienia kilku zdjęć dla sponsorów.

– Jak w Biblii, co? Cały świat zatopiony we mgle, zostaliśmy tylko my na szczycie naszej góry. – Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? – Młody odwraca do mnie twarz, która nie jest twarzą, ale jednym wielkim czarnym skrzepem, po środku czoła zieje dziura, wytrzeszczone oczy szklą się załzawione, broda drga spazmatycznie jak u wiekowego starca.

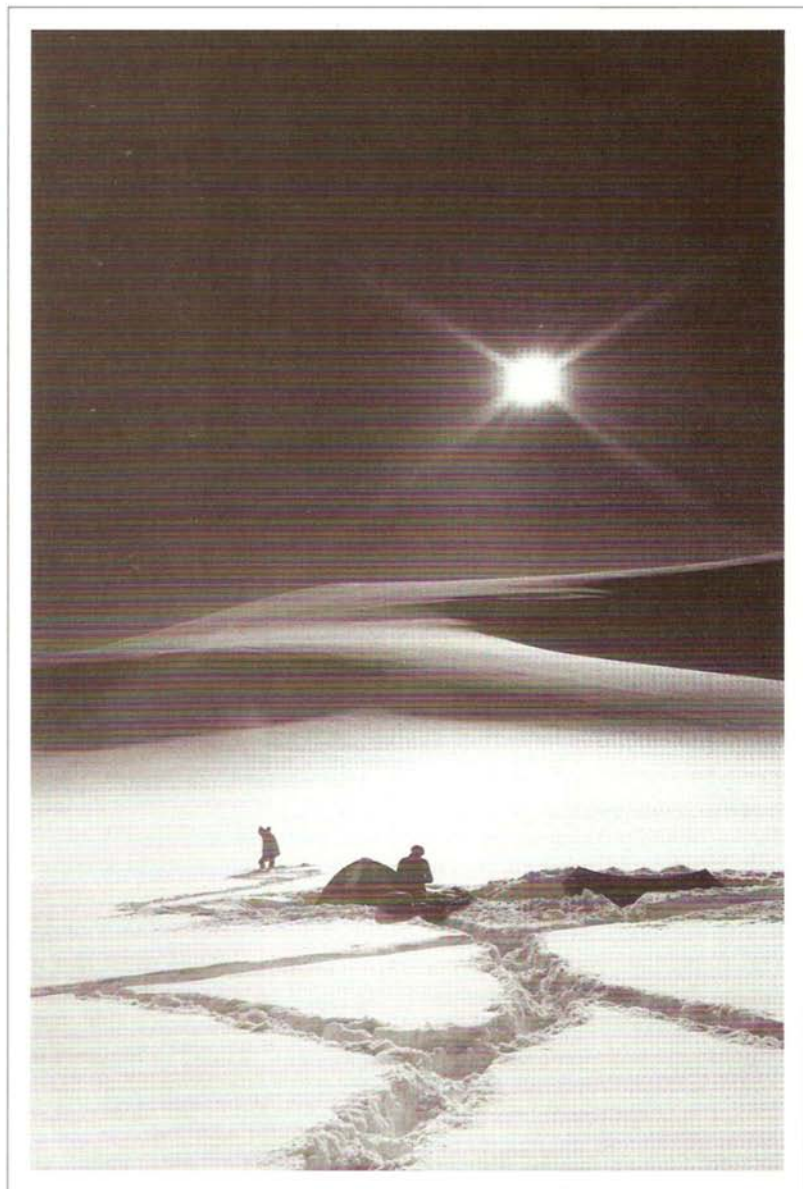
Bełkot wydobywa się z moich ust, palący płyn zre moje wnętrzości, nie mam siły utrzymać już słoika pomiędzy okutanymi w bandaże dłońmi, przewracam się w ciemnościach na szklany stolik, później na posadzkę. Ciałem wstrząsają drgawki. Spoglądam na rozbitą przed chwilą szafkę pomalowaną olejnymi napisami ostrzegawczymi. Na korytarzu słychać okrzyki i stukot służbowych drewniaków. Ktoś zapala światło. Ale ja już tego nie widzę.

Stoję na szczycie naszej góry. Zupełnie sam.

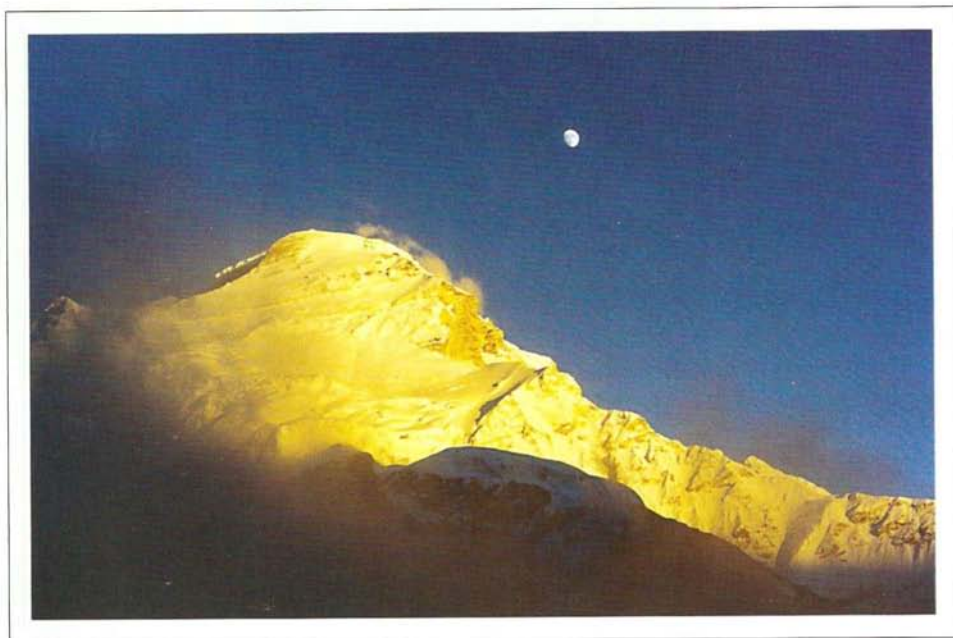
Jesień 2000

Autor jest prawnikiem, wspina się od 1992 r.

Galeria Gankowa



Na przełęczy, fot. Wojtek Kurtyka



Cho-Oyu o zachodzie słońca, fot. Ryszard Pawłowski



Na grani , fot. Helena Gąsienica-Roj



Wł. Skocnyłus, *Pochód zbójników I. strawny*

Z Tatrzańskich szlaków

Wilki w Dolinie Chochołowskiej

W Dolinie Chochołowskiej na dobre zadomowiły się cztery wilki. Ten wędrowny gatunek rzadko przebywa na tym samym terenie tak długo. Brak śniegu sprawia, że łatwy zazwyczaj o tej porze łup, ręczo umyka wszelkim pościgom. Z braku naturalnej stawy wilki zadowolają się owcami z okolicznych gospodarstw, a w przypadku zdecydowanej ich obrony przez strzegące ich psy pasterskie... zjadają psy

Kozice chorują

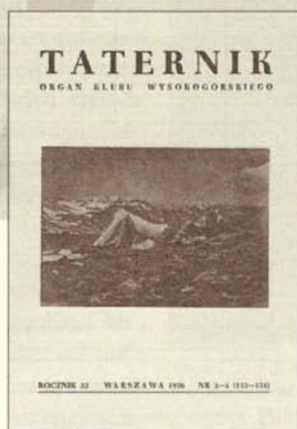
Tatrzański Park Narodowy rozpoczął cykl intensywnych badań nad przyczynami gwałtownego spadku populacji tego rzadkiego gatunku. Już wstępne dane pozwoliły stwierdzić, że wszystkie przebadane próbki świeżych odchodów zawierały formy nicieni płucnych lub tasiemka (bądź obie jednocześnie). Dla porównania w próbkach kału jelenia pasożytów nie wykryto. Znane są także wyniki badań dotyczące zawartości metali ciężkich w organizmach kozic. Okazuje się że zwierzęta te, żyjące na otwartej przestrzeni, w znacznej mierze narażone są na działanie kwaśnych deszczy, czego konsekwencją są przekroczone dopuszczalne ilości ołowiu. Na stałe wprowadzono monitoring gatunku, polegający na ścisłej ewidencji obserwacji zwierząt, śladów oraz tropów. Projekt ten jest prowadzony wspólnie z TANAP-em i oprócz wymiany doświadczeń oraz wyników prac naukowych, prowadzi do ujednolicenia da-

nych zawartych w kartach obserwacji, takich jak płeć, struktura wiekowa, liczba, przemieszczanie się, dokładna lokalizacja itp. Liczba kozic od ostatniego liczenia nie zmniejszyła się i wynosi obecnie ok. 60 szt. Jest to informacja tym cenniejsza, iż od 10 lat każdorazowe liczenie wykazywało spadek ilości kozic po obydwu stronach granicy.

Będzie film

W ostatnich dniach lutego okolice Morskiego Oka stały się miejscem realizacji kolejnego filmu Anny T. Pietraszek. Pierwowzorem głównej bohaterki filmu jest Dobrosława Miodowicz-Wolf, „Mrówka”. W jej roli wystąpi Edyta Stępczak. Na ekranie zobaczymy m.in. rodziców „Mrówki”: Zytę i Alfreda Miodowiczów, brata Konstantego – znanego niegdyś taternika, a obecnie polityka oraz Andrzeja Zawadę. Film powstaje dzięki pomocy TOPR-u, Straży Granicznej i osobistemu zaangażowaniu Michała Kochańczyka. Prac nad realizacją nie zatrzymał nawet wypadek autorki filmu zakończony umieszczeniem prawej ręki w gipsie. Producentem jest Program 2 Telewizji Polskiej, a pokaz premierowy zaplanowany został na kolejną edycję Przeglądu Filmów Górskich w Łądku Zdroju w dniach 14-16 września.





Tres Cruces

Witold H. Paryski

Po raz pierwszy ujrzałem ośnieżone szczyty Nevado Tres Cruces z Portillo, z odległości kilkudziesięciu kilometrów i od razu mi się spodobały. Półtora miesiąca później, razem ze Stefanem Osieckim rozbijałem mały namiocik szturmowy na wschodnich stokach tego masywu

Z naszego obozu bazowego w Tres Quebradas jechaliśmy do tego miejsca dwa dni na mułach drogą na ogół łatwą, ale nużącą. Zresztą nie tak całkiem łatwą, bo w ostatniej części piaszczyste wzgórze i wądoły okazały się lodowcem przysypanym warstwą nawianego piasku. Dwa razy ślizgały się dyszące muły na obnażonym lodzie i tylko dzięki temu, że nie zsiadaliśmy z siodła, nie potrzebowaliśmy nakładać raków.

Z drugiej strony owego podstępnego lodowca, u stóp naszej góry, stary mulnik Sośa szybko zrzucił nasze wory i siodła i od razu ruszył z mułami w długą drogę powrotną do najbliższej trawy, nad Rio Salado. Byliśmy o niego spokojni, bo Stefan odszu-

kał łatwiejszy przejazd przez lodowiec, w miejscu gdzie nawiany piasek był głęboki i stoki mniej strome. Ponieważ muły musiały jeszcze tego samego dnia (a raczej nocy) wrócić do najbliższej paszy, nie dojechaliśmy jak zamierzano do stóp środkowego szczytu Tres Cruces, ale jedynie do stóp grani łączącej szczyt południowy ze środkowym. Namiocik nasz ustawiliśmy (ok. 5500 m npm) na piaszczystym gruncie pod osłoną ogromnej wanty, nad brzegiem małego strumyczka spływającego w dzień z wiszącego nad nami lodowczyka, a blisko wielkiego pola penitentów. Roślinności oczywiście ani śladu. Krajobraz barwny kolorami skał, śniegów i nieba, ale zupełnie martwy.

W nocy spadło trochę śniegu, ale rano byt znowu ładny, choć chłodzony zimnym wiatrem. Ze śniadaniem i pakowaniem uwinęliśmy się raz dwa i szybko ruszyliśmy w drogę. Ruszyliśmy szybko, ale poszliśmy powoli. Bądź co bądź, pięć i pół



Południowy szczyt Nevado Tres Cruces (6630 m). Zdjęcie teleobiektywem od południa, z odległości ok. 30 km. Na wschodnim (prawym) zboczu widać wiszący lodowiec.
fot. W. H. Paryski

tysiąca metrów nad poziomem morza. Wysokość całkiem nie tatrzańska, a waga naszych ładunków niestety nazbyt tatrzańska, bo przekraczająca po dwadzieścia kilo na osobę. Byliśmy bowiem zaopatrzeni we wszystkie konieczne i niektóre niekonieczne rzeczy do pięciodniowego przebywania na wysokościach, gdzie ciśnienie powietrza jest przeszło dwa razy mniejsze niż na brzegu morskim. Ruchomy piarg andyjski też ułatwia posuwanie się... w kierunku na dół.

Masyw Tres Cruces posiada trzy główne szczyty i parę pomniejszych. Z głównych, najwyższe i prawie równe są szczyty środkowy i południowy. Na podstawie naszych dotychczasowych obserwacji trudno było rozstrzygnąć któremu należy się pierwszeństwo. Znane nam wówczas mapy faworyzowały szczyt środkowy (6620 m), więc i my też, tj. „oficjalnie”, bo przynajmniej mnie takie postawienie sprawy nie podobało się w duszy. Przecież południowy szczyt był ładniejszy, więc on powinien być najwyższy! Ale sympatia to jeszcze nie dowód, więc gdy uchwalono atakować szczyt środkowy, to niewiele miałem do gadania.

Pięliśmy się więc teraz w skos w górę po stromym, usuwającym się piargu w kierunku wielkiego żlebiska spadającego z przełęczy położonej tuż pod masywem środkowego szczytu. Żlebisko, a raczej spora dolina, było wypełnione w górze lodowcem, którego zaobserwowana dotąd część w zupełności usprawiedliwiała dźwiganie przez nas liny, a nawet haków lodowych.

Po dłuższym czasie dotarliśmy wreszcie do krawędzi zbocza obrywającego się stromo ku owemu żlebisku. Wyglądało ono teraz, razem ze swoim lodowcem, bardziej zachęcająco, ale ku naszemu zmartwieniu okazało się, że musielibyśmy stracić co najmniej sto metrów wzniesienia, aby móc je osiągnąć. Wprost nad nami wznosiło się szerokie i wysokie urwisko skalne, wręcz odstrasające i odgradzające nas od pożądanego grani. Obejście urwiska na lewo byłoby dalekie i niepewne, i wymagałoby też straty wysokości. Aby zdecydować się na utratę cennych stu metrów (i to z ciężkimi worami), trzeba było się wprawdzie namyśleć co najmniej trzy razy. Namyślając się, uważniej przyglądaliśmy się urwisku nad nami. Kto szuka dość długo, ten czasem znajdzie. Znaleźliśmy więc skażę w skal-



Południowy szczyt Nevado Tres Cruces (6630 m), widziany od pd.-wsch., z drogi na przełęcz pod Cerro Solo.

fot. S. Osiecki

nym pancerzu, wprawdzie wątpliwą, ale skwapliwie uznaliśmy ją za godną próby i ruszyliśmy ku niej.

Podejście do stóp samego urwiska prowadziło stromym, piarżystym zboczem, im wyżej tym stromszym. Miejscami piarg już objechał ze stoku, obnażając stromizny wypalonej na słońcu, płytko popękanej gliny. Kute buty i czekan dały sobie z tym radę i dosapaliśmy się wreszcie do siedzącego wypoczynku na wygodnej półce u początku skał. Na prawo i na lewo od nas nie było mowy o atakowaniu urwiska, nawet gdyby ono było o parę kilometrów bliżej poziomu morza, ale wprost nad nami istniała możliwość, która nas tu zwabiła. Nie wiele mogliśmy widzieć nad sobą, ale chętnie uważaliśmy to za dowód, że wyżej musi być mniej stromo i ruszyliśmy popróbować.

Początkowe skały były nietrudne, ale niemiłe. Ogromne, luźne bloki trzymały się jedynie – jak się to mówi – „na słowo honoru”, jednakże mieliśmy do nich z konieczności zaufanie i pchaliśmy się dalej. I dopchaliśmy się niedługo do litej skały, najbardziej litej jaką widzieliśmy w ciągu całej wyprawy, ale za to niemilosiernie stromej. Prosto nie bardzo puszczało i był lód na skale, ale wąska skalna półeczka zapraszała do eksponowanego trawersu pod przewieszkami w prawo. Nie daliśmy się prosić dwa razy. Półeczka i owszem, była dobra, ale wkrótce przeszła w solidny, lecz wąski gzyms, który też był dobry, jak na nasze wymagania, ale niestety urywał się na doskonale eksponowanej krawędzi.

Wzięliśmy się więc do tego, czego się w Tatrach szuka, a na sześciu tysiącach metrów unika, tj. do prawdziwej wspinaczki skalnej. Worki złożyliśmy na półeczce, związaliśmy się liną i Stefan ruszył popróbować tej (tu wątpliwej) przyjemności.

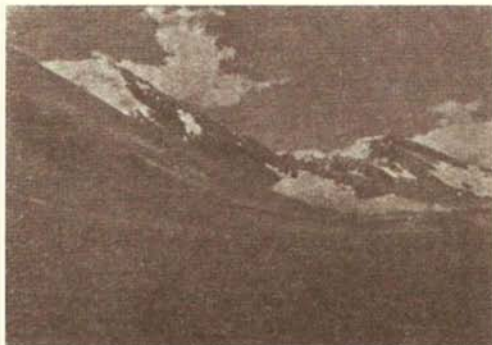
Przy samej krawędzi skała okazała się łaskawa: była wprawdzie bardzo stroma, ale raczyła być dobrze uwarstwiona i wolna od lodu. Stefan wyciągnął blisko 30 m liny nim przyszła kolej na mnie, wraz z moim workiem. W Tatrach nazwałbym tę wspinaczkę dość trudną, ale tu trzeba było do tego dodać parę kilometrów wzniesienia



Wyżłobione w lodzie koryto strumienia na „martwym” lodowcu na wschodnich stokach masywu Nevado Tres Cruces. Lodowiec ten jest pokryty piaskiem, żwirem i kamieniami i tylko miejscami odsłaniają się obrywy lodowe (z lewej strony zdjęcia).
 fot. S. Osiecki

i dwadzieścia kilo na plecach. Każdy więc lepszy stopieniek usprawiedliwiał przystanek dla złapania tchu. Ale wszystko co złe ma swój koniec: skończyła się pionowa ścianka i niemiła płyta (robione oczywiście mimo zimna bez rękawic) i coś tam jeszcze, i wsapałem się w końcu na wygodną, piarżystą platformę, ukrytą wśród ponurych skał, skąd asekurował mnie Stefan. Tak więc dobrnęliśmy do owej platformy, ale minus jeden worek spoczywający nadal na półeczce skalnej (o wyciągnięciu go na linie nie było mowy). W końcu jednak i on dostał się na platformę, wywindowany na plecach Stefana, który po niego zeszedł.

Wszystko co dobre też się kończy i trzeba było przytulną platformę pożegnać. Nad nami skały znów się spiętrzały na długość



Widok od wschodu spod przełęczy pod Cerro Solo na masyw Nevado Tres Cruces (6630 m). Od lewej: południowy szczyt (6630 m) i środkowy (6620 m) fot. S. Osiecki

naszej długiej liny. Powtórzyła się podobna „przyjemność” wspinania się, z tą różnicą, że pionową ściankę i płytę zastąpiła stroma rysa i trawers pod odpychającym blokiem i że tym razem ja się dwa razy wspaniałem do góry (bez worka i z workiem), a Stefan raz. Dalej, o ile mogliśmy widzieć, ciągnął się w górę łatwiejszy teren, więc zwiniałem z przyjemnością linę. Nim skończyłem, już padał śnieg, czyli pokonaliśmy trudności skał punktualnie na czas.

Na lewo groźnie zwieszało się olbrzymie urwisko, ale wprost w górę mieliśmy teraz przed sobą dość szeroką drogę utworzoną z nietrudnych skałek, stromych piargów i płatów śniegu. Skałki były kruche i ołdzone, piarg oczywiście ujeżdżał spod nóg, a śnieg okazał się miejscami głęboki (nawet po pas) i do grani mieliśmy jeszcze daleko, ale ostatecznie była to już teraz kwestia jedynie cierpliwości i wytrwałości. Jak znudziło mi się kopanie butem stopni w uciekającym piargu, pakowałem się w usypującą się skałki, a z nich w zapadający się śnieg i tak w kółko. Rozmaitość była. Śnieg wkrótce przestał padać, ale późno po południu, gdy wreszcie osiągnęliśmy grań, rozpadał się na dobre i oczywiście przywi-

tał nas codzienny zachodni wicher, o swej zwykłej lodowatej mocy. Widoczność sięgała na kilkadziesiąt metrów.

Grań, jak to bywa w Andach, okazała się nie granią w ścisłym znaczeniu, lecz szerokim grzbietem dźwigającym na sobie równinki, kotlinki i górki. Byliśmy teraz na wysokości około 6100 m, czyli około 100 m wyżej niż przełęcz przytykająca bezpośrednio do masywu środkowego szczytu Tres Cruces, tzn. że teraz przyjdzie nam stracić te 100 m, które rano sobie zaoszczędziliśmy.

Chcąc się obniżyć ku przełęczy, musieliśmy przekroczyć niską grańkę. Zbliżając się do niej – siedłem wtedy kilkadziesiąt metrów za Stefanem – poczułem nad czołem ostre klucia w dwóch punktach, gdzie miałem na kapeluszu przymocowane okulary śniegowe w metalowej oprawie. Im bliżej grańki, tym gorzej, ale grańkę przekroczyć trzeba było, więc ostatecznie kilkanaście metrów przebyłem prawie biegiem, zapominając o zmęczeniu i wysokości. Po drugiej stronie szybko zbiegłem w dół po piargu, ale klucie w głowę było jeszcze silniejsze. Okulary (zapasowe) były przymocowane do kapelusza agrafkami, a kapelusza zdjąć nie chciałem z powodu zimnego wichru ze śnieżycą. Tarłem więc głowę i uciekałem. Dopiero o kilkadziesiąt metrów niżej klucie ustąpiło, ale za to poczułem za uszami silny ból głowy, który trwał przeszło godzinę. Stefan, który przeszedł grańkę wcześniej, poczuł te wyładowania elektryczne znacznie słabiej. Choć cały czas miałem w ręce czekan, wszystkie wyładowania skupiły się na mej głowie.

Przeszedłszy rozsypujące się skałki, podwójnie nieprzyjemne z powodu warstwy świeżego śniegu, zniżyliśmy się szybko ku naszej przełęczy. Nieco powyżej i w bok od niej znaleźliśmy wśród wielkich want ka-

mieniste, ale znośne miejsce na namiot. Za godzinę leżeliśmy już w ciepłych śpiworach i popijali smakowite mleko. Na dworze wciąż walił śnieg, ale w dobrym namiocie aż do rana nic to nas nie obchodziło.

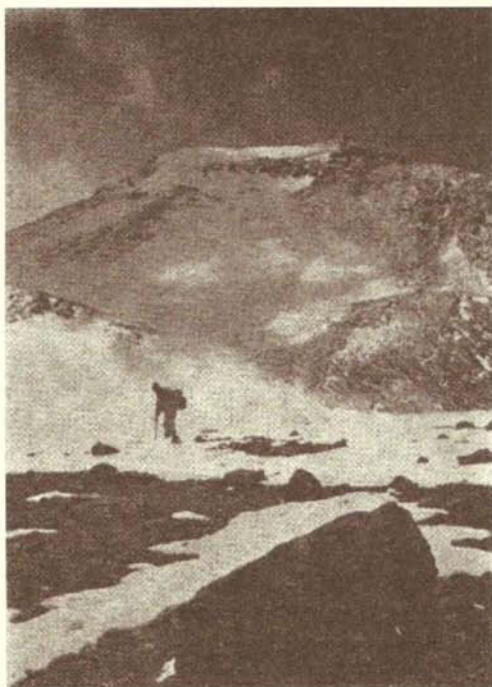
Ranek był śliczny, a wietrzyk znikomy. Przed nami wznosił się środkowy szczyt Tres Cruces – ocukrzona, ścięta piramida na tle mroźnego błękitu. To nasze zadanie na dzisiaj. Droga, aż do ostatnich partii, nie wyglądała trudno, a ostatnimi partiami zajmujemy się, jak do nich dotrzemy. W każdym razie linę wzięliśmy. Ruszyliśmy bez wielkiego obciążenia, bo na noc mieliśmy wrócić do tego samego obozowiska. Nasz wielki i ciężki aneroid mogliśmy szczęśliwie zostawić w namiocie, bo w czasie wczorajszej wspinaczki uległ uszkodzeniu. Klisz (9 x 12 cm), niestety nie potłukłem, więc musiałem je dźwigać dalej, wraz z aparatem. W kilka chwil osiągnęliśmy śnieżną równinę tworzącą przełęcz. Stąd ku wierzchołkowi prowadził stromy lodowiec przykryty warstwą świeżego i starego śniegu. Zrazu nachylenie nie było wielkie, ale wkrótce lodowiec nabrał stromości i coraz częściej zacząłem przystawać, choć na chwilę, żeby oglądać krajobraz, zresztą wspaniały, m. in. świeżo ośnieżony Nevado Ojos del Salado, na którego stokach w tej chwili męczyci się gdzieś nasi koledzy.

Na dłuższym przystanku porobiliśmy trochę zdjęć i ruszyliśmy dalej, teraz już bardzo stromo. Stefan, który miał lepszy „gaz”, prowadził zakosami. Nachylenie było zmienne – miejscami tak znaczne, że robiło się chwyt dla rąk w zmarzniętym śniegu. Śnieg był na tyle dobry, że nie musieliśmy rąbać stopni czekaniem, ale na wielkich przestrzeniach trzeba było każdy stopień robić kilkoma uderzeniami rakobuta. Prowadzący parę razy zapadał się w małe

szczeliny zakryte świeżym śniegiem, ale nigdy więcej jak po piersi, więc nie wiaźaliśmy się liną. Szliśmy też trochę skałkami tuż na prawo od lodowca.

Zrazu prażyło słońce, potem oczywiście przyszedł wiatr i przygnał chmury. W jakieś trzy godziny po wyjściu z obozu zniknął w nich cały dalszy krajobraz. Im wyżej, tym głębsza stawała się warstwa świeżego śniegu, zwłaszcza na miejscach mniej stromych.

Po przebrnięciu głębokiego śniegu na mało stromej części lodowca, dotarliśmy do skałek na lewo odeń. Wichur się wzmógł, śnieg walił, a mgła stawała się gęstsza, ale to nie było takie ważne, gdyż dalszą drogę ku wierzchołkowi mieliśmy już poprzednio wypatrzoną. Naszym jedynym zmartwie-



Środkowy szczyt (6620 m) Nevado Tres Cruces, widziany od południa, z wysokości ok. 6100 m. fot. S. Osiecki

niem była późna godzina i przypuszczalna odległość od niewidocznego wierzchołka. Orientując się w ostatniej części drogi jedynie krótkimi widokami południowego szczytu, podobno niższego, przypuszczaliśmy, że mamy przed sobą jeszcze dwie lub nawet trzy godziny drogi wykluczając oczywiście jakieś większe trudności. Poza tym, ja już byłem porządnie zmęczony, mimo że prowadził cały czas Stefan.

Pewien alpinista powiedział kiedyś, że trzeba być optymistą, aby móc zdobywać Himalaje. Może to i prawda, nawet w Andach. Optymistycznie więc zostawiliśmy na skałkach, co tylko mogliśmy, z naszego już niewielkiego obciążenia: zapasowe rękawice, jedzenie, a nawet linę, którą przecież aż tu przydzwigaliśmy w nadziei, a raczej obawie, że będzie potrzebna dopiero wyżej, pod samiułtkim wierzchołkiem. Poza tym, z powodu mego zmęczenia, Stefan miał się na mnie nie oglądać, tylko iść sam naprzód, a ja miałem za nim podążać w miarę możliwości lub oczekiwać na jego powrót. Dla wyprawy nie było to takie ważne, który lub ilu jej członków stanie na wierzchołku.

Stefan ruszył i zniknął od razu w gęstniejącej mgle, a ja przykucnąłem pod osłoną skałek i rozmyślałem, jakby to było przyjemnie leżeć w ciepłym namiocie i popijać gorącą herbatę, albo w Tres Quebradas zjadać żeberka baranie pieczone na węglach wielkiego ogniska. Jednakże po kwadransie przyszło mi na myśl, że nie wstyd nie zdobyć góry, ale nieładnie nie próbować do ostatka. Trzeba co najmniej spotkać Stefana w jego drodze powrotnej, mgła przecież gęsta, a padający śnieg i wichher szybko zacierają ślady. A zresztą odpowiedź zrobił swoje i może uda mi się osiągnąć wierzchołek. Poszedłem.

Wsadziłem nos w zanikające ślady Stefa-

na i brnąłem przez głęboki śnieg w górę. Wkrótce zrobiło się bardzo stromo, ale śnieg był płytszy, przez co szło się łatwiej. Ślady znikły i trafiłem na twarde, zlodowaciały śnieg tworzący rodzaj „stromego proggu”, gdzie trzeba było nawet wydźwignąć czekaniem chwyt. Potem znowu głęboki śnieg i wywiany balkon śnieżny pod pasem skałek. Widać było zaledwie na kilkanaście metrów, ale wiedziałem, że ten pas skałek trzeba obejść na lewo. W kwadrans znalazłem się nad skałkami, wichher był już tylko wiatrem, mgła się trochę cofnęła, a śnieg zaledwie prószył. Jeszcze kwadrans wielkiego łuku po zlodowaciałym śniegu i ścisłałem rękę Stefana na długim, wąskim wierzchołku, tak niespodziewanie bliskim. Widok z wierzchołka (wypada przecież o tym napisać) jest niewątpliwie wspaniały i rozległy, ale w pogodę. Myśmy przez dziurę w chmurach ujrzeli przez chwilę północny szczyt Tres Cruces (6030 m), gdzieś daleko pod nami. Przez chwilę wynurzyła się również cała kopuła południowego szczytu, który wbrew naszym oczekiwaniom i wbrew mapom komisji granicznych wznosił się nieznacznie, ale zupełnie wyraźnie wyżej od nas. Może to złudzenie, fata morgana, zmora, mara, lub inne lichy, lecz bądź co bądź poddawało to w wątpliwość, czy kopczyk wnieśliśmy na własnym szczycie.

Zejsście z wierzchołka, jak to często bywa, stało się wyścigiem z nadchodzącą nocą. Myśmy wygrali, ale ledwie, ledwie. Na przełęczy o zmroku Stefan zapadł się jeszcze raz w zaśnieżonej szczelinie, wprawdzie tylko po pas, ale i to nieprzyjemne, gdy się jest zmęczonym.

Następny ranek był znowu wspaniały i mogliśmy suszyć przemoczone rzeczy na słońcu. Zwinąwszy obóz powędrowaliśmy

powoli szerokim grzbietem grani na przełęcz (też ok. 6000 m npm) bezpośrednio pod południowym szczytem, skąd spodziewaliśmy się znaleźć łatwiejsze zejście do pierwszego obozowiska. Zobaczyliśmy, że rzeczywiście zejście będzie nietrudne i tu się rozdzieliliśmy. Postanowiliśmy bowiem, że należy jeszcze spróbować zdobycia południowego szczytu. Wczorajszy jego widok wprawdzie nie był dostatecznym dowodem jego największej wysokości w grupie Tres Cruces, ale warto go było zrobić nawet dla niego samego, a tym bardziej dla pewności zdobycia najwyższego szczytu w tej grupie. Stefan był zmęczony wczorajszą robotą (cały czas prowadził i kopał stopnie), więc miał zejść do obozowiska na wysokości 5500 m i zająć się w jego okolicy fotografowaniem, a ja miałem zanoćować sam na przełęczy i nazajutrz spróbować południowego szczytu. Czułem się coraz lepiej i widocznie dopiero dochodziłem do dobrego stanu aklimatyzacji. Południowy szczyt od tej strony ma mało śniegu (na południowej i wschodniej są wielkie, strome lodowce), ale drogę ku wierzchołkowi zagradza parę pasów stromych skał, dość groźnie wyglądających. Jednakże można było optymistycznie przypuszczać, że łatwiejsze przejścia się znajdą i że droga nadaje się do samotnego wejścia. Stefan pomógł mi jeszcze ustawić namiot nieco poniżej przełęczy, już przy padającym śniegu, i szybko poszedł w dół, na nocleg w pierwszym naszym obozowisku, ale nie w namiocie, tylko pod płachtą Zdarsky'ego. Nie spiesząc się, ugotowałem sobie jedzenie i poszedłem wcześniej spać, o piątej czy szóstej po południu. Obudziłem się około pierwszej w nocy i nie mogłem znowu zasnąć, bo już byłem wypłany. Połknąłem więc tabletkę Allonalu i przyjemnie spałem dalej kilka godzin.

Było jeszcze ciemno, gdy znowu obudziłem się i postanowiłem już zbierać się, do drogi. Wysunąłem głowę (w kominiarce) i ramiona (w komplecie ubrania prócz wiatrówki) z ciepłego śpiwora, ale taki był mróz w namiocie, że po zapaleniu kilku kawałków Mety i grubej świecy, czym prędzej schowałem się z powrotem do śpiwora. W małym namiociku o podwójnych ściankach taki system ogrzewania jest całkiem niezły i wkrótce mogłem się zająć przyrządzaniem śniadania. Był już pełny dzień, gdy ruszyłem w drogę. Pogoda była wspaniała, ale wiedziałem, że koło południa znowu się zepsuje swoim codziennym zwyczajem.

Dążąc w skos w górę po płatach głębokiego śniegu i wielkich wantach, przeważnie jednak po okropnym piargu wymagającym cierpliwego kopania usuwających się stopni, osiągnąłem wschodnie zebro południowego szczytu Tres Cruces. Z daleka wyglądało to na jednolite zebro, ale w rzeczywistości stanowiło kilka równoległych zeber skalnych, poprzerrywanych kawałkami piarzystych i śnieżnych zboczy i pasami biegnących w poprzek skał. Skała wszędzie niezmiernie krucha i pogruchotana. Lawirowałem stromo w górę owymi zębami i zlebami między nimi. Ani razu nie widziałem daleko przed sobą dalszej drogi. Po wielu godzinach uciążliwego trudu minąłem łatwą wspinaczką dwa pasy skał i poczułem, że wierzchołek nie może teraz być odległy. Pogoda jednak już się dawno zepsuła i nie mogłem się zorientować co do osiągniętej wysokości według okolicznych szczytów, bo przeważnie od dawna skryły się w chmurach.

Nagła wichura ze śnieżycą zmusiły mnie do przykucnięcia pod osłoną niskiej skałki i przez kwadrans zwątpiłem o zdobyciu

wierzchołka. Wirujący z wichrem śnieg utrudniał nawet myśl o odwrocie. Ale jak nagle zaczął padać, tak samo nagle śnieg ustał, a i wichur się przyczaił, porwawszy wpięrow w strzępy najbliższe chmury. Powlokłem się dalej w górę miarowym krokiem i wkrótce stanąłem na wschodnim, najniższym końcu grani szczytowej. Słońce już się przedzierało przez wyrwy w chmurach. Grań szczytowa, pozostałość po dawnym kraterze zamarłego wulkanu, jakie sto metrów długa, ciągnęła się przede mną łukiem, a w jej środku wznosiła się dziesięciometrowa turnia: szczyt szczytu.

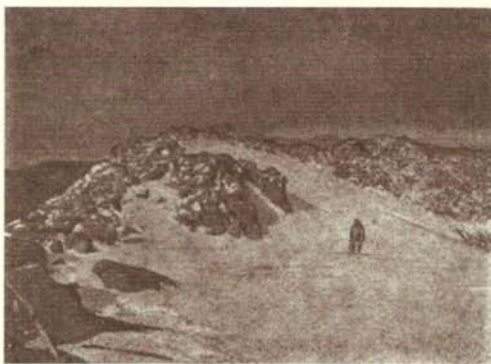
Wspinaczka na szczytową turnię była dość trudna i przykra z powodu ośnieżonych chwytów (rękawice musiałem zdjąć), ale wreszcie umieściłem puszkę z Owomaltyny w pęknięciu na samym jej wierzchołku. W puszcze zostawiłem wizytówkę (Stefana Ōsieckiego, bo własnej nie miałem) z nazwą wyprawy i datą wejścia..

Widok środkowego szczytu Tres Cruces był jedną z nagród dzisiejszego trudu: wydawał się nieco niższy od południowego; zawstydzony, prędko zasłonił się chmurami. Reszta widoku z grani szczytowej była fragmentaryczna; chwilami ukazywał się Cerro de los Patos i Cerro Solo, a ku południowi wielki, biały Salar de Tres Quebradas, błyszczący w słońcu. Zwiedziłem jeszcze zachodni koniec grani szczytowej, niewiele niższy od turni środkowej. Od południa podchodziło prawie do krawędzi grani szczytowej rozległe pole firnowe południowego lodowca.

Miałem jeszcze najwyżej dwie godziny światła dziennego, więc szybko zacząłem schodzić tą samą drogą co wchodziłem. Znowu był wyścig z nadbiegającą nocą i znowu ledwie go wygrałem, wczolgując się do namiotu o zmroku.

Nazajutrz zwinąłem namiot i pięknym rankiem śpiesznie zeszedłem w dół, koło wiszącego lodowczyka, do obozowiska, gdzie oczekiwał na mnie Stefan. Już od wczoraj byłem głodny jak wilk (osiągnięcie dobrej aklimatyzacji miewa swe przykre strony), więc rzuciłem się na przygotowany posiłek. Już żadne owsianki, buliony, serki, czy inne biszkopty – ale konserwy, prawdziwe konserwy z puszek: kiełbaski, fasolka, brzoskwinie i oczywiście herbata, nareszcie w dowolnej ilości, choć też gotowana na Mecie.

Wylegiwanie się na słońcu zostało przerwane przybyciem niezawodnego Sosy z mułami. Sześćdziesięcioletni vaqueano, po swej już siedmiogodzinnej drodze, tylko coś naprędcie przegryzł, i zaraz ruszyliśmy tą samą drogą z powrotem do biwaku nad Rio Salado, którego życiodajne, ale jakże gorzkie wody osiągnęliśmy dopiero po ciemku, z dala kierowani migotliwym ogniskiem młodszego Sosy.



Na wierzchołku środkowego szczytu (6620 m) Nevado Tres Cruces.
fot. S. Ōsiecki



Kolejne przejścia „nowej” Wielkiej Śnieżnej

Wojciech W. Wiśniewski

Wspomniane w poprzednim numerze („T” 4/2000 s. 27) przejście nowej głębokości, a ściślej nowej „suchej” (tzn. tylko do ostatniego miejsca dostępnego bez nurkowania, a nie do samego dna) głębokości Wielkiej Śnieżnej, czyli ok. -785 m, szybko doczekało się powtórzeń i to od razu dwóch. Pierwszego w dn. 17-19 stycznia 2001 r., a następnego w dn. 17-19 marca 2001 r. Podobnie jak pierwsze zostały one dokonane po zaporęczowanej jaskini, bo jak informował nas Błażej Nikiel, uczestnik 3 przejścia: „inaczej tego się chyba nie da zrobić, bo precyzyjnie się przez to [połączenie] bez wora, to już skrajne trudności”. By zaliczyć obecny główny ciąg tej „nowej”, bo znacznie rozszerzonej Wielkiej Śnieżnej, jaka powstała po przyłączeniu do niej Wielkiej Litworowej, trzeba pokonać spore ciasnoty ciągu partii Galerii Krokodyla, a przede wszystkim samego odcinka połączeniowego. Są tam miejscami wyjątkowo ciasne korytarze, które nazwano nawet Ciągami Boleści, gdyż ich eksploracja była wyjątkowo pracochłonna i uciążliwa. Np. w trakcie obozu sylwestrowego 1993/94 w czasie jednej akcji posuwano się w nich zaledwie o ok. 3-4 m do przodu.

Drugiego przejścia nowej „suchej” głębokości Wielkiej Śnieżnej, czyli trasy od otworu Wielka Litworowa (leżącego na wys. 1906 m n.p.m.) do Syfonu Dziadka, znajdującego się 22 m powyżej najniższego punktu jaki osiągnięto w jaskini, dokonała (z biwakiem) ekipa z Bielska-Białej (ze Speleoklubu Bielsko-Biała i Klubu Wysokogórskiego Bielsko-Biała): Piotr Gawlas, Janusz

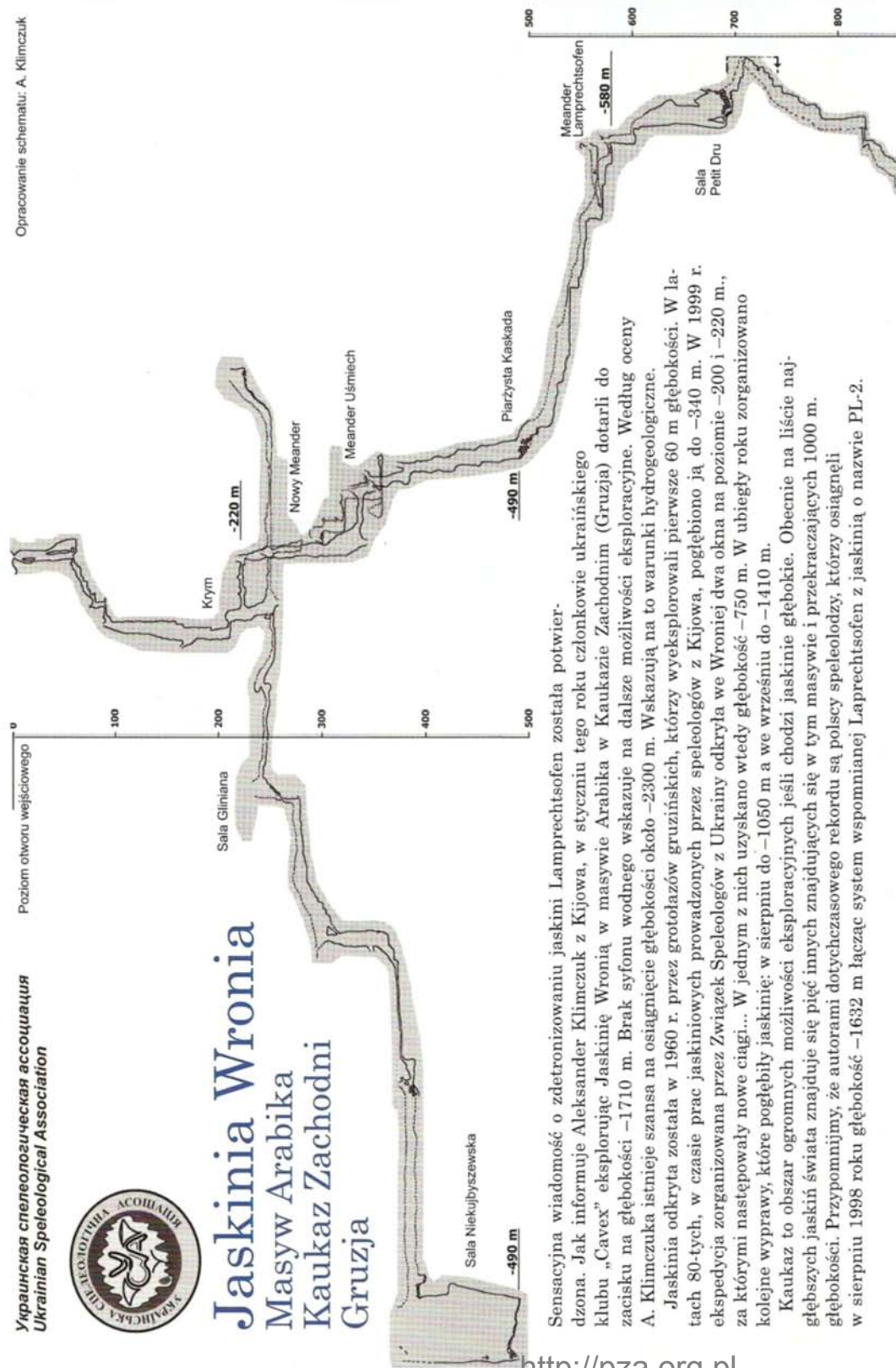
Hałas, Dariusz Rybarski i Czesław Szura. Ostatni z członków tego zespołu pokonał w czasie tej akcji deniwelację większą niż poprzednicy (792 m) – do przebytej głębokości dołączył bowiem jeszcze przejście przewyższenia – w partiach znajdujących się w pobliżu otworu Wielka Litworowa i wyprowadzających ponad jego poziom wyszedł na +7 m.

Jako trzeci, ciąg: otwór Wielka Litworowa – Syfon Dziadka przeszli 17-18 marca 2001 Jerzy Ganszer i Błażej Nikiel ze Speleoklubu Bielsko-Biała. Trasę tam i z powrotem przebyli w czasie – jak podaje skrupulatny J. Ganszer – 17 godzin i 59 minut (pierwsze przejście trwało 21 godzin). Do Magła (dawnego dna Wielkiej Litworowej leżącego na głębokości -337,5 m) dotarli po 1,5 godziny. Na Nowym Biwaku byli po prawie 4 godzinach, w rejonie II Biwaku (głębokość ok. -700 m) po ok. 6 godzinach, a przy „suchym” dnie jaskini – Syfonie Dziadka (-784,8 m) po 6 godzinach i 33 minutach. Jak stwierdzili w sprawozdaniu zamieszczonym na stronie swojego Speleoklubu, ciąg „jest bardzo ciekawy ze znaczną ilością ciasnych miejsc i ostrzegli, że „akcję należy uznać za *totalną*. Należy brać pod uwagę, że w razie jakichkolwiek kłopotów pomoc bardziej zorganizowana łatwiej może dojść przez Śnieżną”. Więcej informacji o przejściu, jak zapowiada nam B. Nikiel, zostanie przygotowanych do najbliższego numeru „Zacisku” (pisma Speleoklubu Bielsko-Biała), który ma ukazać się w czerwcu br. – „myślimy z Ganszerem, że trudno w Polsce o trudniejszy cel jaskiniowy”.



Jaskinia Wronia

Masyw Arabika Kaukaz Zachodni Gruzja



Sensacyjna wiadomość o zdetronizowaniu jaskini Lamprechtsofen została potwierdzona. Jak informuje Aleksander Klimczuk z Kijowa, w styczniu tego roku członkowie ukraińskiego klubu „Cavex” eksplorując Jaskinię Wronią w masywie Arabika w Kaukazie Zachodnim (Gruzja) dotarli do zaciśku na głębokości –1710 m. Brak syfonu wodnego wskazuje na dalsze możliwości eksploracyjne. Według oceny A. Klimczuka istnieje szansa na osiągnięcie głębokości około –2300 m. Wskazują na to warunki hydrogeologiczne.

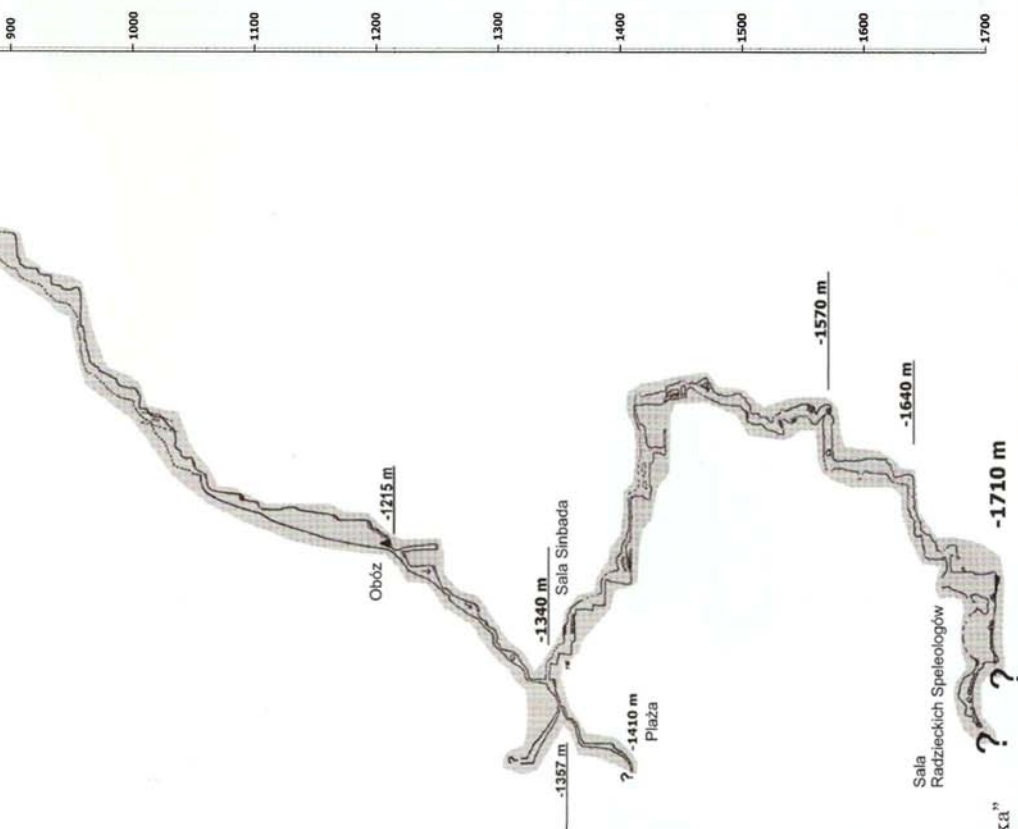
Jaskinia odkryta została w 1960 r. przez grotolazów gruzińskich, którzy wyeksplorowali pierwsze 60 m głębokości. W latach 80-tych, w czasie prac jaskiniowych prowadzonych przez speleologów z Kijowa, pogłębiono ją do –340 m. W 1999 r. ekspedycja zorganizowana przez Związek Speleologów z Ukrainy odkryła we Wroniej dwa okna na poziomie –200 i –220 m., za którymi następowały nowe ciągi... W jednym z nich uzyskano wtedy głębokość –750 m. W ubiegłym roku zorganizowano kolejne wyprawy, które pogłębiły jaskinię: w sierpniu do –1050 m a we wrześniu do –1410 m.

Kaukaz to obszar ogromnych możliwości eksploracyjnych jeśli chodzi jaskinie głębokie. Obecnie na liście najgłębszych jaskiń świata znajduje się pięć innych znajdujących się w tym masywie i przekraczających 1000 m. głębokości. Przypominamy, że autorami dotychczasowego rekordu są polscy speleolodzy, którzy osiągnęli w sierpniu 1998 roku głębokość –1632 m łącząc system wspomnianej Lamprechtsofen z jaskinią o nazwie PL-2.

Poniższe zestawienie prezentuje zmiany światowego rekordu głębokości na przestrzeni ostatnich 100 lat.

1901	- 329 m	[Abisso di Trebiciano]
1909	- 394 m	[Nidlenloch]
1923	- 464 m	[Geldloch]
1934	- 480 m	[Antro del Corchia]
1944	- 512 m	[Dent de Crolles]
1945	- 549 m	[- " -]
1947	- 603 m	[- " -]
1953	- 689 m	[Pierre Saint Martin]
1954	- 740 m	[Gouffre Berger]
1954.09	- 903 m	[- " -]
1955	- 985 m	[- " -]
1956	- 1122 m	[- " -]
1963	- 1135 m	[- " -]
1966	- 1171 m	[Pierre Saint Martin]
1975	- 1273 m	[- " -]
1975.08	- 1321 m	[- " -]
1979	- 1358 m	[Gouffre Jean-Bernard]
1980	- 1402 m	[- " -]
1981	- 1455 m	[- " -]
1982	- 1494 m	[- " -]
1983	- 1535 m	[- " -]
1989	- 1602 m	[- " -]
1998	- 1610 m	[Gouffre Mirola]
1998.08	- 1632 m	[Lamprechtsofen]
2001.01	- 1710 m	[Wronia]

Obszerne opracowanie dotyczące historii zdobywania jaskini i możliwości eksploracyjnych przedstawimy w następnym numerze „Taternika”



Nowy polski rekord głębokości nurkowania

Wojciech W. Wiśniewski



Otwór wejściowy do jaskini Hranická Propast

W dniach 10-16.12.2000 r. 32 letni Krzysztof Starnawski ze Speleoklubu Warszawskiego przeprowadził serię nurkowań w jaskini Hranická propast, w pn. Morawach ok. 70 km na pd.-zach. od Cieszyna.

Jest to jaskinia krasowa o rozwinięciu pionowym wytworzona w wapieniach miąższości ok.700-1000 m przez wody termalne zawierające duże ilości dwutlenku węgla. To co dotąd poznano to w zasadzie jedna jaskiniowa studnia głębokości ponad 273 m (według jednego z sondowań z 1980 r., ale nigdy później nie potwierdzonego, nawet 315 m) w większości wypełniona wodą, a więc jedna z najgłębszych tego typu form na świecie. Wstępna część jaskini ma postać wielkiego leja o skalnych pionowych ścianach z trzech stron i bardzo stromym zboczem z czwartej. Na głębokości 69 m poniżej krawędzi otworu

(który leży na wysokości ok.300 m npm) jest spory stawek, gdzie zaczyna się zatopiona część studni. Na poziomie -48 m od powierzchni wody stromy ciąg od otworu łączy się kominem, który wyprowadza w suchej i ślepej dużej komorze nazwanej Rotunda (wysokości 27 m, długości 43 m i szerokości 7,5 m). Mniej więcej poniżej poziomu -100 m studnia znacznie się rozszerza i osiąga wymiary 20 x 40 m. Jak daleko jeszcze do dna studni nie wiadomo, ale według niektórych geologów może mieć ona nawet 700-800 m głębokości! Woda w tej jaskini wyróżnia się bowiem bardzo wysoką temperaturą. Na powierzchni ma ona 14-16,5°C, głębiej zaś ma wzrastać do 19,8°C i według obliczeń pochodzi ona właśnie z głębokości poniżej 700 m.

Warto wspomnieć, że sucha część jaskini (znana jako Propast – czyli przepaść, studnia) jest znana od dawien dawna. W literaturze wzmiankowana była już w 1581 r., a w 1627 r. jako ogromną osobliwość zaznaczono ją na mapie kraju i jest pod tym względem jedną z pierwszych w świecie jaskiń. Jest też pierwszym obiektem krasowym Czech jaki zlokalizowano na mapie.

Pierwsze nurkowanie w jaskini miało miejsce w 1961 r. Nurek samouk z aparatem własnej konstrukcji dotarł wówczas na głęb. 6 m. Dwa lata później problemem zajęli się już zrzeszeni pletwonurkowie. W 1963 r. wynik poprawiano dwukrotnie, za pierwszym razem osiągnięto głębokość -12,6 m, a jakiś czas później -47 (42?) m. W następnym roku posunięto się do głębokości -60 m. Dwa następne nurkowania poprawiające osiągnięty rezultat, były bardzo ryzykowne, gdyż nurkując z użyciem powietrza schodzono znacznie poniżej dopuszczalnej granicy dla tego typu „czynnika oddechowego” – w 1966 r. do -82 m, w 1968 r. do -89 m. Rezultat ten poprawiono dopiero 13 lat później z zastosowaniem już specjalnych mieszanek do oddychania, schodząc, w 1981 r., do -110 m. Następnym dwu głębokich zejść dokonał belgijski nurek Michel Pauwels.

W 1992 r. dotarł on do głębokości -134 m, a w 1993 r. do -155 m. By poznać jak wygląda dalsza część jaskini i jak daleko się jeszcze ciągnie, problemem studni zainteresowano belgijskiego przemysłowca, który sfinansował akcję spuszczenia w 1995 r. do Hranickéj propasti specjalnego zdalnie sterowanego pojazdu z kamerą i sonarem – R.O.V. Hyball. Niestety, gdy dotarł on na głębokość 205 m, łączący go z powierzchnią kabel najpierw zaplątał się o znajdujący się w głębinach pień drzewa, a następnie, gdy po skomplikowanych manewrach udało się go oswobodzić, zaczepił się o starą linę nurkową na głębokości -130 m. Zaryzykowano wtedy wyciąganie go na siłę za kabel, ale na głębokości 58 m ostatecznie się zaklinował. Była to na szczęście głębokość o jakiej pletwonurkowie (dysponujący tylko butlami z powietrzem) mogli już dotrzeć. Gdy oswobodzony pojazd znalazł się na powierzchni, sponsor postanowił już więcej nie ryzykować (urządzenie kosztuje kilkaset tysięcy złotych). Zakończył akcję pozostawiając zagadkę dołu studni nierozwiązaną, wiadomo tylko że ciągnie się ona dalej w głąb ziemi.

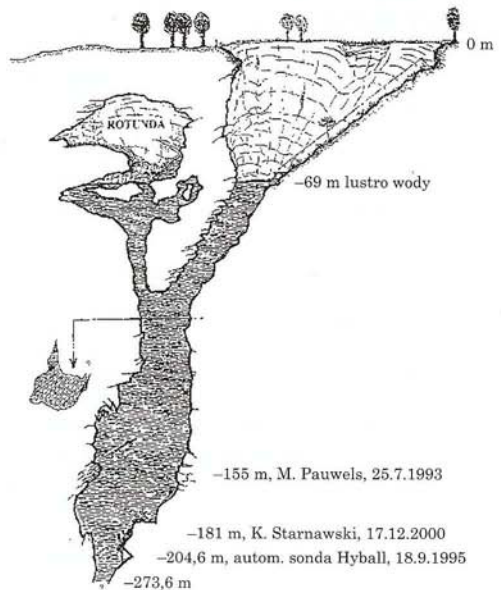
Od kilku lat jaskinią Hranická Propast interesuje się Krzysztof Starnawski. W maju 1998 r. osiągnął w niej głęb. 120 m, a w marcu 1999 r. schodząc na głębokość 133 m ustanowił polski głębokościowy rekord nurkowania. W grudniu 2000 r. pojawił się przy niej ponownie. Tym razem nurkował kilkakrotnie. Najpierw do -85 m, a następnie do -140 m. W czasie tych nurkowań zajmował się m.in. eksploracją odgałęzień odchodzących w poziomie od głównej studni. Stwierdził, że są duże nadzieje na kontynuację wszystkich poznanych przez niego ciągów.

Starnawski do Hranic przybył z zamiarem przekroczenia głębokości 200 m, ale podczas ostatniego nurkowania na głębokości ok. 160 m pojawiło się u niego i pogłębiało z każdym kolejnym metrem odczuwanie HPNS-u (Syndromu Neurologicznych Objawów Wysokich Ciśnień) – jak podano na stronie Speleoklubu Warszawskiego – „objawiało się to drżeniem rąk oraz w mniejszym stopniu drżeniem całego ciała”. Dotarł – ustanawiając tym nowy polski rekord głębokości nurkowania – do głębokości 181 m. To rekordowe nurkowanie trwało 4 godz i 21 minut, z czego 21 min. zajęło mu zejście do -181 m,

a 1 godzinę pobyt dekompresyjny w drodze powrotnej na głębokości 3 m. Miał przy tym pecha, bo z 5 użytych przez niego komputerów (niezbędnych do ustalania przebiegu nurkowania), przetrwał mu tylko jeden. Pierwszy wysiadł już na głęb. -94 m, drugi na -96 m, a dwa dalsze na -163 m.

Rezultat osiągnięty przez K. Starnawskiego jest już jednym z lepszych wyników w skali światowej, choć wciąż odległym od światowego rekordu głębokości nurkowania. Ustanowiono go w 1996 r. w jaskini Bushmansgat znajdującej się w Republici Południowej Afryki. Nuno Gomez zanurkował tam na głębokość 283 m, co ze względu na położenie otworu jaskini jest odpowiednikiem uzyskania z poziomu morza głębokości 337 m.

Za ustanowiony w 1999 r. rekord K. Starnawski otrzymał nagrodę „za dokonanie roku” „Kolos 1999” w kategorii „wyczyn roku”. Także w tym roku został nominowany do tej nagrody w tej samej kategorii.



Hranická Propast. Przekrój wg mapy „Jeskyně a krásavá území České Republiky” (1998)

Nowe odkrycia w Wielkiej Śnieżnej

W pierwszym kwartale 2001 r. w Przemkowych Partiach Jaskini Wielkiej Śnieżnej odbyły się trzy biwaki eksploracyjne (w styczniu, lutym i marcu). Penetracja w dolnych rejonach tej części jaskini przyniosła odkrycie jedynie połączenia problemu ze znanym już korytarzem.

Dopiero w czasie biwaku 15-18 marca 2001 r. Jacek Pyszka i Andrzej Poczobutt, w górnych rejonach Przemkowych Partii za ciasnotami w jednym z meandrów odkryli bardzo interesującą i obiecującą kontynuację. Jak na postawie ich relacji napisał Dariusz Bartoszewski na stronie Epimenides, „weszli w duży, wysoki na jakieś 15-20 m i *strasznie pokręcony* meander. Po około 100 m udało się dotrzeć na dno pięknego mytego komina o postawie w kształcie idealnego okręgu, wysokości tak znacznej, że halogenem nie było nic widać”. Partie te znajdują się już na wysokości Wielkiej Studni i dalsza ich eksploracja może przynieść odkrycie kolejnego (już szóstego otworu) Jaskini Wielkiej Śnieżnej.

Odkrycia w jaskiniach Niecki Nidziańskiej

W październiku 2000 r. ekipa grotolazów z Wałbrzyskiego Klubu Górskiego i Jaskiniowego działała z sukcesem w trzech jaskiniach utworzonych w gipsach na terenie Niecki Nidziańskiej: w Gackach i Skotnikach Górnych (ok. 9-7 km na zachód i pd.-zach. od centrum Buska Zdroju).

Największego odkrycia dokonali w pierwszej z jaskiń. Dzięki nim znana długość Jaskini w Gackach (otwór na wysokości ok. 240 m npm) została podwojona. Przed ich przyjazdem znany był tylko jeden wąski meandrujący korytarz bez odgałęzień o długości 57 m, powstały w wyniku podziemnego przepływu cieku wodnego w gipsach. Kończył się ciasnym zwężeniem, które grotolazi z Wałbrzycha zdołali pokonać. Odkryli za nim ciąg salek o maksymalnej wys. do 1,5 m. Długość jaskini wzrosła do 115 m, co wysunęło ją na czwartą pozycję pod względem długości w Niecce Nidziańskiej. Wśród polskich jaskiń gipsowych jest to odkrycie zwracające uwagę, bo najdłuższa na tym terenie – Jaskinia Skorocicka – ma długość 352 m, a następne pod tym względem są Jaskinia Sawickiego z długością 173 m i Jaskinia w Skorocicach u Ujścia Doliny z długością 122 m.

W Jaskini Lisiej koło wsi Skotniki Górne (otwór na wysokości 209 m npm) grotolazi z Wałbrzycha zweryfikowali przebieg bocznego ciągu, poznając przy tym nieco nowego, co zwiększyło długość jaskini do 76 m (wzrost o 14 m). Zaś w położonej po sąsiedzku Jaskini w Skotnikach Górnych (otwór na wys. ok. 204 m npm) przeszli do końca szeroki, ale niski korytarz dzięki czemu długość jaskini wzrosła do 31 m (dotąd było 20 m).

Pierwsza długa niekrasowa jaskinia w Sudetach

Dzięki działalności grotolazów z Wałbrzyskiego Klubu Górskiego i Jaskiniowego na mapie jaskiniowej Polski pojawił się nowy rejon jaskiniowy i nowe ciekawe jaskinie niekrasowe.

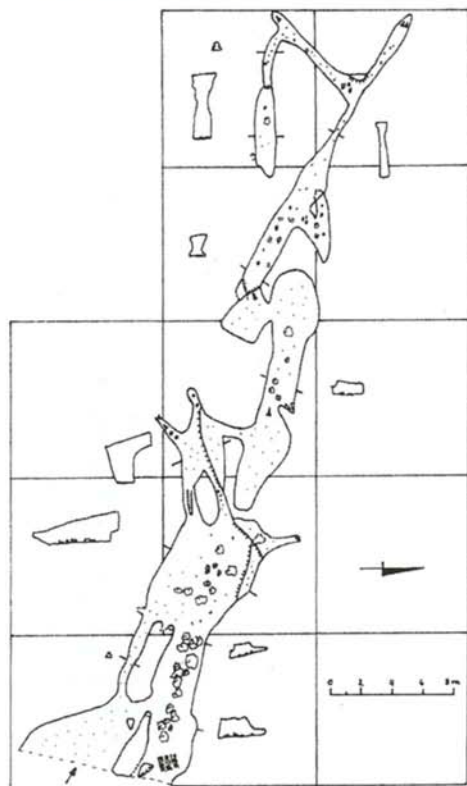
W marcu 2001 r. koło wsi Kochanów znajdującej się ok. 12 km na pd.-zach. od centrum Wałbrzycha znaleźli oni kilkanaście obiektów jaskiniowych utworzonych w piaskowcach górnokredowych. Z tym, że jak pisze Andrzej Wojtoń w klubowym biuletynie „Ring” (nr 2, s. 29), są one położone „w wyrobiskach nieczynnych kamieniołomów. W części drażono sztuczne komory, osiągające nawet do kilkunastu metrów długości i szerokości. Stąd trzeba teraz po śladach na ścianach rozpoznać, co jest sztuczne, a co naturalne”.

Największy znaleziony przez grotolazów obiekt, w którym – jak podkreśla A. Wojtoń – „całość korytarzy pochodzenia naturalnego”, to Jaskinia z Rondami znajdująca na pn.-zach. od Kochanowa w kamieniołomie między wzgórzami Czerep (581 m npm) a Trębna (590 m npm). Ma ona długość 112 m i głębokość ok. 5 m oraz ok. 58 m rozciągłości. Jest więc obecnie najdłuższą niekrasową jaskinią jaką znamy na terenie polskich Sudetów.

„Eksploracja w Kochanowie jeszcze trwa. Będzie wszystkiego ponad 10 obiektów z czego część będzie miała ponad 40 metrów” – poinformował nas A. Wojtoń, prowadzący te prace.

(WWW)

Ilustracja:
Plan Jaskini z Rondami. Przedruk z biuletynu „Ring” nr 2/2001, s. 31.



Plan Jaskini z Rondami

Niezwykła jaskinia w Beskidach

Eksploracja jaskiniowa Beskidów trwa. Rośnie nie tylko ilość znanych jaskiń (wg danych z marca 2001 r. jest ich już ponad 620 o łącznej długości przeszło 9,9 km), ale i jakość najciekawszych z nich.

Ostatnio, 11 marca 2001 r., sześciuosobowa ekipa grotolazów z Dębicy, Ryglic i Krakowa – jak informuje Rafał Suski na stronie KKTJ (<http://195.116.240.245/~kktj/kaciki/naukowy/wodna1/wodna.html>) – uczestniczyła w bardzo interesującym (w ocenie R. Suskiego nawet „sensacyjnym”) odkryciu na zachodnim stoku Piotrusia (727 lub 728 m npm). Góra ta znajduje się w środkowej części Beskidu Niskiego, ok. 10 km na pd.-wsch. od centrum Dukli, po prawej (oro-

graficznie) stronie rz. Jasiołka. Mieszkaniec przyśiółka Stasiane, leżącego u pd. podnóży Piotrusia, zaprowadził ich do znanej sobie jaskini, która znajduje się w dolnym z dwu położonych obok siebie lejów. Gdy przybyli na miejsce drugi z lejów był zatkany, ale jeden z uczestników wyjazdu Piotr Baczyński z Dębicy za pomocą kija zrobił w korku wąską dziurę „za którą otwierała się czelusz”. Po poszerzeniu wejścia R. Suski dostał się do jej wnętrza. Oto jego opis: „Oczom moim ukazał się niezwykle na fliszowe warunki jaskiniowe widok: dnem jaskini płynęła z pluskiem warka strużka wody, niknąca w ponorze pod piaskowcową ścianą. Wypływała ona z niewielkiego jeziorka o wymiarach 0,5 x 1,5 m i głębokości do 10 [cm] [...] które z kolei zasilane było wodą wypływającą z dna pionowej szczeliny w głębi jaskini”. Z tego też powodu, ten obiekt utworzony w piaskowcach cergowskich, został nazwany Jaskinią Wodną w Piotrusiu. Jest jak zauważa odkrywca „jedyną jaskinią osuwiskową (w polskich Karpatach fliszowych) ze stałym przepływem wody”. Jaskinia jest niezwykła także ze względu na rozmiary i różnorodność szaty naciekowej. Jest chyba (jak można sądzić po opisie) najbogatszą pod tym względem na terenie całych polskich Karpat fliszowych: „W stropie i na ścianach znajdowały się kalcytowe nacieki w postaci pól, stalaktytów, niewielkich stalagmitów, a także kolumn naciekowych. Największy ze stalaktytów posiada długość ok. 40 cm”.

Jest więc, mimo niezbyt wielkich rozmiarów (długość 12 m, głębokość 4 m), obiektem szczególnym i zasługującym na ochronę. R. Suski wyraża nadzieję, że „ze względu na małe rozmiary, kłopotliwy i daleki dojazd oraz trudność w zlokalizowaniu otworu, jest szansa, że nie zostanie ona zdewastowana”.

(WWW)

Inwentarz jaskiń Wyżyny Śląskiej

Członkowie klubu „Ring” na swojej stronie internetowej donoszą o kończeniu prowadzonych przez nich prac nad inwentarzem zatytułowanym „Jaskinie, schroniska skalne i inne obiekty o charakterze jaskiniowym Wyżyny Śląskiej”. Okazuje się że na tym dotychczas nie badanym jaskiniowo terenie zinwentaryzowano już blisko 50 obiektów o łącznej długości ponad 1050 m.

(W)

Jaskiniowy „Kolos 2000” za Jaskinię pod Śnieżnymi Korkami (Tennengebirge)

22 marca 2001 r. w Krakowie wręczone zostały „nagrody za dokonania roku” – Kolosy 2000. Jest to impreza wymyślona i organizowana przez Janusza Janowskiego, szefa Małopolskiej Agencji Rozwoju Turystyki, mająca nagradzać osiągnięcia polskich podróżników. Jedną z 5 kategorii w której jest przyznawana jest „eksploracja jaskiń”.

Za rok 2000 nagrodę w tej kategorii dostał zespół grotolazów ze Speleoklubu Bobry z Żagania kierowany przez Daniela Oleksego za odkrycia dokonane w Jaskini pod Śnieżnymi Korkami (3,6 km korytarzy). Jaskinia ta znajduje się we wschodniej części rozległego krasowego masywu Tennengebirge w austriackich Alpach ok. 40 km na pd.-wsch. od Salzburga. Została znaleziona przez żagańskich grotolazów w 1999 r., ale eksplorację jej podjęto dopiero w 2000 r. W pewnym sensie – jak informują grotolazi – „trochę przez przypadek”, gdyż pierwotnie celem wyprawy działającej w dn. 21.07-12.08.2000 r. była inna jaskinia. Pierwsza część wyprawy przybyła w góry nieco wcześniej i oczekując na kolegów, którzy mieli problemy z przekroczeniem granicy, wybrali się po południu na spacer właśnie do Jaskini pod Śnieżnymi Korkami. W czasie kilkugodzinnej akcji okazało się, iż jest to obiekt bardzo interesujący – odkryto poziome korytarze i kilka pochylni. Następnego dnia – jak napisał Marcin Furtak w relacji z wyprawy zamieszczonej w klubowym biuletynie „Grotolajza”, (nr 4 s. 9) – „zaczyna się szła eksploracyjny”. 20 dni później, „pomimo fatalnej pogody i utrudniającego działania deszczu”, jaskinia ma już 3,6 km korytarzy (o deniwelacji 281 m) i jest najdłuższą jaskinią tej części masywu.

Jednym z nominowanych do nagrody „Kolosa 2000” w kategorii „wyczyn roku” był też grotolaz – Krzysztof Starnawski, za nowy polski rekord głębokości nurkowania (–181 m).

(WWW)

Grotolazi w lawinie pod Kazalnicą

4 lutego 2001 r. 12 osobowy zespół grotolazów Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego (w składzie: 3 instruktorów, 4 taterników jaskiniowych i 5 kursantów) udał się do Studni w Kazalnicy Miętusiej. Jak informuje na klubowej stronie uczestnik wyjazdu Tomasz Traciłowski: „Podejście odbywało się grzędą, a następnie trawersem w prawo, ok. 20 metrów poniżej ściany do miejsca z którego miało się rozpocząć podchodzenie po linie do otworu. Dwóch instruktorów rozpoczęło zakładanie liny poręczowej, natomiast reszta zespołu pozostała po lewej stronie, na trawersie, gdzie przygotowywała sprzęt do podchodzenia po linie. O godzinie 15.45 doszło do odpięcia u podstawy ściany, ponad trawersem, pokrywy śnieżnej o grubości ok. 50 centymetrów i szerokości 15 metrów, która zjeżdżając po zalegającym, jak się później okazało, pod spodem „betonie” porwała zakładających sprzęt 10 grotolazów. Po trwających od kilku do kilkudziesięciu sekundach „lotach”, o długości od kilkudziesięciu do ponad stu metrów, grotolazi zostali wyrzuceni na powierzchnię”.

Po stwierdzeniu, że wszyscy są na powierzchni i po wstępnych oględzinach obrażeń wiadomość o wypadku przekazano przez telefon komórkowy do TOPR-u. Ok. 20 minut później nadleciał śmigłowiec z ratownikami. W trzech kursach zabrał 5 najbardziej poszkodowanych grotolazów (u jednego zdiagnozowano otwarte złamanie nogi, później okazało się że jest to tylko głęboka rana, inni odczuwali bóle w okolicy kręgosłupa, miednicy, mieli rozcięte kolana). W szpitalu na obserwację pozostały 4 osoby, u jednej stwierdzono pęknięte żebro, u reszty silne potłuczenia.

Był to pierwszy większy wypadek lawinowy jakiemu ulegli polscy grotolazi. (w)

Serwis prawie światowy

Halny nad Pacyfikiem

Czy to możliwe, aby poczuć powiew halnego nad Pacyfikiem? Czy duch tatrzańskich turni może wędrować po świecie? Czy to prawda, że Tatry są najpiękniejsze? Czy w końcu każdy, kto zetknął się z Tatrami będzie nosił ich piętno do końca życia? Na wszystkie pytania odpowiem „tak!”

Z Alanem Formankiem, taternikiem ze Słowacji, dyrektorem już czwartego Międzynarodowego Festiwalu Filmów Górskich w Vancouver, doszliśmy razem do wniosku, że trzeba było wyjechać na drugi koniec świata, aby dostrzec niepowtarzalność atmosfery, w jakiej rozdziły się nasze górskie pasje. Słowacy nie mogli wyjść z podziwu, jak my możemy ciągle dyskutować o polityce, my nie mogliśmy pojąć, skąd oni znają tyle piosenek o górach.

Alan przez wiele lat nosił się z zamiarem zorganizowania festiwalu. Vancouver to wspaniałe miasto otoczone górami i – niestety także – wielkim murem niemocy. Trafiają się jednak ludzie, którym to słowo jest obce. Szczęśliwym trafem, Alan spotkał Mariusza Pawlaka, a jak wszystkim wiadomo, Mariusz zna ludzi, którzy mogą wyłożyć parę dolarów na to i owo.

Na początku było bardzo skromnie. W 1989 r. wystartował Pierwszy Międzynarodowy Festiwal Filmów Górskich. Chyba nawał pracy organizacyjnej spowodował, że zabrakło czasu na sprowadzenie jakiejś polskiej produkcji filmowej. W rok później, można powiedzieć, festiwal odbywał się już pod nasze dyktando. W komisji konkursowej zasiadał „nasz” człowiek, czyli Zbyszek Piotrowicz, organizator podobnego festiwalu w Łądku Zdroju, specjalnie zaproszony na tę okazję z Polski. Pokaz slajdów Wojtka Kurtyki został nagrodzony owacją na stojąco. Bez wątpienia było to wydarzenie owego festiwalu. Dzień wcześniej, większą część dnia zajął przegląd polskich filmów. Zaprezentowano ich aż pięć, a wśród nich „Ganek” Mirosława Dembińskiego, który zdobył aż dwie nagrody: Nagrodę Publiczności w Dniu Polskim oraz Nagrodę Jury w kategorii Najlepszy Film Górski. Polska publiczność wyka-

zała większe zainteresowanie polskimi produkcjami niż samym festiwalem.

Trzeci z kolei festiwal praktycznie rozpoczął się tydzień wcześniej na wyłączonym z głównych ram Dniu Polskim. Mariusz Pawlak był w posiadaniu takiej ilości polskich filmów, że można by było zorganizować osobny mini festiwal. Oglądaliśmy więc produkcję vancouverkiego reżysera Piotra Chrzanowskiego z jego ostatniej wyprawy do Kolumbii: „Journey into the Heart of the World”, a ponadto film Krzysztofa Millera „Wiera Nadzieja i Miłość” oraz „Ikara” Mirosława Dembińskiego. Na resztę zabrakło już czasu...

Właśnie zakończyła się czwarta edycja festiwalu i można powiedzieć, że całość wypadła całkiem dobrze. Praktyka wskazuje, że dobrą tradycją stanie się inaugurowanie festiwalu Dniem Polskim. Bardzo żywo został przyjęty film A. T. Pietraszek „Ostatnia rozmowa”. Gość specjalny, Anna Milewska była dosłownie rozchwytywana przez publiczność. Grand Prix festiwalu zdobył świetny film amerykański „Robert Fulton's Pilot Notes” autorstwa V. Van Maule (autorzy będą prawdopodobnie gościć jesienią w Łądku – red.) a nagrody rozdano w jeszcze siedmiu kategoriach. Frekwencja się zwiększa, rokowania na przyszłość są dobre i wszystko wskazuje na to, że nad północnym Pacyfikiem halny powieje jeszcze nie raz.

Krzysztof Drożdżeński, Vancouver

Najlepsze filmy z Banff w Częstochowie

W dniu 27 kwietnia 2001 r. w Klubie „Politechnik” Akademickiego Centrum Kultury w Częstochowie odbędzie się przegląd najlepszych filmów z Festiwalu Filmów Górskich w Banff w Kanadzie. W ubiegłym roku The Banff Mountain Film Festival obchodził swoje 25-lecie. Każdego roku w listopadzie ponad sześć tysięcy entuzjastów przygody ściga do Banff, by uczestniczyć w wyborze najlepszych światowych filmów na temat sportów górskich, wspinaczki w najwyższych górach świata, przyrody i środowiska górskiego.

Festiwal w Banff jest największym i najstarszym festiwalem filmów górskich na kontynencie północnoamerykańskim i jednym z najbardziej liczących się na świecie. Po każdym festiwalu w świat wyrusza nagrodzona czołówka i właśnie Częstochowa będzie kolejnym etapem tej światowej tury. Festiwal Filmów Górskich gościł w ostatnich dwóch latach, w samej tylko Kanadzie i USA w 135 miejscach i oglądany był przez ponad 100 tysięcy ludzi gór i sympatyków sportów górskich. Prezentacji filmów towarzyszyć będzie wystawa malarstwa i fotografii górskiej. Obecne będą również dwa wydawnictwa specjalizujące się w tematyce górskiej. Dodatkowe atrakcje to „Spotkanie z Gwiazdą” oraz losowanie nagród. Zapraszamy do klubu „Politechnik” w Częstochowie, ul. Armii Krajowej 23/25, w piątek 27 kwietnia od godz. 10.00. Początek programu filmowego o godz. 16.00.

Informacja o imprezie: tel. kom.: 0601 097255, 0501 599765

Filmowy Przy-Łądek

W Łądku Zdroju trwają już prace nad przygotowaniem siódmej edycji Przeglądu Filmów Górskich. Wszyscy chętni do odwiedzenia tej „cool-towej” imprezy muszą zarezerwować sobie czas między 14 a 16 września. Autorzy filmów, którzy chcieliby zaprezentować swoje produkcje życzliwie nastawionej publiczności, proszeni są o kontakt z organizatorami: Centrum Kultury i Rekreacji w Łądku Zdroju, tel/fax 074 81 46 245, e-mail: ckir@ladek.pl Czas nadsyłania zgłoszeń upływa 30 czerwca.

Puchar Świata we Wspinaczkę Lodowej 2001

Zainteresowanie zeszlorocznym Pucharem Lodowym przeszło wszelkie oczekiwania organizatorów. Z tym większym rozmachem przystąpiono do organizacji jego drugiej, czyli tegorocznej edycji. Ice Climbing World Cup 2001 obejmie 6 spotkań w różnych punktach Europy – rozgrywki prowadzone będą głównie na obiektach sztucznych, zwykle 20- do 30-metrowych oblanych lodem obeliskach. Udział w startach biorą tacy mistrzowie jak Will Gadd z Kanady, Beat Kammerlander z Austrii (zarazem wybitny alpinista) i Aljas Anderle ze Słowenii.

Niezwykły eksponat

Bronco Lane – brytyjski alpinista i były żołnierz bardzo poważnie potraktował apel kustosa Muzeum Armii Narodowej w Londynie. Poproszony o wsparcie dla muzeum, przekazał własne palce jednej dłoni i obu stóp. Przechowywał je w formalinie przez ostatnie 24 lata. W roku 1976, 16 maja, wraz z partnerem osiągnął wierzchołek Mount Everestu. Podczas dramatycznego zejścia biwakowali w śnieżnej jamie, co Bronco przeplacił ciężkimi odmrożeniami. Niezwykły eksponat został przyjęty mimo obaw, że wzbudzi on wśród zwiedzających zdecydowany niesmak.

Wejścia w Andach

Robert Pułka, Polak w Legii Cudzoziemskiej, w dniu 24 stycznia wszedł w towarzystwie Magdaleny Tararako na Aconcagua normalną drogą, a 27 stycznia – już sam – na ten sam szczyt przez Lodowice Polaków, drogą o trudnościach D. Przedtem dla aklimatyzacji zdobył 21 stycznia Cerro Amedhino (na wschód od A. 5883 m), a w drodze powrotnej osiągnął wierzchołek wulkanu San Jose (5880 m). (m.p.)

O alpinizmie na Wiejskiej

14 lutego odbyło się posiedzenie sejmowej Komisji Sportu i Turystyki, w którym uczestniczyło kilkunastu posłów. Przedmiotem obrad były problemy polskiego alpinizmu. Wyjaśnień udzielił: p.o. prezesa PZA Wojciech Święcicki i pełnomocnik zarządu PZA ds. budowy ścian wspinaczkowych Waclaw Sonelski.

Złoty Czekan za Shilving

Piolet d'Or, nagroda za najlepszą drogę roku, został przyznany Thomasowi Huberowi z Niemiec i Iwanowi Wolfowi ze Szwajcarii za nową drogę na północnym filarze Shivlinga (6543 m) w Himalajach Gharwahlu (północne Indie). *Shiva's Line* biegnie przez 200-metrową, przewieszoną barierę skalną i na wysokości powyżej 6000 m sięga trudności A4. Jako ciekawostkę można przypomnieć, że miało to być wspólne przedsięwzięcie braci Huberów, jednak kiedy Alex się rozchorował, Thomas połączył siły z napotkanym na sąsiedniej drodze Iwanem. Złoty Czekan przyznawany jest od 1991 r. przez francuską Groupe de Haute Montagne.

OSa

Rozporządzenie w sprawie uprawiania alpinizmu

„Taternik” zwraca się z szeregiem pytań na nurtujący nasze środowisko temat do Wojciecha Świącickiego, p. o. prezesa Polskiego Związku Alpinizmu.

T.: Od ponad trzech miesięcy jest głośno na temat mającego wejść w życie rozporządzenia w sprawie uprawiania alpinizmu. Nie zabrakło nawet głosów, że rozporządzenie jest pomysłem działaczy PZA.

W.Ś.: Rzeczywiście istnieją ludzie, którzy wierzą w spiskową teorię dziejów. Jedni uważają, że wszystkiemu winni są Żydzi, masoni i cykliści, drudzy źródło wszelkich nieszczęść w łonie PZA upatrują w istnieniu „szarej eminencji”, lobby instruktorskiego oraz innych straszylek. Tymczasem prawda jest wyjątkowo prozaiczna. Rozporządzenie, o którym mowa jest następstwem delegacji zawartej w Ustawie o Kulturze Fizycznej z 18.01.1996 r.

T.: Czy oznacza to, że PZA nie miał wpływu na owe zapisy?

W.Ś.: Ustawa powstała w Sejmie. Trudno się dziwić, że alpinizm został zaliczony przez parlamentarzystów do grupy sportów wysokiego ryzyka. Wszystko inne jest następstwem tego faktu.

T.: Chyba najprościej będzie zacytować niektóre paragrafy...

W.Ś.: Właśnie, sięgnijmy do dokumentów. W art.53 Ustawy o Kulturze Fizycznej stwierdza się: „1. *Uprawianie alpinizmu, sportów motorowych, żeglarskich, pletwonurkowania, sportów lotniczych, dalekowschodnich sportów i sztuk walki, kickboxingu, a także sportów o charakterze strzeleckim i obronnym wymaga odpowiednich kwalifikacji oraz przestrzegania szczególnych zasad bezpieczeństwa obowiązujących w tych dyscyplinach sportu.*”

W następnym ustępie nakłada się obowiązek uregulowanie pewnych spraw. Znów zacytujemy: „2. *Rada Ministrów określa w drodze rozporządzenia szczegółowe wymogi, kwalifikacje i sposób ich uzyskania, wynikające z nich uprawnienia, zasady nadawania, zawieszania i cofania tych uprawnień, wzory dokumentów stwierdzających te kwalifikacje i uprawnienia oraz zasady bezpieczeństwa, o których mowa w ust.1.*”

T.: Z tego wynika, że rozporządzenie w sprawie uprawiania alpinizmu jest skutkiem obowiązywania Ustawy o Kulturze Fizycznej.

W.Ś.: Dodajmy, może nie wszyscy o tym wiedzą, że ustawa jest aktem prawnym bardzo wysokiego rzędu. W hierarchii, czołowe miejsce zajmuje ustawa zasadnicza, czyli konstytucja, a w drugiej kolejności znajdują się ustawy sejmowe. Żyjemy w wolnym kraju. Ustawa, o której mowa powstała w wyniku demokratycznej procedury. Taka była wola polskiego parlamentu. Organy państwowe oraz obywatele polscy są zobowiązani do jej przestrzegania. Kto tego nie rozumie powinien wziąć korepetycje z demokracji.

T.: Na jakim etapie znajdują się teraz prace nad rozporządzeniem w sprawie uprawiania alpinizmu?

W.Ś.: Projekt rozporządzenia powstał w UKFiS. O konsultację zostały poproszone najważniejsze organizacje zajmujące się działalnością górską: TOPR, GOPR i PZA. Obecnie projekt wędruje kolejno poprzez wszystkie ministerstwa, gdyż jako rozporządzenie



Prezesa Rady Ministrów musi posiadać akceptacje poszczególnych resortów. Zakończenie prac jest przewidywane na początek drugiego kwartału bieżącego roku.

T.: Czy oznacza to, że obecny projekt może ulec jeszcze zmianie?

W.Ś.: Oczywiście. Może się zdarzyć, że światło dzienne ujrzy zupełnie inny dokument, niż ten, z którym się już oswoiliśmy. Byłbym rozczarowany, gdyż jestem zdania, że Biuro Prawne UKFiS doprowadziło projekt do bardzo sensownego brzmienia.

T.: Czy chcesz przez to powiedzieć, że stałeś się zwolennikiem proponowanych regulacji prawnych? Przecież przez ładnych parę lat PZA obywatel się bez stopni sportowych.

W.Ś.: To prawda, że na fali odnowy lat 90-tych władze PZA zniosły stopnie i uprościły szereg procedur. Z czasem okazało się, że niektóre decyzje niestety nie były do końca przemyślane. Sam nie raz miałem wątpliwości, czy zniesienie godności taternika zwyczajnego, a przypomnijmy, że był to stopień z rodowodem sięgającym przedwojennego Klubu Wysokogórskiego, nie było przysłowiowym wylaniem dziecka wraz z kąpielą. Na domiar okazało się, że decyzje Walnego Zjazdu Delegatów PZA nie posiadają wystarczającej mocy prawnej. Innymi słowy UKFiS przypomniał, że skończyło się tworzenie tzw. prawa powielaczowego.

T.: Nie jest to jednak odpowiedź na pytanie czy Związek aprobeuje nowe regulacje.

W.Ś.: Patrząc od strony formalnej, Zarząd PZA akceptował kolejne etapy prac nad rozporządzeniem, a Komisja Rewizyjna PZA (której nawiasem mówiąc przewodniczy doświadczony prawnik) nie stwierdziła żadnych nieprawidłowości w procesie legislacyjnym.

T.: A patrząc od strony nieformalnej?

W.Ś.: Gdyby nie delegacja ustawowa nakazująca wprowadzenie kart, PZA byłby przeciwny nowym zapisom. Zarząd to też ludzie gór. Wolimy swobodę niż restrykcyjne regulacje. Kiedy kilka lat temu składałem pierwszą „autorską” wersję rozporządzenia, cały dokument mieścił się na jednej kartce papieru. O fakcie posiadania kwalifikacji do uprawiania alpinizmu miała rozstrzygać legitymacja klubowa. Ten fortel jednak się nie udał. Przy obecnym stanie prawnym nie pozostaje nam nic innego jak uprawianie „Realpolitik” i oczekiwanie na zmianę Ustawy o Kulturze Fizycznej.

T.: Jak nasze nowe przepisy mają się do regulacji prawnych w innych krajach? Szczerze mówiąc, nie słyszeliśmy o podobnych rozwiązaniach, zwłaszcza w Unii Europejskiej.

W.Ś.: Kultura fizyczna nie jest objęta regulacjami prawnymi UE. Każde państwo członkowskie może regulować sprawy związane z poszczególnymi dyscyplinami sportowymi zgodnie z wolą swoich parlamentów i rządów. Na pewno nie ma w tym względzie kolizji pomiędzy przepisami unijnymi, a przepisami obowiązującymi w RP.

T.: Jakie dyscypliny zostały zaliczone do alpinizmu?

W.Ś.: Tę kwestię precyzuje Zarządzenie Prezesa UKFiT z 17 września 1996 r. w sprawie wykazu dyscyplin i dziedzin sportu, w których mogą działać polskie związki sportowe. Stwierdza się tam, że do alpinizmu zalicza się następujące dyscypliny: wspinaczka sportowa, wspinaczka wysokogórska, alpinizm jaskiniowy i narciarstwo wysokogórskie. Nawiasem mówiąc, te nazwy są teraz oficjalne i obowiązujące. Co więcej, skoro ustawodawca ich nie zdefiniował, to my nie możemy tego zrobić.

T.: Kogo będą dotyczyć postanowienia nowego rozporządzenia?

W.Ś.: Dobre pytanie, gdyż wiele nieporozumień bierze swój początek w tym właśnie miejscu. Rozporządzenie dotyczy wszystkich obywateli polskich, a nie tylko osób zrzeszonych

w PZA. Czyli innymi słowy, każdy, kto dotyka skały w innym celu niż rekreacyjnym, musi stosować się do tego rozporządzenia. Co więcej, w myśl art. 57 cytowanej ustawy, każdy, kto narusza przepisy dotyczące bezpieczeństwa w dziedzinie kultury fizycznej podlega karze grzywny.

T.: Co zostało zaliczone do działalności rekreacyjnej?

W.Ś.: Bez posiadania odpowiedniej karty można trenować i startować w zawodach rozgrywanych na obiektach sztucznych, wspinać się w skałkach po drogach wyposażonych w stałe zabezpieczenia oraz zwiedzać łatwe jaskinie.

T.: Do tej pory mieliśmy kartę taternika oraz kartę taternika jaskiniowego, teraz będzie ich znacznie więcej.

W.Ś.: To prawda. W następstwie wyszczególnienia 4 odmiennych dyscyplin alpinistycznych pojawiło się aż 6 kart: karta wspinacza, karta taternika, karta taternika zwyczajnego, karta taternika jaskiniowego, karta zwyczajnego taternika jaskiniowego oraz karta narciarza wysokogórskiego. Dodatkowo, rozporządzenie wprowadza jeszcze licencję ekipiera zezwalającą na ubezpieczanie dróg wspinaczkowych.

T.: Jaki jest cel wprowadzenia karty taternika zwyczajnego i zwyczajnego taternika jaskiniowego?

W.Ś.: Kolejne dobre pytanie. Do prowadzenia zwykłej działalności górskiej karty te nie są potrzebne. Nadanie karty „zwyczajnego” oznacza potwierdzenie wysokich kwalifikacji i zdolność do sprawowania funkcji kierowniczych podczas zgrupowań i wypraw.

T.: Czy stare karty zachowują swoją ważność?

W.Ś.: Tak, posiadacze starych kart taternika oraz stopni taternika zwyczajnego i zwyczajnego taternika jaskiniowego uzyskują nowe karty w sposób automatyczny.

T.: Czy istnieją jakieś osoby lub grupy osób, które mogą zdobyć karty w sposób uproszczony?

W.Ś.: Tak. Jedyne wyjątek dotyczy (uważam zresztą, że słusznie) ratowników TOPR. Będą oni zwolnieni z egzaminów sprawdzających. Posiadanie stopnia ratownika TOPR będzie równoznaczne z nadaniem karty taternika i karty narciarza wysokogórskiego. Posiadanie stopnia starszego ratownika będzie równoznaczne z posiadaniem karty taternika zwyczajnego. Natomiast pewna przykrość spotkała w tym względzie przewodników PSPW, dla których projekt rozporządzenia nie przewiduje żadnych ułatwień.

T.: Czy PZA w świetle omawianego projektu rozporządzenia jest hegemonem w dziedzinie alpinizmu?

W.Ś.: Rzeczywiście, nowe rozporządzenie wszelkie uprawnienia związane z uprawianiem dyscyplin alpinistycznych ceduje na PZA. Jest to zgodne z ustawową rolą polskich związków sportowych. W konsekwencji, PZA oprócz bycia stowarzyszeniem klubów alpinistycznych staje się organem administracji państwowej. Oznacza to bardzo poważne zwiększenie rangi związku.

15 marca 2001

Z ostatniej chwili:

Rzecznik Praw Obywatelskich nie podzielił obaw zawartych w interpelacji Klubu Alpinistycznego Kraków, że Karta Taternika narusza swobody obywatelskie i dyskryminuje obywateli polskich.

HARD ROCK

Finał Pucharu Polski

W dniach 16–17 grudnia 2000 na hali krakowskiej Korony odbył się finał Pucharu Polski na trudność i na czas. Zawody te, mimo starannego przygotowania (organizacją kierował prezes sekcji wspinaczkowej KS Korona **Piotr Drobot – Mikser**), nie przyciągnęły jednak tłumów startujących – do zmagania stanęło tylko 29 zawodników i kilka zawodniczek. Być może tym, co zniechęciło zawodników do startu był fakt, że wyniki zawodów były właściwie znane już wcześniej – z ogólnej punktacji wynikało, kto zajmie najwyższe



Panowie na podium finałowym Pucharu Polski 2000:
Od lewej: Grzegorz Grochal, Tomasz Oleksy, Marcin Wróbel

miejsca na podium. Można jednak w tej słabej frekwencji dostrzec pewną prawidłowość, którą od jakiegoś już czasu wykazują zawody na całym świecie – tzn. spadek zainteresowania zawodami na trudność, o czasówce już nie wspominając. Jednocześnie zawody w boulderingu stają się z roku na rok coraz bardziej popularne. Jeśli chodzi o publiczność, to niewielkie emocje spowodowane przewidywalnym wynikiem nie zagrzały jej do dopingowania zawodników – nawet oklaski były słabe, a do wręczenia pucharów doczekali tylko najwytrwalsi... Czyżby formuła zawodów traciła na atrakcyjności nie tylko dla zawodników, ale i dla widzów?

Jeśli chodzi o samą rozgrywkę, to na drodze finałowej pań najefektywniej zawałczyła tradycyjnie **Iwona Gronkiewicz-Marcisz**, która jako jedyna, po przedarciu się przez dach doszła do topowej kłamy. Po ukończeniu drogi Iwona skomentowała, że droga (ok. VI.4+) była za łatwa! Droga finałowa panów (VI.5+) trawersowała prawie całą ścianę, przy czym pod koniec układający drogę **Piotr Kruczek**, zafundował zawodnikom urozmaicenie – najpierw obniżenie, potem wtrawersowanie w okapik. Na przelamaniu tego okapiku odbyła się ostateczna rozgrywka między **Grzegorzem Grochalem – Gesem** i **Tomaszem Oleksym**. Ges sięgnął o jeden chwyt wyżej... Tyle o samych finałach, bo punktacja na którą zawodnicy pracowali od początku sezonu ustawiła ich na pucharowym podium w innej kolejności. Zdobycwcą Pucharu Polski wśród mężczyzn został Tomasz Oleksy (Ges drugie miejsce), a wśród pań Iwona Gronkiewicz-Marcisz, która jest jednocześnie zdobywczynią tytułu Mistrzyni Polski (Tarnów 25-26.XI 2000).

W czasówce, wśród kobiet zwyciężyła **Renata Piszczek**, a wśród mężczyzn po Puchar sięgnął Tomasz Oleksy. Tym samym Tomek jest jednocześnie zdobywcą Pucharu Polski na trudność



Panie na podium finałowym Pucharu Polski 2000. Od lewej:
Renata Piszczek, Iwona Gronkiewicz-Marcisz, Urszula Wróbel

i na czas, jak również zdobywcą tytułu Mistrza Polski, choć na zawodach w Tarnowie uplasował się dopiero na drugim miejscu po **Seriku Kazbekowie** z Ukrainy (który otrzymał tytuł Międzynarodowego Mistrza Polski).

Ciekawostką dotyczącą tych zawodów jest przeprowadzenie po raz pierwszy w historii zawodów wspinaczkowych w Polsce kontroli antidopingowej. Niczego nie spodziewający się zawodnicy wybrani spośród ścisłej czołówki zostali poproszeni do kontroli. Po dwóch tygodniach oczekiwania pojawiły się wyniki – na szczęście negatywne. Kontrola nic nie wykazała. Badania antidopingowe są, jak się okazuje, dość drogim przedsięwzięciem. Koszt kontroli jednego zawodnika to dzisiaj około ok. 900 zł od osoby plus koszty delegacji (przejazdy, noclegi, wyżywienie) zespołu pobierającego próbki. Kontrola jest sponsorowana przez Komisję do Zwalczania Dopingu w Sporcie przy PKOl. Dobrze, że nie wszystko jest jednak zabronione i niektóre (oczywiście dozwolone) używki miały spore wzięcie na imprezie po zawodach zorganizowanej w pubie Ptaszyl na krakowskim Kazimierzu. Podobno, jak wieść niesie, najlepsze imprezy po zawodach są zawsze właśnie w Krakowie. A może to tylko plotka?

tekst i zdjęcia: Joanna Szmigielska-Michalek

Polacy na zawodach światowych

Tomek Oleksy zwyciężył w konkurencji boulderingu w zawodach Rock Master 2000, które odbyły się w dniach 8-19.IX w Arco. Tomek wyprzedził na podium ubiegłorocznego zwycięzcę **Daniela Andrarę**. To na pewno najbardziej prestiżowy sukces Polaka na zawodach międzynarodowych.

Ogromny sukces odniosła też **Kinga Ociepka** na Mistrzostwa Świata Juniorów 2000, które odbyły się 1-3 września w Amsterdamie. Kinga została Mistrzynią Świata w swojej kategorii wiekowej, czyli 14-15 lat.

Te sukcesy muszą osłodzić Polakom brak znaczących wyników w Pucharze Świata – tam nie możemy się przebić nie tylko na podium, ale choćby do pierwszej dziesiątki. W tym roku po puchary zwycięzców sięgnęli **Liv Sansoz** i **Yuji Hirayama**. Z Polek **Renata Piszczek** była 24, a **Iwona Gronkiewicz-Marcisz** 34; wśród mężczyzn **Tomasz Oleksy** zajął 35 miejsce.

OSa

I choćby przyszło tysiąc atletów...

– czy mamy VI.8?

Jednym z bardziej kontrowersyjnych wydarzeń w polskich skałach w roku 2000 było wycenienie przez Tomasza Oleksego drogi *Tysiąc Kotletów* w Rożnowie na 9a. Droga ta jest starym projektem Jacka Jurkowskiego i jest typowym przykładem polskiego ekstremum – podkuta i z ogranicznikiem. Nie to jednak oczywiście wzbudziło emocje wśród rodzimej czołówki, lecz fakt, iż Tomek zaryzykował tak wysoką wycenę drogi, nie poprowadziwszy uprzednio żadnej drogi w podobnym stopniu trudności. Sprawa spowodowała zacieklą dyskusję, czy Tomek miał, czy też nie miał prawa wycenić swej drogi w ten sposób. Co do trafności wyceny, czas pokaże, czy miał rację – droga czeka na powtórzenie, a na śmiałków pewnie nie trzeba będzie długo czekać – 9a według skali francuskiej byłoby najwyższą wyceną w Polsce i trudno szukać na razie odpowiednika w skali krakowskiej. Czyżby VI.8...? Signum temporis...

Duży wynik na małych formach

Wygląda na to, że zaistniał także nowy stopień na świecie na skali boulderowej. Fred Nicole otworzył nową linię w skałach w Cresciano w swojej rodzinnej Szwajcarii. Nowy ekstrem nazywa się *Dreamtime* i jest nieco trudniejszy niż poprzedni rekord Freda, australijski *Eve Reve* V14. Nicole ma za sobą dobry rok – wspiął się w Europie, Australii i Afryce, wszędzie powtarzając najtrudniejsze problemy i ustanawiając własne linie, nie wahał się więc zaproponować dla zrobionego w październiku ze startem z pozycji siedzącej *Dreamtime* wyceny V15. Początkowo start był z pozycji stojącej, jednak zbliżenie go do ziemi spowodowało dodanie problemowi około 10 ruchów do tej przewieszanej na 45° granitowej ścianki (stok opada w tym miejscu).



Komunikaty

ZŁOT POKUTNIKÓW W PODKRAKOWSKICH DOLINKACH 26 - 27 MAJA 2001 r.

Jurek Rościszewski jak zawsze oczekuje nas z całą serdecznością. Możemy biwakować na łączce przy Szańcu w dolinie Będkowskiej już od piątku. Są też możliwości zanocowania pod dachem. W sobotę o 19.00 tradycyjne ognisko.

IX SPOTKANIE SENIORÓW KW W SCHRONISKU PRZY MORSKIM OKU 1 - 3 CZERWCA 2001 r.

Dla uczestników Spotkania zostały zarezerwowane oba schroniska od piątku do niedzieli. Cena noclegu w starym schronisku wynosi 20 zł, w nowym - 30 zł. O miejscach w nowym schronisku decyduje kolejność zgłoszeń. Z Palenicy do Morskiego Oka dostajemy się pieszo lub góralskimi furkami do Polany Włosienica. Transport schroniska do góry możliwy po godz. 18.00 po bezpo-

rednim porozumieniu się z kierownictwem tel. (18) 20 77 609. Punktem kulminacyjnym spotkania będzie WSPÓLNA KOLA-CJA (w cenie 25.00 zł) w sobotę o godz. 18.00 w jadalni nowego schroniska. Poprzedzi ją MSZA ŚW.

Prosimy o przekazywanie informacji wszystkim zainteresowanym. Zgłoszenia do 20 maja przyjmuję i udziela informacji:

**Barbara Morawska-Nowak,
ul. Konarskiego 21/5, 30-049 Kraków, tel. (12) 634 05 89**

Komisja Unifikacyjna zbiera wnioski dotyczące planów działalności w Dolomitach i Alpach na najbliższe lato.

Kontakt: Piotr Xięski, e-mail: trango@alpinizm.pl

Zarząd PZA na posiedzeniu w dniu 28 lutego 2001 r. powtórnie rozpatrywał sprawę kolegi Marcina Kacperka i podtrzymał w mocy wcześniejszą decyzję o zawieszeniu uprawnień instruktorskich na okres 1 roku.

Podajemy aktualny kalendarz zawodów wspinaczki sportowej firmowanych przez PZA w 2001 roku:

MISTRZOSTWA POLSKI 2001 - SENIORZY 17 - 18 listopad 2001 Tarnów (MKS Tarnovia)

MISTRZOSTWA POLSKI W BULDERINGU 2001 - SENIORZY październik 2001 Poznań

PUCHAR POLSKI 2001 - SENIORZY

24 - 25 marzec 2001 Gliwice (AZS Politechniki Śląskiej)

19 - 20 maj 2001 Kraków (AWF Kraków, Szkoła Wspinania Piotra Droboty)

02 - 03 czerwiec 2001 Gdańsk (KW Trójmiasto)

15 - 16 wrzesień 2001 Zakopane (UKS Jedyńka Łazy)

01 - 02 grudzień 2001 Kraków (KS Korona, Szkoła Wspinania Piotra Droboty)

ZAWODY WLICZANE DO RANKINGU PZA - SENIORZY

październik 2001 Poznań - na szybkość

10 - 11 listopad 2001 Częstochowa (Uczniowski Klub Wspinaczki Sportowej) - na trudność

MISTRZOSTWA POLSKI 2001 - JUNIORZY 13 październik 2001 Tarnów (MKS Tarnovia)

PUCHAR POLSKI 2001 - JUNIORZY

05 - 06 maj 2001 Podlesice (UKS Jedyńka Łazy)

wrzesień - październik 2001 Orzesze (Szkoła Wspinaczkowa „W Skale”)

10 - 11 listopad 2001 Częstochowa (Uczniowski Klub Wspinaczki Sportowej)

15 - 16 grudzień 2001 Łazy (UKS Jedyńka Łazy)

UWAGA:

- w zawodach seniorów mogą startować zawodnicy urodzeni w roku 1984 i wcześniej.
- warunkiem startu w zawodach rangi mistrzowskiej i pucharowej jest posiadanie aktualnej Karty Zdrowia Sportowca oraz Licencji Zawodnika Polskiego Związku Alpinizmu. W zawodach rankingowych mogą startować zawodnicy nie posiadający Licencji Zawodnika PZA.

Przewodniczący Komisji Wspinaczki Sportowej
Piotr Drobot, wiceprezes PZA

• Apel Alpine Club •

Na adres PZA wpłynął apel brytyjskiego Alpine Club podpisany przez Douga Scotta, prezydenta tej szacownej organizacji. List porusza delikatną kwestię ewentualnego znalezienia ciała Andrew'a (Sandy) Irvina, który stracił życie wraz George'm Mallory'm na północnej grani Everestu w 1924 roku. Redakcja „Taternika” uważa, że środowisko wspinaczkowe powinno zapoznać się z regułami, które wyraża wspomniany apel, gdyż sprawa szacunku dla takich znalezisk jest miarą naszego człowieczeństwa.

Każdy, kto odnajdzie ciało Sandy Irvina ma obowiązek skontaktowania się z rodziną zaginionego poprzez Johna Irvina, który przewodniczy Sandy Irvine Trust. Osoby te zobowiązane są także przestrzegać reguł określonych przez wymienioną organizację:

1. Skontaktować się z Sandy Irvine Trust zanim opuści się rejon Everestu.
2. Nie przekazywać informacji o znalezieniu ciała nikomu oprócz Sandy Irvine Trust, a w szczególności mediom oraz sponsorom.
3. Postępować zgodnie z wytycznymi Sandy Irvine Trust.
4. Natychmiast po powrocie z gór przedłożyć raport na adres: John Irvine, Whites Farm, Rowe Lane, Pirbright Surrey, GU24 0LY, U.K. fax:(0044) 01483 797232.

CIAŁO

Wyprawy, które odnajdą ciało Sandy Irvina muszą wiedzieć, że rodzina zaginionego – podobnie jak Alpine Club – życzy sobie, aby ciało pozostawiono w spokoju. Należy pamiętać, że dla żyjących krewnych Sandy Irvina to wydarzenie będzie szczególnie bolesne. Rodzina zdaje sobie sprawę, że wiele osób jest zainteresowanych odnalezieniem aparatu fotograficznego, który może być najlepszym dowodem na to, czy Irvine i Mallory rzeczywiście zdobyli Everest. Dlatego też rodzina życzy sobie aby w przypadku odnalezienia, ciało Sandy Irvina było traktowane z największym szacunkiem. Istnieje ryzyko, że podczas obszukiwania zamrożonych zwłok zostaną one uszkodzone, tak jak to się stało w przypadku ciała Georga Mallorego. Należy także, o ile będzie to możliwe, przykryć zwłoki kamieniami. Ponadto warto mieć na uwadze, że w Wielkiej Brytanii – podobnie jak w wielu innych krajach – przeprowadzanie ekshumacji bez zgody sądu i według innej procedury niż sądowa jest nielegalne. Taka praktyka powinna być stosowana także w górach.

RZECZY OSOBISTE

Rodzina rości sobie prawo do wszystkich rzeczy osobistych znalezionych przy zwłokach i życzy sobie, aby zostały oddane do Sandy Irvine Trust. Znaleziska zostaną zdeponowane dla zachowania dobrego imienia Sandy Irvina, a także dla opieki nad materiałami archiwalnymi związanymi z jego życiem i śmiercią. Zakłada się, że pieniądze płynące z wypożyczenia odnalezionych przedmiotów i ich kopiowania będą przekazywane organizacjom charytatywnym związanym z górami.

FOTOGRAFIE

Fotografie zwłok Sandy Irvina opublikowane w mediach czy książkach mogą stanowić wyjątkowo przykry widok dla jego żyjących krewnych. Dlatego też Alpine Club w pełni popiera prośbę rodziny, aby konsultowano się z nią zanim jakiegokolwiek fotografie szczątków zostaną opublikowane. Zrozumiałe jest także prawo rodziny do nie wyrażania zgody na publikację jakiegokolwiek wizerunku zaginionego, z im tylko znanej przyczyny.

Ci, którzy poszukują ciała Sandy Irvina czynią to ze szczerą, choć może lekko obsesyjnej chęci poznania prawdy. W przypadku kiedy poszukiwania zakończą się sukcesem, osoby te zostaną zaatakowane przez media, które jak wiadomo zainteresowane są tego typu sensacjami. Poszukiwacze powinni zdać sobie sprawę z tego faktu i unikać działań, których mogliby potem żałować. Należy pamiętać, że głównym celem mediów jest sprzedaż „produktu”. W dążeniu do tego nierzadko jest przekraczana granica dobrego smaku. Oglądanie fotografii przedstawiających miejsce spoczynku Sandy Irvina i Georga Mallorego w książce poświęconej tej tematyce lub w czasopiśmie alpinistycznym jest zupełnie czymś innym, niż ten sam wizerunek umieszczony na stronach popularnego wydawnictwa, które kieruje się wyłącznie chęcią zysku i żądzą sensacji.

Doug Scott – president 22nd January 2001

Opracowanie: Anna Świącicka



Ucho skał

fol. Z. Piotrowicz



W Morskim Oku na przełomie tysiącleci

Okres „okołosylwestrowy” od lat przyciąga do Morskiego rzesze taterników. W schroniskach – komplety. Pękający w szwach przybytek Ascety. Pełne zapалу, silne reprezentacje pionu sportowego i rozrywkowego zgodnie współpracują wieczorami. Lepsze warunki mieli tym razem „rozrywkowicze”. W górach było fatalnie. Śniegu mało, za to w złym gatunku. Na podejściach czarne dziury zamaskowane na białą. W ścianach śnieg niezwiązany i bardzo nierówno nawiany. Wpis w Książce Wyjść trafnie ilustrują te warunki:

- „Potrzebny plug” (po wycofcie z *Korosadowicza*)
- „Wycofali się ratując młode życie” (po jednym wyciągu *Wesołej Zabawy*).

Nieubłagana statystyka mówi o 9 skutecznych przejściach na 31 prób. Najlepsze dokonania to:

- *Urojenia* na Kazalnicy Cubryńskiej (Łukasz Müller i Rafał Porębski 27.12)
- *Wýżnia Mnichowa Przelączka Wprost* (Wojciech Litwin i Marek Ziółkowski 27.12)
- Nowa droga (wariant?) na północnej ścianie Buli pod Rysami (Maciej Bazała i Michał Kasprzowicz 28.12. IV, 5 godz.)

Drugie Milenium zamknął zespół Agata Sosnowska – Kuba Sztylar przechodząc 31.12 drogę *W Samo Południe* na Buli pod Bandziochem. Na tej samej drodze otworzono, po zrozumiałym, jednodniowym wypoczynku, Trzecie Tysiąclecie. Do historii przeszły dwa zespoły: Elżbieta Fijałkowska z Ryszardem Urbanikiem oraz Ola Śniegocka z Piotrem Buckim. Zmiana progu Doliny

za Mnichem na próg Bandziocha. Przypadek, nowe trendy czy może posylwestrowe błądzenie?

Podczas nocy sylwestrowej spokojnie czekano na spóźnionych błądzących turystów, a z rosnącym napięciem – na „jaja”. Były to bowiem Jaja Jubileuszowe. Decyzją Kapituły Odznaczeń, z odwiecznym jej szefem Andrzejem Skłodowskim uhonorowano:

1. Księdza Krzysztofa Gardynę za słaby wzrok przejawiający się nie dostrzeżeniem ateistów w środowisku taterników.
 2. Łukasza Müllera i Rafała Porębskiego za „mało dokładny”, podający wyłącznie datę i nazwiska, wpis w książce wyjść.
 3. Andrzeja Skłodowskiego, Iwonę Mosiej-Skłodowską, Joannę i Zbigniewa Krośkiewiczów, Marka Grochowskiego i Waldemara Rutę za pokonanie ściany Zadniej Rycerzowej Kopy, która po późniejszej analizie okazała się być zboczem Cichego Wierchu. (Szef Kapituły wykażal godny podziwu altruizm i podzielił się Jajem z zespołem, który obdarzył go bezgranicznym zaufaniem).
 4. Krzysztofa Pankiewicza za to, że chciał i nie chciał dostać Jaja.
 5. Śmierdzącym Jajem – autorów projektu rozporządzenia o uprawianiu alpinizmu.
- Specjalne Jajo i tytuł Honorowego Waleta XX wieku przyznała Marysia Łapińska Andrzejowi Dutkiewiczowi.

Władysław Cywiński

SPOTKANIE NA SZCZYCIE

W kłębach straszliwie mroźnej pary,
Sił resztką, bez zbytecznych gestów
Wyleźli Tensing i Hillary
Na groźny masyw Everestu.

Działo się to o bladym świcie.
Hillary, szron strząsnawszy z powiek,
Rzekł: Po raz pierwszy na tym szczycie
Postawił swoją stopę człowiek.

Tu lzy chlusnęły mu jak z kubła,
Zaczęli ściskać się jak dzieci,
Aż Tensing spytał: Bwana kubwa,
I'm sorry, kto to jest ten trzeci?

Faktycznie, szef wyprawy zdrętwiał,
Bo z drugiej strony wlał ktoś obcy,
Z wyglądu jakiś taki mętlniak,
Wołając: Jak się macie chłopcy?

Następnie wstał, otworzył teczkę,
Mocniej otulił się fufajką,
Wyjaśnił: Zgubił zem wycieczkę...
Panowie głodni, może jajko?

Mam także samo solodragi,
Ćwiartuchnę i garnuszek skwarek...
Tamci dwaj stali jak posagi,
A on szczebiotał jak kanarek.

Aż Tensing spytał: Ze swej łaski,
Odpowiedz nam potężny bwana:
Pan tutaj bez tlenowej maski,
Lin, haków, raków i czekana?

Człeczek rozejrzał się po świcie,
Zdziwił się, wstał lecz znowu usiadł...
Bez – rzekł naiwnie – tylko z Miciem –
O, Miciu tam za skałą siusia!

Następnie wszystkie swoje graty
Niedbale załadował w worek,
Cześć – sapnął – idziem już do chaty,
O szóstej mamy podwieczorek.

Mieciek, gdzieś polazł, chcesz po mordzie?...
Hillary go zatrzymał gestem.
Jak pan nazywa się milordzie?
A milord odparł: Heniusz jestem!

Hillary wziął go za sweterek i rzekł:
Wbij sobie raz do głowy,
Że ten szczyt zwie się Mount Everest!
Joj! – odrzekł gość – to nie Kasprowy?...

Autor nieznanym



rys. Jakub Wiejackski

na koniec wieku • ankieta na koniec wieku...

Redakcja „Taternika” zwróciła się do kilkunastu osób z prośbą o wymienienie największego, najbardziej znaczącego górskiego wyczynu mijającego stulecia oraz osoby, która najmocniej odcisnęła swe piętno na rozwoju alpinizmu. Prosiłiśmy o odpowiedzi jak najbardziej subiektywne. Poniżej przedstawiamy wyniki naszej sondy.

Władysław Cywiński: *Pierwsze skojarzenie dotyczące wybitnej osobowości to na pewno Mallory, a wyczyn, który wywarł na mnie największe wrażenie to przejście Śnieżnej Ściany przez Kurtykę i Schauera. To jest dla mnie szczyt alpinizmu!!!*

Anna Czerwińska: *Wielkie wrażenie wywarło na mnie znalezienie zwłok Mallory'ego, natomiast człowiekiem, który dokonał wielkiego przełomu jest Herman Buhl. Mam na myśli jego samotne wejście na Nanga Parbat.*

Bogdan Jankowski: *To szalenie trudne pytania, na które nie ma chyba jednoznacznej, nawet subiektywnie jednoznacznej odpowiedzi. Przesuwa mi się przez myśl szereg wybitnych postaci i znaczących wydarzeń i... nie potrafię wybrać. Według jakiej skali oceniać: bezwzględnej, czy biorąc pod uwagę uwarunkowania związane z miejscem i czasem? Jeśli już mam kogoś i coś wymienić, to może Hermana Buhla i pierwsze zimowe wejście na Everest? Ale tylko może...*

Michał Kochańczyk: *Bez wątpienia największym wydarzeniem było zdobycie Everestu, a jeśli chodzi o osobowość, to myślę, że mógłby to być Mallory lub Don Whillans.*

Jan Krzysztof: *Wejście na Everest i Edmund Hillary.*

Janusz Kurczab: *Za najważniejsze wydarzenie alpinistyczne minionego wieku uważam zdobycie Mount Everestu. Było to jedno z największych osiągnięć eksploracyjnych w całej historii ludzkości. Dla alpinistów nie tylko oznaczało osiągnięcie najwyższego punktu kuli ziemskiej, ale było także potężnym bodźcem dla bujnego rozwoju himalaizmu. Kto wywarł największy wpływ na rozwój alpinizmu w ostatnich latach? Nieposobów wymienić tylko jedno nazwisko. Wymienię więc trzy: Riccardo Cassin, Walter Bonatti, Reinhold Messner. I nie będę uzasadniał...*

Wojciech Kurtyka: *Alpinizm jest czymś więcej niż sport. Zbyt dużo zależy w nim od wyobraźni i natchnienia. Zbyt wiele w nim obsesji i bezinteresownej udręki. Trafniej byłoby powiedzieć: alpinizm jest sztuką. Dlatego czysto sportowy wymiar alpinizmu wyraża tylko skromną część prawdy o nim. Podążanie szlakami mediów usiłujących określić swoją gwiazdę nr 1 oznacza duże splotenie, o ile nie profanację. Lecz naturalnie w różnych okresach szczerze fascynowały mnie pewne postacie i ich dokonania. Alex Mac Intyre zachwycał mnie wizjonerstwem i natchnieniem. Jurek Kukuczka do dzisiaj pozostaje moim marzeniem o niezłomności. Erhard Loretan zdumiewa mnie i nerwicuje swoją fizyczną wytrzymałością, która, wierzę mi, kłóci się z wszelkim bilansem energetycznym. Podziwiam Anglika Micka Fowlera za wierność przepaści. Małolata (Z. Czyżewskiego) za pojawienie się i zniknięcie jako najwspanialsza kometa w historii taternictwa. Riko (R. Malczyk) ujmował mnie i wzruszał zupełnym brakiem egocentryzmu w najbardziej egocentrycznej grze świata. Wreszcie Jasiu Franczuk, z którym nigdy się nie wspinałem, pozostaje dla mnie tajemnicą niewzruszonej naturalności i prostoty. A tak właśnie zwierzęta wyobrażają sobie umysł oświecony. Każdy z nich był przykładem zachwycającego wlotu i do dzisiaj pozostaje moją inspiracją i wsparciem w różnych chwilach życia. Lecz przecież nie wypada tych wolnych, wznoszących się duchów ustawiać w liście rankingowej.*

na koniec wieku • ankieta na koniec wieku...

...koniec wieku • ankieta

Krzysztof Pankiewicz: *Wielką osobowością był dla mnie Jurek Kukuczka. A wydarzenie?... Wejście Wandy Rutkiewicz na Everest.*

Jacek Patrzykont: *Największą osobowością i ideałem, do którego pewnie nigdy nie dojdę, jest dla mnie Wojtek Kurtyka; natomiast wydarzeniem, które zmieniło oblicze alpinizmu stało się przejście do komercji.*

Ryszard Pawlowski: *Najważniejsze wydarzenie: zdobycie Mount Everestu (świat); zimowe wejście na Everest (Polska). Osobowość: Reinhold Messner (świat); Jurek Kukuczka (Polska).*

Tomasz Ręgwelski: *Największym osiągnięciem we wspinaczce jest dla mnie fakt, że sport ten dalej się rozwija w tak wielu kierunkach i przyciąga coraz więcej ludzi. Jeśli chodzi o to, co na mnie osobiście wywarło ogromne wrażenie, jako na adeptce wspinania, to osobowość i styl wspinania Rika Malczyka.*

Andrzej Wilczkowski: *Uważam, że największym wydarzeniem w polskim alpinizmie było wejście Wandy Rutkiewicz na Everest; a jeśli chodzi o osobowość, to waham się między Chmielowskim a Zawadą. W światowym alpinizmie będzie to Reinhold Messner i jego Korona Himalajów.*

**SZKOŁA
WSPINACZKI
SKALNEJ**

PIOTR KRUCZEK

Zapraszamy
na kursy:
wspinaczki skalnej
do prac
wysokościowych

31-153 Kraków
ul. Szlak 30/4
tel.: (012) 632 45 17

0603 740 358
0608 217 528
www.rajbung.hornet.pl
e-mail: rajbung@hornet.pl



**Szkoła
Wspinania**

Jakuba Rozbickiego

31-328 Kraków, ul. Stachewicza 40/71
tel./fax (12) 636 52 70, kom. (601) 63 18 38
e-mail: kuba_rozbicki@poczta.onet.pl
www.szkoławspinaniajr.republika.pl

Kursy na
sztucznej ścianie

Siedem dni
w skałkach – kurs
wspinaczki skalnej

Pracownik linowy –
szkolenie do prac
wysokościowych

Konsultacje
wspinaczkowo –
treningowe





Uwagi o ruchu lewostronnym

Wojciech Święcicki

Instruktor PZA,
p.o. prezesa PZA

Zpótek księgarskich powoli znika parotysięczny nakład „Podręcznika wspinaczki”. Wydawnictwo „Galaktyka” nosi się z zamiarem dokonania niewielkiego dodruku, gdyż wszystko wskazuje na to, że książka trafiła doskonale w zapotrzebowanie polskiego czytelnika. Nie ma w tym chyba nic dziwnego, skoro podręcznik Allena Fyffe i Iaina Petera był także bestsellerem na rynku brytyjskim i doczekał się nawet oficjalnej akceptacji British Mountaineering Council.

Miałem przyjemność być recenzentem i redaktorem wydania polskiego. Moją bardzo dobrą opinię o „Podręczniku wspinaczki” podzieli koledyzy instruktorzy z Komisji Szkolenia PZA i wspólnie zdecydowaliśmy się nadać podręcznikowi status książki polecanej przez Polski Związek Alpinizmu. Dzisiaj, w półtora roku od chwili ukazania się publikacji, można już zaobserwować pierwsze efekty oddziaływania podręcznika na polskie środowisko taternicze. Niestety nie wszystko potoczyło się w pożądanym kierunku. Dlatego zdecydowałem się na napisanie kilku uwag. Niektóre z nich są dość obszernie. W każdym razie przekraczają ramy redakcyjnych komentarzy podawanych *petitem* na dole strony i siłą rzeczy zabraknie dla nich miejsca w drugim wydaniu książki.

„Podręcznik wspinaczki” został w kilku miejscach odczytany zbyt dosłownie, a ściślej bez próby ustosunkowania się do brytyjskiej tradycji oraz do specyficznych warunków uprawiania wspinaczki w Anglii, Walii i Szkocji. Ponadto, co okazało się zupełnie niezamierzonym efektem, część polskich wspinaczy zapomniała całkowicie o innych niż brytyjska szkołach wspinaczkowych i odrzuciła wartościowe doświadczenia chociażby alpinistów niemieckich¹⁾. Jest to błąd, gdyż my, Polacy możemy czerpać z doświadczeń różnych nacji bez groźby narażenia się na zarzut sprzeniewierzenia się narodowym tradycjom w technice asekuracji czy też w technice zjazdu na linie. Ta uwaga to nie żart! Doskonale pamiętam pełne dezaprobaty uwagi alpinistów szwajcarskich na widok mojej brytyjskiej upręży biodrowej model Don Whillans. Po prostu nie mieściło im się w głowie, że można wspinąć się w alpejskiej ścianie bez pasa piersiowego... I odwrotnie, widziałem zdziwienie w oczach mojego partnera, szefa centrum wspinaczkowego w północnej Walii, kiedy na górnym stanowisku aseku-



“Zjazd bez węzła zaciskowego jest znacznie bezpieczniejszy, jeśli przyrząd jest przypięty do uprząży za pośrednictwem ekspresu.”

rowałem z półwyblinki wpiętej w karabinek centralny. W chwilę potem usłyszałem jego ironiczny komentarz, że jest to *German gadget*. Dalszych jego uwag o upadku III Rzeszy nie da się na łamach „Taternika” zacytować. Kiedy już ochłonałem, pomyślałem sobie w duchu, że faworyzowana przez Brytyjczyków płytka asekuracyjna ma jak najbardziej germański rodowód, gdyż nie jest to nic innego jak zmodyfikowana płytka Stichta. Mój partner pewnie do dzisiaj zastanawia się, czemu naszej dalszej wspinaczce towarzyszył ledwo słyszalny chichot.

Powoli przechodząc do rzeczy. Stosunkowo najwięcej nieporozumień wywołuje zagadnienie techniki zjazdu z tzw. wysokim przyrządem asekuracyjnym. Z bliżej nie znanych powodów doszło do pomieszania pojęć, a w konsekwencji do nieuzasadnionego i nie zawsze optymalnego połączenia różnych technik. Aby definitywnie wyjaśnić o co chodzi należy zacząć od początku. Otóż technika zjazdu na linie z tradycyjnym umiejscowieniem przyrządu zjazdowego (włącznie ze zjazdem przez karabinek, co jest zmodyfikowaną wersją zjazdu w kluczu Dülfera) polega na tym, że przyrząd zjazdowy jest wpięty bezpośrednio w uprząż biodrową lub w jej improwizowaną namiastkę. W takiej sytuacji narzuca się założenie węzła zaciskowego ponad przyrządem zjazdowym. Jest to rozwiązanie doskonale znane wszystkim taternikom starszego pokolenia. Pierwszym alpinistą, który rozpropagował inne umieszczenie węzła zaciskowego był austriacki przewodnik Klaus Hoi. Zauważył on trafnie, że jeśli przypiąć ósemkę zjazdową do zaczepu piersiowego uprząży dwuczęściowej lub do uprząży typu *full body* (patrz wyżej: szkoła niemiecka), to nie ma innego wyjścia jak zawiązać węzeł zaciskowy poniżej przyrządu zjazdowego. Na ślad takiego rozwiązania można trafić przeglądając niemieckojęzyczne katalogi sprzętu wspinaczkowego wydane na początku lat 70-tych. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że w tamtych latach w Polsce pomysł Klaus Hoi powodował wyłącznie niecenzuralne komentarze, oparte zresztą na niewybrednym skojarzeniu...

Przełom, przynajmniej jeśli chodzi o naszych instruktorów, nastąpił dokładnie w roku 1992 podczas oficjalnej wizyty w Polsce dwójki francuskich aspirantów z ENSA. Podczas wspólnych ćwiczeń w rejonie Granatów zjeżdżałem za pomocą ósemki wpiętej bezpośrednio w uprząż – fakt, że niezbyt mądrze, bo bez węzła zaciskowego. Robert Balmat (nawiasem mówiąc potomek w linii prostej legendarnego zdobywcy Mont Blanc) zwrócił mi po koleżeńsku uwagę, że zjazd bez węzła zaciskowego jest znacznie bezpieczniejszy, jeśli przyrząd jest przypięty do uprząży za pośrednictwem ekspresu. Takie rozwiązanie narzuca trzymanie liny oburącz pod przyrządem zjazdowym, co redukuje groźbę jej wypuszczenia na skutek oparzenia lub innego urazu.

Pomysł był genialny w swej prostocie. Już od następnego sezonu w „Betlejemce” uczono: „Istnieją dwie opcje umiejscowienia przyrządu

Termin „wysoki przyrząd zjazdowy” oznacza przyrząd wpięty do uprzęży za pośrednictwem pętli lub ekspresu.

zjazdowego na uprzęży: 1. nisko – wprost na uprzęży biodrowej, 2. wysoko – za pośrednictwem pętli (ekspresu) długości 20–30 cm. W sprawie umiejscowienia węzła zaciskowego obowiązuje zasada: 1. przy niskim wpięciu przyrządu węzeł musi być ponad nim, 2. przy wysokim wpięciu przyrządu węzeł musi być poniżej” Uwaga! Zjazd z użyciem półwyblinki może być wykonywany tylko w wersji niskiej! ²⁾

Wszystko wydawało się jasne do czasu, kiedy „Podręcznik wspinaczki” trafił pod polskie strzechy. Okazało się, że Brytyjczycy nie dość, że przyrząd (którym jest z reguły płytka asekuracyjna) mocują nisko, czyli wprost do uprzęży, to jeszcze umieszczają węzeł poniżej przyrządu. Dodatkową osobliwość stanowi sposób dowiązywania węzła zaciskowego wprost do taśmy udowej uprzęży lub do odpowiednio mocnego punktu z tyłu uprzęży (str. 128 ryc. 7.16) zamiast do tzw. łącznika. Powstało spore zamieszanie, któremu uległa niestety także i część instruktorów. Niektórzy niesłusznie nazywali rozwiązanie brytyjskie „wysokim przyrządem” pomimo, że przyrząd umiejscowiony jest nisko. Inni dla odmiany zupełnie niepotrzebnie (choć nie błędnie) zalecali przywiązywanie węzła zaciskowego do taśmy udowej, podczas gdy przyrząd zjazdowy umiejscowiony był wysoko.

O co w tym wszystkim chodzi? Po prostu trzeba choć trochę znać wspinaczy. Mówiąc najkrócej mają oni szczególne upodobanie do rozwiązań prostych i uniwersalnych zarazem. Skoro ich doktryna asekuracji preferuje ubezpieczenie z przyrządu wpiętego wprost do uprzęży (np. str. 73 ryc. 5.3 i 5.4), to nie widzą oni powodu aby cokolwiek zmieniać przechodząc od asekuracji do zjazdu na linie. Oczywiście istnieje groźba wciągnięcia węzła zaciskowego do wnętrza przyrządu zjazdowego, ale można tego uniknąć przenosząc jego zamocowanie jak najniżej tj. na taśmę udową uprzęży. Ot i cała tajemnica!

Powtórzmy zatem dla porządku. Termin „wysoki przyrząd zjazdowy” oznacza przyrząd wpięty do uprzęży za pośrednictwem pętli lub ekspresu. Przewrotny alpinista zawiązuje wówczas węzeł zaciskowy pod przyrządem i przypina niezależnym karabinkiem zakreślanym do łącznika w uprzęży. Sposób francuski jest zalecany podczas wykonywania wielu zjazdów pod rząd, zwłaszcza w skomplikowanym terenie, oraz w ratownictwie. Wyjątek stanowi przypadek przejeżdżania przez węzeł (w przypadku połączenia kilku lin w jedną), kiedy zdecydowanie wygodniej jest zjeżdżać w sposób tradycyjny, tzn. z przyrządem umiejscowionym nisko i węzłem zaciskowym znajdującym się powyżej przyrządu.

Termin „niski przyrząd zjazdowy” oznacza przyrząd wpięty bezpośrednio do uprzęży. Sposób brytyjski jest godny polecenia zwłaszcza w sytuacjach awaryjnych, gdy musimy szybko przejść od asekuracji do zjazdu³⁾. Uwaga: jeżeli w wyjątkowej sytuacji decydujemy się na ryzykowny sposób zjeżdżania bez węzła zaciskowego, to ważniejsze od

krótkiej modlitwy jest posłużenie się sposobem francuskim, a więc techniką wysokiego przyrządu zjazdowego obsługiwanego oburącz spod przyrządu.



Fot. 1. Brytyjski sposób zjazdu
– niska płytka, niski prusik



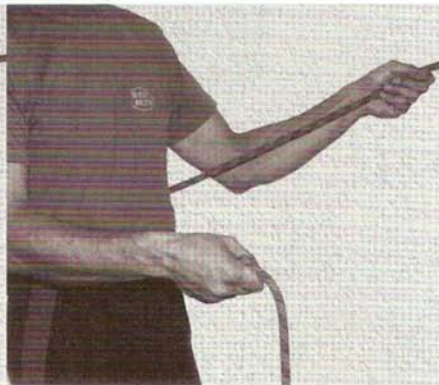
Fot. 2. Kontynentalny sposób zjazdu
– wysoka ósemka, niski prusik

Następną istotną sprawą jest technika posługiwania się liną w trakcie asekuracji. Największe różnice można zauważyć pomiędzy brytyjskim a kontynentalnym sposobem asekurowania w sposób klasyczny, czyli przez ciało. Po pierwsze, Brytyjczycy w ogóle nie znają metody asekurowania poprzez prowadzenie liny na wysokości piersi. Warto przypomnieć, że asekuracja przez ciało z ułożeniem liny „przez plecy” jeszcze na początku lat 70-tych należała do żelaznego repertuaru umiejętności nauczanych na kursach taternickich. Dziś można urzędowo stwierdzić, że umarła ona śmiercią naturalną na niepopularność. Na szczęście nic nie wskazuje na to aby któregoś roku powróciła wraz z falą retro. Po drugie, wyspiarze całkowicie ignorują asekurację „spod ramienia” polegającą jak wiadomo na prowadzeniu liny od partnera pod pachę, a następnie przez plecy i przeciwległe ramię do ręki hamującej. W tym przypadku mamy do czynienia z wylaniem dziecka wraz z kąpielą, gdyż podczas asekuracji górnej właśnie ubezpieczanie „spod ramienia” w dużym stopniu eliminuje groźbę zsunięcia się liny z ciała na skutek szarpnięcia liną w dół. Preferowana przez Brytyjczyków asekuracja „z bioder” ma tę wadę, że dla bezpieczeństwa należałoby przepiąć linę przez punkt wysłowy na stanowisku asekuracyjnym. Szkopuł w tym, że asekurację przez ciało stosuje się na ogół w niezbyt trudnym i mało stromym terenie, gdzie stanowiska zazwyczaj są zakładane tylko z jednego punktu asekuracyjnego. W takiej

sytuacji nie ma innego wyboru jak asekurować „spod ramienia”. W tym miejscu należy ustosunkować się do lansowanego w podręczniku sposobu owinięcia liny wokół przedramienia ręki hamującej (str. 75 ryc. 5.7). Otóż Brytyjczycy w ogóle nie przyjmują do wiadomości, że można asekurować inaczej. Podkreślają dwie zalety: po pierwsze owinięcie liny wokół przedramienia zwiększa tarcie, a więc w konsekwencji ułatwia hamowanie, a po drugie w znacznym stopniu zmniejsza ryzyko „zgubienia liny”. Rzeczywiście, wypuszczenie liny z ręki hamującej może mieć katastrofalne skutki. Niestety są też i wady takiego trzymania liny. Na pierwszym miejscu należy chyba wymienić mniejszą płynność ruchów, a w następstwie wolniejsze podawanie i wybieranie liny, co ma zasadnicze znaczenie podczas szybkiej wspinaczki. Ponadto, ze względu na możliwość oparzenia przedramienia należy używać ubioru z długim rękawem, co w czasach niezwyklej popularności koszulek zwanych bularkami wydaje się postulatem trudnym do zrealizowania.



Fot. 3. Brytyjski sposób trzymania liny w ręce hamującej



Fot. 4. Kontynentalny sposób trzymania liny w ręce hamującej

Odrębnego komentarza wymaga typowo wspiarski sposób ubezpieczenia z użyciem płytki asekuracyjnej. Płytką jest tam bez wątpienia przyrządem asekuracyjnym numer jeden. Zadecydowała o tym tak ceniona przez Brytyjczyków prostota konstrukcji oraz powszechne stosowanie na tamtejszych skałach lin podwójnych. Te ostatnie zdobyły prymat z powodu niechęci Brytyjczyków do stosowania przedłużonych ekspresów likwidujących niekorzystne przeszytywnienie prowadzonej liny. Płytką asekuracyjna jest przypinana do uprząży. Takie rozwiązanie jest stosowane zarówno podczas asekuracji dolnej jak i górnej (str. 73 ryc. 5.3 i 5.4). Dobrze pytanie dlaczego? Przecież wspinacze z obszaru języka niemieckiego wołają na górnych stanowiskach ubezpieczać z karabinka HMS wpiętego w centralny punkt stanowis-



kowy. Czy potrafimy odgadnąć dlaczego ewolucja asekuracji na wyspach brytyjskich poszła w innym kierunku niż na kontynencie. Odpowiedź jest zaskakująco prosta. Płytką przy wszystkich swoich zaletach nie nadaje się do użycia jako przyrząd asekuracyjny wpinany w punkt centralny na górnym stanowisku w celu asekurowania partnera podchodzącego z dołu⁴). Natomiast ewentualne ściąganie drugiego za pośrednictwem węzła półwyblinkki nieuchronnie kończy się skręceniem żył liny podwójnej, co w chwilę później uniemożliwia równoległe prowadzenie żył przez prowadzącego. – To jeszcze nie koniec wyspiarskich osobliwości. Uważny czytelnik zauważy, że płytka asekuracyjna nie zawsze jest wpinana bezpośrednio w łącznik uprzęży, ale często w pętlę utworzoną przez linę, po jej dowiązaniu do uprzęży za pośrednictwem węzła ósemkowego (str. 78 ryc. 5.11). Takie rozwiązanie stanowi dopełnienie brytyjskiej szkoły asekuracji. Skoro dominującym sposobem ubezpieczania jest asekuracja pośrednia, tj. z przyrządu zamocowanego na ciele wspinacza, to stanowiska asekuracyjne należy konstruować tak, aby ciężar wiszącego pechowca obciążał bardziej stanowisko, niż obsługującego linę partnera. W razie komplikacji prowadzenie ewentualnej akcji ratunkowej jest wówczas proste. Wystarczy uwolnić się z układu asekuracyjnego w brytyjski, a więc wyjątkowo niewymyślny sposób (str. 147 ryc. 9.11). Jak widać, ogólna zasada działania urzeka prostotą! Niestety, nic nie jest takie łatwe jak się wydaje. Poprawne założenie stanowiska spełniającego wyżej wymieniony postulat wymaga sporego doświadczenia i niemałej wyobraźni aby przewidzieć kierunki działania sił na stanowisko asekuracyjne. W tym miejscu trzeba koniecznie ustosunkować się do zaprezentowanego w podręczniku sposobu podawania i wybierania liny podczas asekuracji z użyciem płytki asekuracyjnej (str. 79 ryc. 5.12 i 5.13 oraz str. 80 ryc. 5.14). Niestety na wszystkich rysunkach przedstawiono wadliwe ułożenie dłoni ręki hamującej. Zaprezentowany układ dłoni uniemożliwia pełne załamanie liny w przyrządzie asekuracyjnym. Posługując się płytką, kubkiem asekuracyjnym oraz ósemką należy uchwycić linę tak, aby kciuk dłoni hamującej był skierowany w kierunku przyrządu asekuracyjnego⁵).

Na zakończenie należy poświęcić jeszcze chwilę uwagi metodzie sporządzania pasa asekuracyjnego (*swami belt*) z długiego odcinka taśmy kilkakrotnie owiniętej wokół talii (str. 47 ryc. 3.24). Otóż nie jest to nawoływanie do powrotu do czasów wiązania się liną w pasie, ani tym bardziej „wynałazek” mający zastąpić uprzęż biodrową. Mamy tutaj do czynienia z prostym rozwiązaniem pozwalającym na dowiązywanie się (lub dopinanie) do liny podczas poruszania się w łatwym terenie. Podkreślmy, chodzi o przebijanie rękami i nogami – a nie wspinaczkę – czyli coś, co Brytyjczycy nazywają *scrambling*. Innymi słowy, wybierając się np. na Mięgoszowiecki Szczyt drogą Po



Fot. 5. Wadliwy sposób trzymania liny w ręce hamującej



Fot. 6. Poprawny sposób trzymania liny w ręce hamującej

„Postępując się płytką, kubkiem asekuracyjnym oraz ósemką należy uchwycić linę tak, aby kciuk dłoni hamującej był skierowany w kierunku przyrządu asekuracyjnego.

Glazach warto mieć na sobie właśnie taką uprząż na wszelki wypadek. Lepsze to niż nic. W razie czego można przyasekurować w zejściu słabszego partnera czy chociażby łatwo dopiąć się do liny podanej przez ratownika. Natomiast z oczywistych powodów wiązanie się w pasie, nawet za pośrednictwem szerokiej taśmy zupełnie nie nadaje się do uprawiania wspinaczki, a tym bardziej do pokonywania dróg typu *via ferrata*. Zasadniczym przeciwwskazaniem jest groźba odniesienia poważnych obrażeń wewnętrznych na skutek szarpnięcia liną po locie z dużym współczynnikiem odpadnięcia. W tym miejscu warto przypomnieć, że WO podczas upadku na „żelaznej perci” może przyjmować znacznie większe wartości niż podczas wspinaczki z użyciem liny do asekuracji. Ponadto, należy się także liczyć z następstwami wiszenia na linie bez kontaktu ze skałą. Wprawdzie na stronach 143-144 można znaleźć sposoby ratowania się po zawisnięciu wolno w powietrzu, ale powiedzmy sobie uczciwie, że są to sztuczki ekwilibrystyczne wymagające dużej sprawności fizycznej. Lepiej nauczyć się zakładania na linę pocziwej „nykówki” (str. 143 ryc. 9.5). Młodszym czytelnikom należy wyjaśnić, że „nykówka”⁶⁾ to nic innego jak długa pętla zaciśnięta na linie przy pomocy nieocenionego węzła Prusika. Brytyjska odmiana „nykówki” jest prostsza (wystarczy wpiąć w linę karabinek, który opiera się o węzeł przy uprząży), ale też ma znacznie mniej zastosowań. W obydwu rozwiązaniach zasadnicze znaczenie ma możliwość wstawienia stopy w pętlę i przynajmniej częściowe odciążenie klatki piersiowej.

1 generalnie można mówić o istnieniu czterech szkół: niemieckiej, romańskiej, brytyjskiej i amerykańskiej.

2 konspekt „Zjazd na linie”, Materiały szkoleniowe COS PZA, W. Świąciecki, 1993

3 przy okazji zachęcam do stosowania takiej terminologii: francuski lub brytyjski sposób zjazdu na linie

4 tak samo nie nadają się działające na podobnej zasadzie kubek i ósemka

5 zagadnienie zostało szczegółowo omówione w *Taterniku* 4/1996, „Asekuruj! Możesz iść”, W. Świąciecki

6 nazwa pochodzi od nazwiska Nyka, choć sam J. Nyka skromnie podaje, że był tylko jedną z osób, które wspólnie wykonczywały takie rozwiązanie podczas ćwiczeń w Lasku Bielańskim w 1960 r., „T” 4/1973.



Kształtując nowe oblicze „Taternika” nie zapominajcie Państwo o proporcjach między wyczytawcami, a zwykłymi miłośnikami gór, a Tatrze przede wszystkim.

Ewa Matuszewska, Zakopane



Kochani, wzruszyła mnie Wasza pamięć (...) Nowej Redakcji i drogiemu sercu pismu życząc wszystkiego najlepszego – przede wszystkim ciągłości aż po następny wiek.

Jerzy Kolankowski, Jelenia Góra



Cieszymy się bardzo z reaktywowania „Taternika”. To przecież na nim wychowało się kilka pokoleń miłośników gór. Jak sięgam pamięcią, zawsze chwyciłem się za lekturę kolejnego zeszytu, zapominając o otaczającym mnie świecie. To były wspaniałe czasy, mimo iż ukazywał się wtedy rzadko i nieregularnie.

Elżbieta i Stanisław Durczokowie, Viernheim



Prezji w odniesieniu do „Taternika” został ostatnio znacznie nadzarpnięty. (...) Trudno będzie przekonać autorów, że ten nowy „Taternik” będzie zupełnie innym pismem.

Piotr Panufnik, Warszawa



Bardzo podoba mi się proponowana przez Was nowa formuła, bo nudzą mnie już trochę inne, kolorowe pisma górskie, będące w istocie magazynami reklamowymi.

Tomasz Kliś, Wrocław



Co chciałabym w „Taterniku” znaleźć? Ano, poza tekstami literackimi lepszymi i gorszymi, także trochę konkretnych informacji o Polskim Związku Alpinizmu i zrzeszonych w nim klubach. A może by przypomnieć historię wydawania samego „Taternika” wraz z poczetem redaktorów, z ich zdjęciami i notami o nich. (...) Ludzie się mijają, trzeba docierać do tych, co nie odeszli, aby jeszcze wykorzystać ich wspomnienia.

Barbara Morawska-Nowak, Kraków



Sprostowanie

W Taterniku 4/2000 ukazała się recenzja przewodnika wspinaczkowego po Szczelińcu Wielkim w Górach Stołowych (Hejszowina). Z zupełnie dla mnie niezrozumiałych przyczyn zostałem w niej wymieniony jako jedyny autor tej publikacji, choć z treści samej recenzji wynika jednoznacznie, że autorów było wielu. Aby więc zadość

uczynić wymogom prawdy i kadersztuby, informuję, że mój wkład jako współautora był nieznaczny, a główną pracę nad przewodnikiem wykonali Szymon Gonciarek i Marek Szarkowski. Pozostali autorzy, wymienieni na stronie 3 przewodnika, to: Bożena Kalinowska, Marcelina Rymer, Tadek Ciszyński, Jaś Fijałkowski, Piotr Gołański, Michał Guryn, Waldi Mirosławski, Wojtek Piekarek, Misiek Szczepanik i Włodo Szczepanik. Wszyscy oni pracowali społecznie, nie oczekując zysku i zarobku za własną pracę, co jest niezwykle już rzadkim i przez to dodatkowo cennym zjawiskiem we współczesnym, skomercjalizowanym świecie. Przepraszam Was, koleżanki i koledzy za to przykre nieporozumienie.

Andrzej J. Makarczuk



Sprostowanie

W lutym ukazał się album pt. „Korona Ziemi”. To niewątpliwie interesujące wydawnictwo omówimy w następnym numerze. Kilka dni po pojawieniu się książki na półkach księgarskich otrzymaliśmy list, który – jak uznaliśmy – jest na tyle istotny, że wymaga jak najszybszej publikacji. Pisze do nas Jerzy Kostrzewa: „W części dotyczącej polskich wejść znalazła się nieprawdziwa informacja, że Kuba Jakubczyk jako pierwszy Polak wszedł na Piramidę Carstensa. Kuba, owszem, uczestniczył w wyprawie na Carstensa, ale wejścia dokonał dwa dni później. [...] W puszcze na szczycie zostawiłem flagę-banderkę. Dwa dni później prosiłem o przyniesienie jej ze szczytu. Kuba nie znalazł puszek... [...] Nie biegam za rozgłosem i chodzenie po górach traktuję bardzo indywidualnie, ale teraz zmuszony jestem tłumaczyć się, czy aby to, co mówię, jest prawdą. [...] Jestem przekonany, że Piotr Pustelnik nie miał żadnych złych intencji, a błąd spowodowany był zapewne pośpiechem w przygotowaniu dzieła i złymi informacjami.” Według wcześniej publikowanych doniesień (m.in. „Gazeta Wyborcza” nr 183 z 1999 r. strona 6) Piramidę Carstensa (4884 m) – najwyższy szczyt Australii i Oceanii – zdobył jako pierwszy Polak Jerzy Kostrzewa w dniu 12 lipca 1999 r. w towarzystwie Klemensa Gannera (Austria), Karla Wimmera (Niemcy) i Ivarsa Sedlenieksa (Łotwa). Kuba Jakubczyk stanął na wierzchołku z wynajętym przewodnikiem 14 lipca tegoż roku. Obaj Polacy uczestniczyli w międzynarodowym wejściu organizowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Obrony Indonezji. (red.)



Wypadki taternicze w 2000r.

Adam Marasek

Telefony komórkowe ratują życie

Sprzętem niezbędnym na skalnych ścianach coraz częściej staje się telefon komórkowy. W sytuacji awaryjnej możliwość kontaktu telefonicznego znacznie skraca czas akcji ratunkowej, co może mieć decydujące znaczenie dla życia poszkodowanego. Der Deutsche Alpenverein (DAV) publikuje co roku obszernie raporty wypadkowe, zawierające różnorodne przekroje statystyczne. Raport za rok sprawozdawczy 1998-99 potwierdza wcześniejsze spostrzeżenia, że liczba nieszczęśliwych zdarzeń w górach Niemiec od ok. 1995 roku utrzymuje się na stałym poziomie, natomiast z roku na rok maleje liczba ofiar śmiertelnych. Pit Schubert (nota bene członek honorowy PZA) stwierdza, że przyczyną jest rozpowszechnienie się w górach telefonów komórkowych. Szybkie wezwanie pogotowia ma szczególne znaczenie w przypadku poważnych urazów lub wypadków lawinowych. Jak wynika z raportu, w górach Niemiec 80 % wypadków stanowią zdarzenia zwinione, spowodowane zlymi ocenami, błędami w sztuce lub brakami w wyposażeniu. Ratownicy niemieccy 33 % wypadków wiążą z uprawianiem turystyki górskiej, 18 % z klasycznym alpinizmem, 13 % ze wspinaniem w skałe lub lodzie i 12 % z narciarstwem. Pozostałe 24% – inne formy górskiej aktywności. (j.n.)

1. W dniu 14.02. podczas wspinaczki na wschodniej ścianie Kościelca (WHP 112), utknęli poniżej trawersu prowadzącego na Kościelców Przełęcz dwaj taternicy, Daniel T. i Jarosław D. Ze względu na pogarszające się warunki atmosferyczne i zapadający zmrok przez telefon komórkowy poprosili o pomoc TOPR (po godz. 19.00). O godz. 23.00 ratownicy docierają do oczekujących na pomoc taterników, wyprowadzają ich na szlak prowadzący na Karb i o godz. 3.15 doprowadzają do Murowańca.
2. W dniu 23.02. podczas wspinaczki na Mnichowym Progu na drodze *Wesołej Zabawy* odpadł prowadzący na trzecim wyciągu Michał Ścisłowicz. Spadając prawie na całą długość liny wyrwał wszystkie przeloty i uderzył w ścianę, doznając śmiertelnych obrażeń. Zmarł w chwili, gdy dochodził do niego jeden z taterników, który usłyszał wołanie o pomoc, w momencie gdy schodził po skończonej wspinaczce w tamtym rejonie. On to, docierając pierwszy do wiszącego około 20 m. nad ziemią taternika, opuścił go do podstawy ściany i podjął próbę reanimacji. Przybyli na miejsce ratownicy zjechali do pozostałego w ścianie drugiego taternika, opuścili go do podstawy ściany i sprowadzili do Morskiego Oka. Michał Ś. wspiął się tylko w uprząży biodrowej (dość płytkiej), połączonej liną do uprząży za pomocą zakręcanego karabinka.
3. W dniu 29.06. podczas zejścia z Mnicha *Przez Płytę* doznał kontuzji nogi Stanisław S. z Warszawy. Rannego taternika, po udzieleniu pierwszej pomocy, windą wciągnięto na pokład śmigłowca i przewieziono do szpitala.
4. W dniu 8.07. w czasie wspinaczki na Mnichu na *Wariancie R*, prowadzący na ostatnim wyciągu Maciej S. z Bytomia odpadł na śliskiej, mokrej ścianie, spadł kilka metrów na znajdującą się poniżej, usłaną luźnymi kamieniami półkę, doznając otwartego złamania nogi. Jego partnerka przez telefon komórkowy powiadomiła TOPR. W trudnych warunkach atmosferycznych, przy padającym deszczu, a później śniegu, rozpoczęto zjazd w zestawie alpejskim do oczekującego na pomoc taternika. Najpierw wyciągnięto na wierzchołek Mnicha partnerkę Macieja S., a później, w noszach francuskich, zwieziono do podstawy ściany rannego taternika. Spod ściany druga grupa ratowników przeniosła go do Morskiego Oka i dalej samochodem został on przetransportowany do szpitala. Gdyby nie poważna kontuzja, załamanie pogody i obawa o wychłodzenie rannego, nie podjęto by się trudnego, dość ryzykownego nocnego zjazdu ścianą.
5. W dniu 27.07. po zakończonej wspinaczce na *Drodze Świerza* na wsch. ścianie Mieguszowieckiego Szczytu, w trakcie zejścia na Hińczową Przełęcz, spadła kilkadziesiąt metrów na stronę południową Anna W., doznając szeregu poważnych obrażeń. **Gdyby nie kask, który miała na głowie, prawdopodobnie upadek ten zakończyłby się tragicznie.** Ze względu na trudne warunki atmosferyczne (niski pułap chmur, mgły), śmigłowiec, którym ratownicy wystartowali do wypadku musiał lądować na Hali Gąsienicowej, gdzie pozostał do dnia następnego, kiedy to odsoniła się droga powrotu na zakopiańskie lądowisko. Druga grupa ratowników wyruszyła do Morskiego Oka samochodem i dalej pieszo w stronę Hińczowej Przełęczy. Na pomoc wyruszyli również ratownicy słowaccy. Wspólnie z ratownikami TOPR ranną przetransportowano do Smokowca. Przyczyną upadku było poślizgnięcie się na mokrej skałe.



6. W dniu 25.08. podczas ćwiczeń z autoratownictwa na progu Zmarzłego Stawu, kontuzji nogi doznał Kazimierz S., znany instruktor PZA, który „robiąc za pozoranta” został skutecznie uszkodzony przez swojego kursanta. Jeszcze raz potwierdziła się opinia, że prowadzenie szkolenia taternickiego to trudny i niebezpieczny zawód.
7. W dniu 25.09. przez telefon komórkowy Marek P. poinformował TOPR, że podczas wspinaczki wschodnią ścianą Mięguszowieckiego Szczytu *Drogą Surdela* zespół pomylił drogę. Są około 80 m od grani i zamierzają biwakować. Dnia następnego kolejny telefon około godz. 15.30. Tym razem taternicy proszą o sprowadzenie ich z zachodniej grani Mięguszowieckiego Szczytu, gdyż znany im Zachód Janczewskiego jest oblodzony, a oni nie znają drogi zejściowej przez Hińczową Przełęcz. Próby telefonicznego informowania taterników o tym, jak mają dalej schodzić spелżyły na niczym. Taternicy postanowili oczekiwać na pomoc na przełęczce nad Mięguszowiecką Turniczką. Na pomoc polecił śmigłowiec. Do oczekujących taterników zjechał Maciej Pawlikowski. Taterników, po zapakowaniu ich w trójkąty ewakuacyjne, wciągnięto windą na pokład śmigłowca i przewieziono do Morskiego Oka. A oto cytat z opisu wyprawy napisanego przez M. Pawlikowskiego: „[...] Taternicy byli cali i zdrowi, lecz przerażeni niewielką ilością śniegu zalegającego na wysokości 2300 m n.p.m. i nie znali drogi zejściowej. Poprzedniego dnia błędzili na wschodniej ścianie, a dnia następnego na zachodniej grani. Posiadali właściwy na tę porę roku ubiór i kompletny sprzęt wspinaczkowy – zabrakło im umiejętności wspinaczkowych i odwagi...”
8. W dniu 15.10. podczas wspinaczki na Mnichu, na drodze *Międzomiastowa*, na drugim wyciągu odpadł taternik Michał W., doznając otwartego złamania uda. Ratownicy na pomoc lecą śmigłowcem. Desantują się na Górnych Półkach. Po założeniu stanowiska zjazdowego do poszkodowanego zjeżdża w zestawie alpejskim lekarz-ratownik. Po zaopatrzeniu i zapakowaniu w nosze francuskie, ranny wraz z lekarzem zostają wciągnięci windą Kendlera. Z półek rannego przetransportowano windą do będącego w zawisie śmigłowca. W 2 godz. 15 min. od zawiadomienia o wypadku ranny taternik znalazł się w szpitalu. W podobny sposób został „wyjęty” ze ściany partner rannego taternika.

Analizując miniony rok pod względem wypadków taternickich należy stwierdzić, że było ich niewiele. Te, które się zdarzyły w części można uznać za typowy wypadek przy pracy (kilkumetrowe odpinięcie, gwałtowny kontakt ze ścianą i możliwość kontuzji – przy dobrze założonych stanowiskach asekuracyjnych, dobrej asekuracji przez partnera i dobrze założonych przelotach). Śmiertelny wypadek spowodowany wyrwaniem wszystkich przelotów oraz bezradność partnera uznać należy za brak umiejętności. Problemy topograficzne przy dobrej widoczności i przez to niemożność powrotu do schroniska u samodzielnych taterników raczej nie powinny się zdarzać. Reasumując, należy podkreślić, że przy tej ilości wspinających się w Tatrach zespołów, pokonujących często bardzo trudne drogi, zdarzyło się w ostatnich latach bardzo mało wypadków. **Świadczy to o dobrze prowadzonym systemie szkolenia przez PZA.** Podkreślić należy również pomoc taterników (a przede wszystkim instruktorów), jakiej udzielają ratownikom TOPR w czasie prowadzonych akcji ratunkowych. Za to Wam bardzo dziękujemy.

Adam Marasek – zastępca Naczelnika TOPR

Patagonia

Mountain Agency

Expeditions
& Guides

AGENCJA GÓRSKA "PATAGONIA"

tel. /fax.: (0-32) 204-71-37, kom.: 0-602-812-840

E-mail: patagonia@alpinizm.pl

<http://www.alpinizm.com/agencja/patagonia>

Wyprawy w roku 2001:

Mt. McKinley (6194m) Alaska	8 – 30 czerwiec	3200 USD
Shisha Pangma (8013m) Tybet	1 wrzesień – 14 październik	7000 USD
Pumori (7145m) Nepal	20 październik – 18 listopad	4500 USD

Trekkingi 2001:

Nepal (Everest BC, Kala Patar)	1 – 21 kwiecień	2500 USD
Tybet (Lhasa, Everest BC, KTM)	1 – 21 wrzesień	4000 USD
Nepal (KTM, Pumori BC)	20 październik – 10 listopad	2500 USD

Trekkingi 2002:

Patagonia (Argentyna, Chile)	19 luty – 15 marzec	3000 USD
Ziemia Ognista, Torres del Paine, Fitz Roy, Cerro Torre – Wyprawa Jubileuszowa – 10 lat Agencji		
Makalu	3 – 26 kwiecień	2800 USD
K2	28 czerwiec – 20 lipiec	3800 USD
Dhaulagiri	7 – 28 wrzesień	2800 USD
Everest (Everest BC, Kala Patar)	19 październik – 9 listopad	2500 USD

Podane ceny obejmują przeloty lotnicze, hotele, koszty pozwoleń, sprzęt, wyżywienie w bazie i powyżej, koszt przewodnictwa etc.

Pozegnania



Janusz Księski

Urodził się 7 listopada 1961.

Doświadczony alpinista,
wspaniały przyjaciel,
szczególnie bliski
środoowisku krakowskiemu.

28 stycznia 2001 roku

tatrzańska lawina

zabrała go w góry najpiękniejsze.



Marek Kozicki

25 stycznia 2001 roku w Krakowie zmarł po długiej i ciężkiej chorobie Marek Kozicki, członek Klubu Wysokogórskiego w Krakowie, zasłużony instruktor taternictwa i narciarstwa, głęboko związany z górami, którym poświęcił całe swoje życie.

Marek Kozicki urodził się 15 marca 1937 roku w Wilnie. W roku 1956 zapisał się wraz z kolegami na kurs skałkowy Koła Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego. W lecie 1957 r. wybrał się z kolegą w Tatry, na Halę Gąsienicową. Nie mieli pieniędzy na kurs, więc postanowili wspinać się sami z przewodnikiem Witolda H. Paryskiego w rękę. Któryś z instruktorów zauważył, że pakują się w zbyt trudne, hakowe odcinki i zaproponował, aby wspinali się z kursem, a zapłaca, jak będą mieli. I tak szczęśliwie Marek ukończył kurs tatrzański. W 1962 roku zrobił kurs instruktora narciarskiego i w tym czasie także kurs instruktora taternictwa. W 1968 roku zerwał całkowicie z pracą za biurkiem i przez całe lata, przerzucając się z miejsca na miejsce, szkolił na kursach narciarskich, prowadził wczasy wędrowne, był instruktorem na kursach skałkowych, biorąc także corocznie udział w szkoleniu komandosów oraz w szkółce taterniczej na Hali Gąsienicowej. Szkolił z wielkim zaangażowaniem, toteż był bardzo lubiany przez swoich kursantów. Jesienią 1973 r. TPN wywłaszczył rodzinę Bukowskich z Hali, a „Betlejemkę,” będącą ich własnością, oddał w dzierżawę Klubowi Wysokogórskiemu z przeznaczeniem na szkołę taternictwa. Dotychczasowy kierownik szkoły Zdzisław Jakubowski wyjechał w tym czasie na dłużej za granicę i w ten sposób Marek został na krótko kierownikiem „Betlejemki”. W udziale przypadł mu remont i wyposażenie obiektu, bo gazda ze złości nawet piec rozwalił. W 1977 roku Marek był po raz pierwszy w Hindukuszu, w małej kilkusobowej wyprawie, która spenetrowała dziewiczy dotychczas rejon Bamianu. Następnego roku był ponownie w Hindukuszu, od strony Pakistanu, wszedł wówczas na niezdojdyty skalisty szczyt ok. 5000 m, a następnie po dojechaniu do Chitralu wszedł na Khorgogran Zom 6000 m. w rejonie przełęczy Lawari Pass. Trzecia wyprawa, którą kierował w 1979 r. działała w rejonie Hunzy, a następnie przeniosła się do Nepalu. W 1980 r. zorganizował trekking w Tybecie – trawers Himalajów z północy na południe. Następnie zwiedził Nepal i Indie. W 1984 r. był w Ladaku (Tybet indyjski) z wyprawą Klubu Wysokogórskiego z Rzeszowa, którą współorganizował. W 1985 r. ponownie był w Tybecie. Zafascynowały go te kraje i ich mieszkańcy oraz budyzm. Wyjazdy w dalekie góry przeplatały się z działalnością instruktorską. Potem ograniczył ją na rzecz prac wysokościowych, które były o wiele bardziej opłacalne, choć często praca ta była mordercza i na pewno odbiła się na jego zdrowiu.

W 1992 roku ujawniła się ostra niedomoga krążenia, kilkakrotnie przeżył śmierć kliniczną, proponowano mu nawet przeszczep serca. Mimo to, stale starał się być aktywny, a jego przyjaciele wozili go na wycieczki po Jurze, gdzie odkrywał ciekawe wspinaczkowo miejsca. Spoczął w grobie swej matki na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, odprowadzony przez liczne grono przyjaciół klubowych i swoich kursantów.

Barbara Morawska-Nowak



Arkadiusz Gašienica-Józkowy

Odszedł od nas nagle, w wieku zaledwie 33 lat. Nie zorientowanym wydawać by się mogło, że w pełni sił, gdyż nie wszystkim było wiadomo to, o czym wiedzieli jego przyjaciele i najbliżsi, że Arek cierpiał na rzadką i nieuleczalną chorobę Wilsona. Jej postęp można było tylko powstrzymać, ale nie dało się jej całkiem wyleczyć. W ostatnich dwóch latach nie mógł sobie również poradzić ze swoimi problemami życiowymi, chociaż jesienią ubiegłego roku już wydawało się, że wszystko ułoży się dobrze. Arek wrócił w góry dokonując solowego przejścia łańcuchówki – pięć dróg Świerza w rejonie Morskiego Oka w ciągu zaledwie 14 godzin.

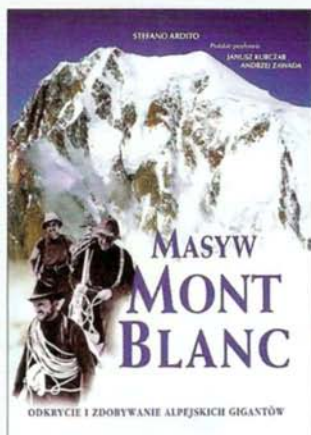
Urodził się w Krakowie, ale z Tatrami był związany od najmłodszych lat. Jeszcze zanim skończył kurs taternicki, to już wprowadzali go w góry ratownicy TOPR Andrzej i Józef Gašienica Józkowy, jego stryjowie, a potem Michał Jagiełło. Nieraz przychodził do Morskiego Oka, gdzie dyżur ratowniczy miał Władysław Cywiński i razem wyruszali w teren. Pod jego doświadczonego okiem zasmakował wspinaczki „na żywcę”. Wcześniej został ratownikiem tatrzańskim. W tym środowisku nawiązał pierwsze przyjaźnie górskie i w tym gronie znalazł również partnerów do wspinaczek. Kiedyś na nartach na Kasprowym Wierchu poznał się z Jankiem Tyborem, późniejszym głównym partnerem na tatrzańskich drogach. Razem wspinali się kilka sezonów na przełomie lat 80- i 90-tych. Każdy sezon to kilkanaście dróg z roku na rok coraz trudniejszych. Zaczynali od rejonu Hali Gašienicowej i Morskiego Oka. Wspinali się na Zamarłej Turni i na Mięgoszowieckim Szczycie, a z trudniejszych dróg, które przeszli w sezonie letnim 1987 r. można wymienić *Schody do Nieba* i *drogę Galfy – Ivanoviča* na Wielkiej Granackiej Baszcie. Potem w pierwszym sezonie zimowym zaliczyli 18 dróg wspólnych, m. in. *Łapińskiego i Paszuchy* na Kazalnicy i aż pięć trudnych dróg na Małym Kieźmarskim Szczycie. Kolejne dwa sezony – letni i zimowy Arka i Janka były również bardzo dobre: 13 dróg latem, w tym cztery trudne drogi na zachodniej Kościelca, dwie na Kazalnicy Mięgoszowieckiej, na Wołowej Turni, a zimą 11 dróg, w tym na Długim Giewoncie i Małym Kieźmarskim. W ramach centralnego obozu PZA Arek wyjechał w Kaukaz, gdzie wszedł m. in. na Nakra-Tau i „na żywcę” na Donguzorun. Arek wspiął się też z innymi partnerami i dużo chodził solo. Przed wyjazdem w Alpy przeszedł zimą w rejonie Morskiego Oka dwie łańcuchówki w tym jedną solo. Potem z Jankiem Tyborem wyjechali w lutym 1992 r. w Alpy, gdzie przeszli klasyczną drogę na północnej ścianie Eigeru, legendę ścian alpejskich.

Dwukrotnie był w Himalajach na wyprawach organizowanych przez Wandę Rutkiewicz, w 1991 roku na Dhaulagiri i na wiosnę następnego roku na Kangczendzongę. Zakładając obozy i poręczając drogę dla Wandy, doszedł na Kangczendzongę do wysokości 8000 metrów. Potem dwa sezony zimowe spędził w Alpach Francuskich, gdzie zamieszkał w rejonie Chamonix. W ciągu tego okresu dokonał przejść wielu trudnych dróg z partnerami lub solo. Wspiął się zimą różnymi drogami na Mont Blanc du Tacul, m. in. *Super Culuaem*, na Wielkim Filarze Narożnym, na Aig. du Pelierines, na *Filarze Croza* na Grandes Jorasses, na Les Droites, czy Aiguille du Midi.

Pierwsze oznaki choroby pojawiły się przed pięcioma laty. Arek przestał się wspiąć wyczynowo, został przewodnikiem tatrzańskim, ułożył sobie życie osobiste i wspólnie z żoną prowadził biuro przewodnickie, pełnił też dyżury jako ratownik tatrzański. Wraz z Piotrem Konopką byli inicjatorami założenia Polskiego Stowarzyszenia Przewodników Wysokogórskich, a po jego utworzeniu został jego pierwszym wiceprezesem. W lecie prowadził wycieczki oraz klientów na łatwiejsze drogi wspinaczkowe, a zimą pracował głównie jako instruktor narciarski.

Arek był mistrzem wspinaczki zimowej. Miał na swym koncie kilkanaście pierwszych przejść zimowych w Tatrach. W dniu, w którym zegnaliśmy go na nowym cmentarzu zakopiańskim, śnieżny całun pokrywał mogiły. W ostatniej drodze towarzyszyli Arkowi ratownicy TOPR i THS, przewodnicy tatrzańscy i wysokogórscy, taternicy i liczne grono przyjaciół. Pożegnał go w imieniu zebranych Piotr Konopka prezes przewodników i partner od liny. Żegnały go również muzyka góralska i ośnieżone Tatry.

Apoloniusz Rajwa



MASYW MONT BLANC

ODKRYCIE I ZDOBYWANIE ALPEJSKICH GIGANTÓW

Autor: Stefano Ardito

Polskie posłowie: Janusz Kurczab, Andrzej Zawada

„[...] To szczególna chwila, kiedy stoi się przed wielką ścianą kilometrowej wysokości, w której za chwilę ma się rozpocząć parodniową, nadzwyczaj trudną wspinaczkę, gdzie grożą spadające lawiny lodu i kamieni, a nagle załamanie pogody zmusi do wyczerpującego, ryzykownego odwrotu, gdzie można być okaleczonym, a nawet stracić życie. Każdy z nas zdaje sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa i chyba nie ma człowieka, który w takiej chwili nie odczuwałby lęku i przemożnej ochoty ucieczki, a jednocześnie odpowiedzialności za podjętą decyzję. Wycofać się, czy zaryzykować, póki jeszcze jest czas. Potem w ścianie nie ma już miejsca na truogę, zostaje tylko działanie, które uspokaja nerwy. W tamtej chwili pod filarem jedna rzecz ułatwiała nam decyzję, rzecz niezwykle ważna: fakt, że Bonatti i Gobbi przeszli tę ścianę, a więc nie natrafimy na jakąś przewieszoną barierę skalną absolutnie nie do przejścia”.

Andrzej Zawada, fragment rozdz. „W osiem lat po Bonattim. Najtrudniejszą drogą na Mont Blanc”

Nakładem wydawnictwa WARBUD S.A. ukazała się właśnie kolejna monografia górską – tym razem masywu Mont Blanc. Choć na naszym rynku ukazało się sporo książek opisujących przygody górskie w tym rejonie, jednak brakowało pozycji porządkującej wydarzenia wspinaczkowe pod względem chronologicznym i topograficznym. Nowy album doskonale wypełnia tę lukę.

Owa niezwykle starannie opracowana monografia, oprócz efektownych zdjęć współczesnych, zawiera też cały szereg archiwaliów, starych map, sztychów i obrazów, które wspaniale pokazują, w jaki sposób niedostępne urwiska alpejskie jawiły się w wyobraźni twórców. Nie brakuje też oczywiście sprawozdań z legendarnych wspinaczek Cassina, Bonattiego czy Profita.

Cześć wstępna zawiera kronikę najwybitniejszych wejść, począwszy od roku 1786, kiedy to po licznych nieudanych próbach zdobyto wreszcie Mont Blanc. Z satysfakcją zauważamy, że w pod datą 1818 zostaje wymieniony nasz słynny rodak, Antoni Malczewski. Kronice tej towarzyszą zdjęcia poszczególnych ścian, z wyrysowanym w przybliżeniu przebiegiem najważniejszych dróg. Główna część książki to podzielona na kilka rozdziałów opowieść o tym, jak zmieniło się podejście do alpinizmu w kolejnych etapach rozwoju tego sportu, aż po lata współczesne. Autor śledzi losy najwybitniejszych dokonań, chociaż jak to często bywa w zachodnich publikacjach, osiągnięcia przedstawicieli krajów środkowoeuropejskich (w tym i Polski) są potraktowane raczej zdawkowo.

Do książki dołączony jest aneks składający się z kilku części: kroniki najważniejszych polskich osiągnięć w masywie (przygotowanej przez J. Kurczabę), rozkładówki poświęconej pierwszemu Polakowi na Mont Blanc – Antoniemu Malczewskiemu (tekst A. Zawady uzupełniony relacją z wejścia autorstwa samego Malczewskiego) oraz panoramy działalności Polaków w tym masywie na przestrzeni dziejów, z zaznaczeniem najważniejszych osiągnięć (tekst J. Kurczaba). Całość wieńczy relacje z trzech wielkich osiągnięć Polaków w Masywie, czyli przejścia filara Fréney, pierwszego powtórzenia drogi Bonatti – Gobbi na Filarze Narożnym i pierwszego zimowego przejścia tegoż filara. W przygotowaniu polskiej edycji tego albumu uczestniczyli: Roman Gołędowski (tłumaczenie i prowadzenie tytułu), Beata Słama (redakcja), Monika Rogozińska (konsultacja redakcyjna) i Janusz Kurczab (konsultacja merytoryczna).

Beata Słama

Sprzedaż wysyłkowa: www.merlin.pl, tel. 0-801 694-220 /cena 108 zł/
Format: 26x36 cm, twarda oprawa, obwoluta, str. 240.

TABLE OF CONTENTS:

1. Editorial
3. In memoriam: Witold H. Paryski
by Wiesław A. Wójcik, Władysław Cywiński
and Ryszard W. Schramm
10. The Polish winter on Makalu
13. Marc Batard talks about the West Spur
of Makalu and Himalayan winter
14. Piotr Xięski presents a climbing guide
to Morocco (Todra)
19. Adam Bielecki – a whizz kid?
20. Marcin Michalek reports the summer 2000
in the High Tatras
23. Letters
25. A blood-curdling story from a crevasse
by Wojciech Świącicki
26. A short story by Paweł Puszczynski
34. Photo gallery
36. News from the Tatras
37. Archives – Tres Cruces by Witold H. Paryski
45. Caves
53. Info
55. Wojciech Świącicki talks about new Polish
law on climbing
58. Rock climbing and competitions: summing up
the season 2000
61. An appeal of the Alpine Club
62. Overheard: *Around New Year's Eve*
in the High Tatras by Władysław Cywiński
66. *Technical tips – rappelling and belaying*
by Wojciech Świącicki
73. Letters
74. Climbing accidents in the Tatras
76. Passages
79. Reviews

W następnym numerze:

J. Kurczab o Wielkim Filarze Naroznym

•
K. Wielicki o zimie w Himalajach

•
A. Beutler odkrywa meksykańskie skałki

•
J. Patrzykont zaprasza do Hochschwabu

•
T. Ręgwelski pisze o technice wspinania

•
D. Porada wybiera kask

oraz

nieznane opowiadanie Miro Šmida

•
i historia „Taternika” według R. Schramma

TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu
Ukazuje się od 1907 roku
Nr1 (293) Rok 76 ISSN 01373155

Redaktor naczelny

Zbigniew Piotrowicz
pl. Staromłyński 5, 57-540 Łądek Zdrój
tel +48 602 21 61 57, e-mail: taternik.ladek@wp.pl

Redakcja

Joanna Szmigielska - Michalek
Marcin Michalek
Wojciech W. Wiśniewski

Współpracownicy

Anna Beutler, Krzysztof Cudzych, Władysław Cywiński,
Krzysztof Drożdżeński, Władysław Janowski,
Michał Kochończyk, Adam Kuras, Janusz Kurczab,
Marek Maluda, Adam Marasek, Jacek Mierzejewski,
Witold Sas Nowosielski, Józef Nyka, Ryszard W. Schramm
Beata Słama, Maciej Sokołowski, Wojciech Świącicki,
Maciej Tertelis, Jakub Wiejacksi, Wiesław Wójcik,
Piotr Xięski.

Adres redakcji

ul. J. Kurczaba 37 m.44, 30-863 Kraków
tel/fax +48 12 65837 29, e-mail: taternik.krakow@wp.pl

Dział jaskiniowy

ul. Św. Bronisławy 18 m.1, 30-203 Kraków
tel. +48 12 427 13 11, e-mail: taternik.speleo@wp.pl

Opracowanie graficzne, skład i druk

Piotr Niewierowicz,
STUDIO PN, ul. Piłkarska 40, 94-121 Łódź
e-mail: studio-pn@wp.pl

Wydawca

Polski Związek Alpinizmu
ul. Ciołka 17, 01-445 Warszawa

Dystrybucja

AGADE

Prenumerata

Koszt rocznej prenumeraty w roku 2001 wynosi 28 zł.
Zmówienia na prenumeratę przyjmuje redakcja.

Prawa do tytułu „Taternik” posiada
Polski Związek Alpinizmu. Prawa autorskie do
publikowanych w „Taterniku” tekstów, zdjęć, rysunków
i reklam są zastrzeżone. Przedruki są możliwe wyłącznie
za pisemną zgodą redaktora naczelnego i pod warunkiem
powołania się na źródło.

Zdjęcie na okładce: *Raptawicka Turnia*, Adam Kuras

Cennik reklam w kwartalniku „Taternik”

1. Reklamy kolorowe

Okladka – oferta dotyczy wyłącznie sprzedaży całych stron:

2 i 3 strona okładki: 2500 zł

4 strona: 3000 zł

Strony wewnątrz zeszytu:

cała strona: 1600 zł

1/2 strony: 900 zł

1/4 strony: 500 zł

umieszczenie winietki

strony internetowej (10 cm²) 250 zł

2. Reklamy czarno-białe wewnątrz zeszytu:

cała strona: 700 zł

1/2 strony: 400 zł

1/4 strony: 220 zł

3. Rabaty:

Wykupienie reklamy na cały rok – 10 %

Pełna przedpłata przed wydaniem numeru – 10 %

Wszelkie inne warianty negocjujemy indywidualnie.

„BETLEJEMKA”

Centralny Ośrodek Szkolenia PZA
oferuje gruntowne przeszkolenie na
trzytygodniowych letnich kursach taternickich

34-500 Zakopane, Hala Gąsienicowa, skr. 399, tel.: (18) 2019124 betlejemka@poczta.onet.pl

<http://pza.org.pl>

Asekuruje

COMPENSA ŻYCIE

COMPENSA ŻYCIE

Twoim partnerem w górach



<http://pza.org.pl> **COMPENSA ŻYCIE**
Spółka Giełdy Ubezpieczeniowej ERGO